

# MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt XI.

za

LISTOPAD

1900.



## TREŚĆ:

- I. Sienkiewicz *Ludwik Straszewicz.*
- II. Pierwsze kroki genjuszu *Ferdynand Hoësiick.*
- III. Walka ze śmiercią. Nowela szwedzka *Pelle Molina.*
- IV. Przeobrażenie Chin w świetle nauki *J. Hess.*
- V. Co widzą ślepi?
- VI. Sprawy bieżące.
- VII. Ze świata kobiecego *E. Żmijewska.*
- VIII. Korsarz Triplex.
- IX. Rozmaitości.
- X. Miecz i łokiec (powieść) *W. Gomułicki*

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki

Marszałkowska 111.

SKŁADY FABRYCZNE ŻYRARDOWSKIE

Krakowskie Przedmieście № 55 i Nowy Świat № 36

polecają

PŁÓTNA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.

eras 2922/1900/11/12.



Maszynki  
do  
kawy.



Serwisy  
do  
herbaty.



SKŁAD

NACZYŃ KUCHENNYCH i GOSPODARCZYCH  
**J. ZABOKRZECKI i S<sup>ka</sup>**

Marszałkowska № 124 (dom Rossja)



Nożyki  
do  
owoców.



Serwisy  
do  
wódek.



S. HANKIEWICZ, WARSZA

## Kwiaty w Kościele.

W artykule, zamieszczonym pod tym tytułem w „Przeglądzie Katolickim”, ksiądz A. Brykczyński pisze:

„Kościół—to dom Boży, to świątynia Pana zastępów, przeto i on sam jako budynek i to wszystko, co się w nim znajduje, powinno różnić się od domów ludzkich kształtem i odznaczać szlachetnością i pięknnością form oraz wstępu. A więc to wszystko, co służy do codziennego, domowego użytku, lub jest ordynarne i pospolite, albo brzydkie a wstrętne, nie powinno się w kościele znajdować”.

Do tego rodzaju szpecących ozdób zalicza Sz. Autor stanowczo kwiaty papierowe, które przytem grożą niebezpieczeństwem pożaru i kwiaty włóczkowe, będące zbiornikiem kurzu i schronieniem owadów, a zaleca jedynie, oprócz świeżych kwiatów, kwiaty metalowe.

...biorąc rzeczy praktycznie, w kościele możliwe są tylko kwiaty metalowe, a pożądane jedynie świeże roślinne. Kwiaty metalowe ładne są, odpowiednie na zimę, gdyż nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa i są trwałe.”

Dotychczas, zbyt wysoka cena i trudność znalezienia kwiatów metalowych, spowodowanych z zagranicy, stały na przeszkodzie do rozpowszechnienia tych trwałych i pięknych ozdób świątyni. Obecnie jednak posiadamy w Warszawie pierwszą fabrykę kwiatów, wieńców i girland metalowych, której, właściciele pp. **Makowski i Rauer**, stanęli odrazu na wysokości zadania, gdyż wyroby ich, nieustępując zagranicznym trwałością i estetycznym wyglądem, przewyższają je o wiele taniością.

Dzięki uprzejmości właścicieli, którzy wszystkim zwiedzającym, nawet bez zamiaru kupna, najchętniej przedstawiają swe wyroby, oglądaliśmy w składzie fabrycznym przy ulicy **Senatorskiej № 22**, te prawdziwie piękne i godne rdocie świątynie pańskie, kwiaty i girlandy. Osoby zamiejscowe mogą zapoznać się z wyrobami fabryki z przesyłanych, na żądanie, franco i gratis, cenników ilustrowanych.

K. 479.156/10



# Sienkiewicz.

Sienkiewicza czytają dziś na obu półkulach. Zdołał podbić nawet Francuzów, tak trudnych do zainteresowania się utworami obcych pisarzy.

Z autorów naszych on pierwszy. Nawet Mickiewicza znała niewielka tylko garstka zawodowych literatów, ukształcony ogół Europy, a tembardziej Ameryki conajwyżej słyszał i pamiętał nazwisko.

Jest to więc wypadek ważny. Nie o sławę marną chodzi, bo ta jutro pójdzie w zapomnienie, rozwieje się jak mgła. Ale czy przez Sienkiewicza naród nasz ma zasługę w ludzkości? Czy pisma Sienkiewicza wnoszą jaki nowy pierwiastek do myśli, do uczuć rodzaju człowieczego? Czy Anglików, Francuzów, Włochów, porwała tylko interesująca bajka sienkiewiczowskich powieści, barwne a smutne przygody miłości Ligji i Winicjusza, czy się tak podobały błazeństwa Chilo Chilonidesa? Czy też w utworach pisarza polskiego jest coś więcej, co do duszy przemawia i pozostaje w duszy, jako jej część składowa, co tę duszę urabia? A wreszcie, jeśli Sienkiewicz wpływa na kształtowanie się duszy czytelników swoich, to czy wpływ ten jest dodatni? Czy mamy się czem szczycić?

Szacunek wśród narodów, nieśmiertelność w Ludzkości zdobywa się zasługami.

Wpływową literaturę współczesną, czy jest ona francuzką, skandynawską, czy rosyjską, czy się nazywa naturalistyczną, czy psychologiczną, cechuje pesymizm w poglądach na człowieka.

W każdym człowieku są niskie popędy zwierzęcej, samolubnej natury, oraz szlachetne poczucia społeczne, altruistyczne, wyhodowane przez zbiorowe życie Ludzkości, przez religję, przez cierpienia i wielkie czyny przeszłości.

Każdy człowiek co chwila staje na rozdrożu: instynkty zwierzęce, chęć uniknięcia bólu lub sprawienia sobie rozkoszy fizycznej ciągnie go w jedną stronę, uczucie społeczne, miłość do ludzi i do ideałów moralnych — w drugą. Jedne chcą przyjemności, próżniactwa, majątku, władzy, rozgłosu, drugie domagają się spełnienia obowiązku, czasem poświęcenia. Jedne każą mścić się, drugie — przebaczać. Jedne każą gnębić, drugie — pomagać. Jedne każą brać, drugie — dawać.

Walkę wewnętrzną zna każdy. Tylko w jednych stale przeważa zwierzę nad dzieckiem Ludzkości, w innych człowiek jest zawsze od zwierzęcia silniejszy. Są zbrodniarze i są święci. Ale w ogromnej masie szarego tłumu walka kończy się rozmaicie, czasem górę bierze samolubstwo, czasem miłość bliźniego.

Co się zdarza częściej? Napozór wydaje się, iż częściej zwierzę zwycięża człowieka. Tyle naokół widzi się nieprawości; tyle podłości, fałszu, marnego samolubstwa spotyka się na każdym kroku.

Ileż to razy słyszeliśmy o potrzebie szukania *człowieka* z latarką. Mędrzec Geist w powieści Prusa „Lalka” mówi:

„Tak zwana ludzkość mniej więcej na 10 tysięcy wołów, baranów, tygrysów i gadów, mających czło-

wieczę formy, posiada zaledwie jednego prawdziwego człowieka. Tak było zawsze, nawet w epoce krzemiennej. Na łaskę ludzkości w biegu wieków spadały rozmaite wynalazki. Bronz, żelazo, proch, igła magnesowa, druk, maszyny parowe i telegrafy elektryczne dostawały się bez żadnego wyboru w ręce gienjuszów i idiotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy... A jaki tego rezultat?... Oto ten, że głupota i występki, dostając coraz to potężniejsze narzędzia, mnożyły i umacniały, zamiast stopniowo ginąć.“

Tak widzi, tak wierzy ogół. Tak twierdzą wpływowi powieściopisarze.

A jednak to nieprawda.

Spółeczność — gromadne, wspólne życie ludzi — dla tego tylko istnieć może, iż siły spajające potężniejsze są, niż siły rozrywające — to oczywiste. Niemniej też oczywistą jest rzeczą, że spójnią społeczną są uczucia dodatnie, altruistyczne, społeczne — bez nich ludzie odskoczyli by od siebie, uciekli by jeden od drugiego, bo każdy myślałby o korzyści własnej i krzywdzeniu drugich. Uczucia samolubne rozstrajają, burzą wszelkie zrzeszenie się ludzi: złodziej, oszust, lichwiarz, zabójca są wrogami życia zbiorowego. Czasem interes lub strach łączą w kupy nawet zbrodniarzy, ale związki takie nie są nigdy trwałe — złe popędy toczą od rdzy prędzej. Ludzkość zaś trwa wieki, coraz spójniejsza, coraz rozleglejsza.

Więc dobrych popędów, dobrych czynów, dobrych ludzi więcej jest, niż złych.

Nie dość na tem: im dłużej ludzkość trwa, tem bardziej dobre nad złem *przeważać musi!*

Zwróćmy tylko uwagę, że glob nasz ziemski, a szczególnie świat cywilizowany nie jest wcale podobny do zajezdnego domu, który w południe gościć może cnotliwych pielgrzymów, a wieczorem drzwi swoje otwiera dla zgrai rozpustnych pijaków. W historii panuje ciągłość; jedne pokolenia są ściśle związane z drugimi; przeszłość warunkuje czasy terażniejsze

i przysze. Wynikają ztąd prawa społeczne, których łamać nie ma siły ani kaprys wypadków, ani przewrotność ludzka.

*Żyjący są nieustannie i coraz bardziej rządzeni przez umarłych.*

Po przodkach otrzymujemy nietylko materjalne dziedzictwo, nietylko pobudowane miasta, ubite drogi, szkoły, żeglugę, stowarzyszenia. To jest najlichsza część spadku, bo z czasem psuje się i potrzebuje ciągłego odnawiania. Stokroć ważniejsze jest dziedzictwo duchowe. Wiemy dobrze i nie czekamy na dowodzenie, iż nabytki wiedzy przechodzą z pokolenia na pokolenie, nie tracąc nic na swej wartości. Daleko gorzej rozumiemy znaczenie spadku moralnego, chociaż on ma bodaj znaczenie najdonioślejsze.

Życie i działalność przodków naszych składa się z pierwiastków zarówno złych jak dobrych. Ale pierwsze mają zawsze charakter osobisty, wyjątkowy niejako, ostatnie zaś są przejawami natury społecznej, a wskutek tego cechuje je ciągłość. Ułomności moralne występują nieraz na scenie świata z wielką potęgą, opóźniają postęp, spychają nieco rozwój społeczny z drogi właściwej, ale nie są w stanie ani go wstrzymać całkowicie, ani zmienić kierunku. Pochodzi zaś to ztąd, iż zawsze są one tylko pchnięciem jednorazowem lub w każdym razie krótkotrwałem, to też siły, działające w sposób ciągły, zawsze je w końcu przemogą.

Namiętności i wady, wprowadzające do życia zaburzenia, nie są niczem innym, jak tylko zboczeniem czasowem, wstydzą się i boją blasku dziennego, przybierają na siebie pozory cnoty. Cnota zaś jaśnieje jako wzór. Pierwiastki dobre nabierają coraz bardziej charakteru czynników, działających celowo i z planem.

Życie nie może zasymilować złych przejawów, zjawiają się one niby wrzody na ciele ludzkości

i goją się, gdy czasowa wywołująca je przyczyna zniknie.

To też w końcu skutki ujemnych działań i uczuć społecznych giną bez dalszego i donioślejszego wpływu, ogarnia je mrok zapomnienia, pozostają i żyją tylko pierwiastki społeczne, dobre. Wieki oczyszczają stopniowo dziedzictwo rodu ludzkiego.

A dziedzictwo to jest tego rodzaju, iż najmarnotrawniejszy spadkobierca ani go roztrwonić, ani nawet uszczuplić nie jest w stanie.

Fakt, że pierwiastki dobre, chociaż nieraz odepchnięte na chwilę na plan drugi i zasłonięte przed okiem powierzchownego badacza, w ostatnim rezultacie zwyciężają zawsze i nadają kierunek biegowi spraw ludzkich, ukazuje się nieustannie w ciągu dziejów.

Czy wpływa na bieg życia współczesnego przewrotność grecka, chciwość prokonsulów rzymskich, okrucieństwo wodzów, rozpusta optymatów, próżniactwo plebejuszów z rynków stołecznych. Wcale nie!

Natomiast, jakim jasnym, potężnym światłem goreją przykłady cnót, w ilu piersiach wywołują one ciągle przyśpieszone bicie serca i wzywają do naśladownictwa, jak silnie wpływają na kształtowanie się uczuć i charakterów.

Nie odziedziczyliśmy po starożytnym świecie wad i błędów namiętności, a korzystać nieprzestajemy z greckiej nauki i poezji, z rzymskiego prawodawstwa. Życie Sokratesa, prawość Arystydesa, patryjotyzm Temistoklesa, czyny Scewolów, Scypionów, Gracchów są zawsze silną, a dodatnią podniętą.

Tym sposobem rozumowanie i fakty przekonywają, iż bezpośrednie wrażenia wprowadziły nas w błąd. Złe, na które patrzymy, które nas dotyka i ból nieraz sprawia, zapisuje się dotkliwie w pamięci,

umysł i wyobraźnię zaprzęta. Cnota jest często niema, zawsze nieśmiała — samolubstwo zaś zazwyczaj lubi wrzask na targowicy świata.

Jednostki bywają rozmaite, ale w Ludzkości całej niechybnie człowiek ma górę nad zwierzęciem, i im dłużej trwa Ludzkość, tem przewaga ta jest większa i musi być większa.

Tymczasem opinia ogółu przeświadczona jest, iż dzieje się wręcz przeciwnie. Najwybitniejsi pisarze, ci, którzy nadawali kierunek literaturze, którzy szkoły tworzyli, przeświadczenie to podzielali, utrwalili je, rozpowszechnili.

Bohaterami Zoli są niemal wyłącznie łajdaki i ladacznice. Jeśli czasem gdzie mignie jakieś lepsze uczucie ludzkie, to jedynie po to, aby upaść w walce ze złemi pobudkami, pokusami. Guy de Maupassant dlatego zdaje się wyłącznie pisał swoje powieści i nowele, aby wykazać konieczność tryumfu zwierzęcych instynktów nad uczuciami dobrymi. A ile tego jest u Ibsena!

Albo weźmy Tolstoja. Wielki to pisarz i talentem i tą miłością dla ludzi, która i goreje i tryska w każdym wierszu. Ale utwory jego ponure, a sąd o świecie niesłychanie surowy. W powieści „Woskreszenie“ jeden Niechludow żyje jakąś ludzką myślą, jakimś popędem społecznym, gdzieś w zduszonym, mrocznym powietrzu więzień błyskają tu i owdzie iskierki—wszystko reszta obłuda, zepsucie, samolubstwo, głupota, próżniactwo. Pomimo wielkiego artyzmu, pomimo tego, iż się odczuwa ogień święty, gorejący w sercu autora,—podczas czytania — „Woskreszenia“, ogarnia jakieś zgnębienie; nieraz ta powieść aż boli!

A teraz zobaczymy, jak rzeczy widzi i jak je przedstawia Sienkiewicz.



Przedewszystkiem daje on ludzi, którzy nie staczają walk wewnętrznych, którzy drogę obowiązku widzą jasno, wyraźnie przed sobą i nią idą krokiem pewnym, niezbacząc wcale. Takimi są: Skrzetuski, Podbipięta, Anielka, Oleńka, Lygia, Glaukos i wielu innych.

Współcześni wielcy pisarze obcy podobnych postaci nie stwarzają albo wcale, albo bardzo rzadko. W utworach Zoli, Guy de Maupassant'a nie spotyka się nic takiego; u Ibsena, u Tołstoja majączej czasem porządni ludzie, ale są to zawsze jakieś chorobliwe, dziwaczne, wyjątkowe typy, zazwyczaj powstające w klótni z otoczeniem, cierpiące, zgnębione, ginące.

U pisarzy dawnych osoby zacne były zarazem bardzo cliwe, nudne, przykre. Gnębiły cnotą swoją nietylko inne postaci powieści, ale i czytelnika. Przy każdej sposobności wyrzucały z siebie albo długie popolite morały, albo banalną, wszystkim znaną mądrość.

Kiedys Tarnowski, charakteryzując na wykładzie powieść Krasickiego „Pan Podstoli“ powiedział: doskonalni bohaterowie w tym utworze tak w końcu zmordują czytelnika, że ten chciałby się przed nimi schronić choćby do jaskini zbrodniarzy.

Coś podobnego stało się z czytającym ogółem: przed zabijającą nudą niezdarnie malowanej cnoty pisarzy starej szkoły, schronił się do jaskini Zołoskich łajdaków.

Długi czas wierzono nawet, iż to uczciwość ma w sobie coś nudnego, ponurego, dokuczliwego. Sienkiewicz przekonał, że tak nie jest,—winien był zawsze słaby talent autorów. Wcale nas nie martwi, gdy się na scenie w powieści ukazuje Podbipięta, czy Soroka, czy nawet moralizujący Krispusi nie tylko nie chcemy od nich nigdzie uciekać, ale je serdecznie lubimy. W Anielkę i Lygji możemy się kochać. Glaukosa czcimy.

Oto scena, w której się dusza ludzka wznosi do najwyższej doskonałości.

W ogrodzie cesarów palą się żywe pochodnie Nerona, na słupie w męczarni strasznej, wśród płomieni i dymu, kona starzec z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilo zwinął się nagle w kłęb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do krakania, niż do ludzkiego głosu, podobny:

— Glaukos! Glaukos!..

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos-lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zbolalą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił go żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilo widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z ołowiu i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go z nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepelnia się w nim, coś się zrywa, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenna, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś straszego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się i, wyciągając w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem:

— Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!!

Uciszyła się naokół: dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam!!.

Czy jest kto, co by tę scenę zdołał nie tylko przeczytać, ale przypomnieć sobie i łzy w oku nie poczuć?

W momencie owym nawet stoczony cynizmem nicpoń Chilonides usłyszał głos sumienia, i człowiek zwyciężył w nim zwierzę.

Zwycięztw takich w utworach Sienkiewicza dużo, dużo.

W sali zbaraskiego zamku książę Jeremi Wiśniowiecki rozmawia wśród nocy z Bogiem i z własną duszą wyniosłą.

Pali go zraniona miłość własna, poczucie doznanej krzywdy. Jemu powinni byli dać władzę nad wojskiem Rzeczypospolitej do walki z Chmielnickim. On jeden ma siłę, w niego jednego naród wierzy, do niego żołnierz się ciśnie. Ma zasługi: kiedy inni stracili serce, gubili błędami i niemocą wojsko i kraj, on jeden zagroził sobą drogę buntowi do serca skołatane go państwa, nieugiął się, gromił. I nie jego, ale wrogów jego, ale ludzi nieudolnych zrobiono regimentarzami. Co będzie?—klęski, hańba, niewola.

Więc choćby miał drugi bunt wszcząć nieposłucha. Krzyknie i zastępy liczne go otoczą. Widzi się już na ich czele, słyszy trąby zwycięztwa, wróg Rzeczypospolitej leży u nóg jego.

Więc książę ręce do krzyża wyciąga:

— Chryste, Chryste — woła. — Ty wiesz, widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien.

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto.

Książę uporczywie przywołuje sobie na pamięć, ile to dobrego spłynęło na kraj i chrześcijaństwo całe, gdy on stanie na czele sił Rzeczypospolitej. Bunt zdusi i potęgę swoją cielskiem jego utuczy, kozaków i szlachę na Krym poprowadzi; straszliwego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony nie wzywały wiernych do modlitwy.

Granice Rzeczypospolitej rozszerzy do krańców

ziemi. Jej da potęgę, sobie zdobędzie sławę nieśmiertelną!

Kniaź pracuje, aby sobie samemu wytłomaczyć, aby wmówić w siebie, że powinien, że musi dla dobra publicznego posłuchać głosu skaleczonej ambicji, rozpalonej żądzы chwały własnej.

Ale twarz Chrystusa wciąż bolesna.

Kniaź czuje gdzieś w głębi duszy niepokój. Tłumiony głos sumienia szepcze mu: „Duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje“.

I straszna walka wre w duszy księcia, targa nim wichry trwogi, niepewności, zwątpień.

Ale głos sumienia coraz jest śmielszy, coraz głośniejszy:

„Chmielnicki też się dobrem publicznym osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje“.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy.

A sumienie woła coraz natarczywiej: „Idź kniaziu wojewodo, idź, odejmij władzę regimentarzom, zdejm prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnątrznosci“.

Pyszny kniaź Wiśniowiecki padł w proch, dostojną głową bił o kamienną posadzkę, a z piersi wydobywał mu się głos głuchy:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!

Gdy jutrzienka różana zajrzała do sali, już sercu Jaremy karny obywatel pokonał samolubnego warchoła. Zwołał pułkowników, oraz szlachtę i rzekł im: „idę pod komendę regimentarzy“.

Sześć tomów „Potopu“, to przecie dzieje nawracania się Kmiecica. Poznajemy go wichrem nieposkromionym, zrywającym się w chwili każdej do gwałtu, mordującym ludzi bez wyrzutu, czyniącym wszystko, złe i dobre, jedynie z popędów krwi gorącej, ku zadowoleniu zachcianek, czasem najpospolitszych, czasem

szlachetnych, ale zawsze osobistych. Pod wpływem miłości do dzielnej dziewczyny, pod wpływem cierpień osobistych i nieszczęść publicznych, pod wpływem dobrego przykładu, dusza w junaku przetwarza się całkowicie.

Śliczna jest scena pod krzyżem, gdzie się to dokonywa ostatecznie.

Już Szwed ze Żmujdzi wyparty. Oleńka blisko. Myśli, że on zdrajca, królobójca, banit. Pamięć jego przeklina, brzydzi się myślą o nim. A on obrońca ołtarzów Marji. Grzech mimowolny hojnie krwią okupił i gorliwością. Poleci i powie to wszystko ukochanej dziewczynie; znowu posiadzie jej szacunek, jej miłość! Jeszcze dni parę, a do serca przycisnie Oleńkę, najdroższą, upragnioną. Po tylu czasach tęsknoty i bólu.

I szara brać laudańska mu przebaczy i błogosławić go będzie, gdy się dowie, iż on, Kmicic, jej zbawcą.

W tem odbiera rozkaz hetmański, aby szedł natychmiast w stronę przeciwną: 80 tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy, Kozaków zagroziło południowej granicy.

Więc ma się wyrzec szczęścia, którego już ręką dotyka, ma nie zobaczyć ukochanej, ma nadal w jej myśli pozostać pogardzonym wyrzutkiem!

— Nie, nie pójdę—woła, bo się w nim zbudził dawny duch samowoli.

— Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje, co chce. Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto!... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Takaż za to nagroda?... Żebyśmy to choć tamtego listu nie odebrał, poszedłbym; ale oba przyszły w jednej godzinie: jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią i nie w mocy ludzkiej to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O Panie! co ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich obli-

cze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi, mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia Panie! ratunku Ojcze!... Grzeszyliśmy... ale przecie już przyszła poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuszczisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi.

— Zaniechaliście prywat? A tyż nieszczęśniku co w tej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przyszła pierwsza chwila próby, jako zhlukany koń, dęba stajesz i krzyczysz: Nie pójdę! Ginie matka, nowe miecze pierś jej przesywają, a ty się od niej odwracasz, niechcesz jej wesprzeć ramieniem, za własnym szczęściem gonisz i krzyczysz: Nie pójdę! Ona ręce krwawe wyciąga, już już pada, już mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci! ratujcie!“ A ty jej odpowiadasz: Nie pójdę! Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowie i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz ryknął twarzą do ziemi i nie wołać, ale krzycheć jął w przerażeniu:

— Jezu nie karz! Jezu zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą i tak dalej się modlił:

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilją szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone, za to, żeś księcia Bogusława oszczędził, nad czem płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywaty... Już więcej nie będę, Ojcze miłościwy! A no jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste! idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

Tak samo w „Quo Vadis“ Winicjusz, zuchwały, okrutny, samolubny patrycjusz rzymski przetwarza się w kochającego bliźnich chrześcijanina.

W całej trylogji i w „Quo Vadis“ drobnych scen pokonania marnych popędów przez szlachetne pobudki jest tyle, że ich przeliczyć niepodobna.

Wskażemy jeszcze tylko na jeden ustęp z powieści ostatniej, z „Krzyżaków.“

Okrutny, zawzięty Krzyżak, Zygfyd, obciął Jurandowi język i rękę prawą, wylupić kazał oczy; sponiewieranego, skatowanego nieludzko jeszcze dręczył w lochu. Jedyłą córkę mu zgubił, na męki oddał.

Świeżo opowiadanie Hławy o niedoli Danusi rozdrapało rany Jurandy, gdy doń przywiedziono skrępowanego Zygfyda.

Starzec wyciągnął rękę, przesunął naprzód dłoń po twarzy Zygfyda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrzucić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na piersi Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów—i przytknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że się namyślał. Ale cokolwiekbądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się—i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordja.

Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachołkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów nawpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrępowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza tak, aby mógł wiedzieć, czego dotyka, i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć—i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im za mało. Hława jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachołkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepomamowany płacz głosem:

— Bracie Jurandzie, czego chcecie? czy chcecie darować jeńca wolnością?

— Tak! — odpowiedział skinieniem głowy Jurand!

— Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

— Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

— Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana!

I klękawszy sam, począł mówić:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje..

I odmówił „Ojcze nasz“ do końca. Przy słowach; „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ oczy jego zwróciły się mimowoli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakimś nadziemskim światłem.

Krzyżak byłby zniósł męczarnie, ale miłosierdzie nieoczekiwane z taką siłą uderzyło w ponurą duszę jego, w takim świetle pokazało mu własne jego ohydne okrucieństwo, że się wśród strasznych widziadeł powiesił.

Nie ulega wątpliwości, iż powieści Sienkiewicza wniosą do literatury europejskiej protest przeciwko lubowaniu się w mizernych, miałkich kałużach ludzkiej ułomności. Rozbiją one może fałszywą doktrynę, że „prawdą psychologiczną“ i „trafną obserwacją“ jest malowanie obłudy i podłości, jako zjawisk pospolitych, przeważających w życiu; rozproszą mniemanie, że talent realistyczny polega na szkalowaniu człowieka, na wiecznem przekonywaniu, iż natura ludzka zawsze skręca na ścieżki łajdactwa

Wskutek właściwości swoich, powieści Sienkiewicza dobroczynnie oddziaływać muszą na duszę ludzką, wprowadzają do literatury europejskiej pierwiastek pożądany.

Jest pewnikiem niewątpliwym, iż ciągle obcowanie ze złem, napełnianie niem wyobraźni oddziaływa szkodliwie na moralność i jeżeli nawet nie sprowadza wprost złych czynów, to przytępia dobre instynkty. Gdy drgający kamerton przybliżymy do drugiego, pozostającego w spokoju, ten niebawem zaczyna drgać jak pierwszy. Coś podobnego dzieje się ze zjawiskami duchowymi. Rozpamiętywanie czynów podniosłych wywołuje popędy dobre, złych—złe. Dlatego to peda-



gogowie i moraliści zalecają czytać żywoty ludzi cnotliwych i wielkich; chęć naśladowania działa silnie w każdym umyśle i w każdym sercu.

Trzymanie przed oczyma ogółu wzorów jaknajgorszych, zmuszanie go do obcowania nieustannie ze zbrodnią i z podłością, musi mieć skutki społeczne ujemne.

Utwory Sienkiewicza nie są podobne do starych tendencyjnych, bardzo zawsze nudnych powieści. Treść ich pali, taka jest ciekawa, morału nie widać, nie czuć. Czytelnik przestaje z ludźmi dobrymi a interesującymi.

Powieści autora naszego są przepyszną kombinacją dobra z pięknem.

*Ludwik Straszewicz.*



**Portret Chopina.**

(według oryginału, robionego w Paryżu r. 1834).

Ferdynand Hoesick.

# Pierwsze kroki genjuszu.

(Luźne kartki z książki o Chopinie).

*Błogosławione pokolenie, z którego wyszedł ła; błogosławiona i ziemia, która go swemi kołysała pieśniami, swoim karmiła chlebem, a nowy dar do tylu innych dodawszy, ludzkości go posłała! Bogate są krainy nad Wisłą rozłożone, gdy takie mają płody; pełen to życia uaród, gdy proroki jego przodkują innych narodów wystańcom, w wielkiej o wielkiej przyszłości nauce. A bogactwo to najlepsze! Wszyscy go używać mogą; a przybywać go będzie w miarę używania, jak wina w Kanie Galilejskiej; rozmnoży się cudownie, jak owe pięcioro chleba na pustyni. Od czasów Piasta, na polską zamożność eu! to już nie pierwszy, a da Bóg i nie ostatni!..*

*Józef Sikorski, Wspomnienie Szopena.*

I.

## **W Żelazowej Woli.**

(1810)

Żelazowa Wola. — Hrabina Ludwika z Fengerów Skarbkowa. — Fryderyk Skarbek. — Genealogja rodziny Chopinów. — Mikołaj Chopin. — Justyna z Krzyżanowskich Chopin. — Przyjście na świat Fryderyka Chopina. — Chrzcziny. — Przeniesienie się do Warszawy.

O sześć mil od Warszawy, w powiecie Sochaczewskim, o cztery wiorsty od Sochaczewa, wśród piaszczystych równin

mazowieckich, zalegających obszar między Bzurą a Wisłą, na skraju puszczy kampinowskiej, nad rzeczką Utratą, leży 17-włókowa wieś Żelazowa Wola, wspomniana w aktach grodzkich Rzeczypospolitej już w XVI wieku, pod rokiem 1579, kiedy osiadli tu Mikołaj i Piotr Żelazowie płacili z niej podatek łąnowy, w późniejszych zaś czasach należąca wraz z przyległościami do zamożnej rodziny hrabiów Skarbków, których groby familijne aż po dziś dzień znajdują się w pobliskim „imponującym rozmiarami i strukturą całej okolicy“ kościele parafjalnym w Brochowie.

Choć okolona nieprzejrzaną płaszczyzną gładkich pól, malowanych zbożem rozmaitem, jak w *Panu Tadeuszu*, wieś ta, wraz przynależnym do niej folwarkiem, zwanym Orły, „piękna bardzo z położenia swego,“ odznacza się „jak na Mazowsze“ wysoce malowniczym położeniem, „dalekiem od banalności,“ zajmuje bowiem środek „pięknej doliny wśród wzgórz,“ „dziwnie łaskawie,“ jako krajobraz, wyposażonej. Już zdaleka, od strony piaszczystej—prawdziwie polskiej—drogi, która do niej prowadzi, robi ona wrażenie typowej, „starej szlacheckiej siedziby,“ z drewnianymi stodołami krytymi słomą, ze sztachetami, ogradzającemi obszerny dziedziniec (w którym nie brak i skrzypiącej studni z żórawiem), z otwartą bramą wjazdową, która podobnie, jak Soplicowska, także zdaje się ogłaszać przechodniom, „że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.“ Minąwszy ją, wjeżdża się na pierścieniową dróżkę, w której środku zieleni się wielki, kilkoma starymi kasztanami ocieniony gazon, rodzaj wirydarzu. Po prawej stronie białą się ściany dworu. Zwykły to sobie dworek szlachecki, tyle tylko, że murowany i schludny: zresztą, ani imponujący rozmiarami, ani wykwintny. Kryty gontem, z piętrową facjatą i wystawką pośrodku, parterowy, o kilku oknach frontu, niczem nie różni się od mnóstwa innych tworów ziemiańskich; na pańską, zwłaszcza hrabiowską rezydencję, nie wygląda wcale. Naprzeciwko, po lewej stronie gazonu, stoi niewielka parterowa oficyna dworska, podobnie, jak dwór, murowana i kryta gontem. Pomimo, że wszystko to zaleca się skromnością, jednak stojąc pod ślicznymi kasztanami wirydarzu, doznaje się uczucia jakiegś

swojskiej sielskości, oddycha się poezją ciszy wiejskiej, myśli się o wykrzykniku Kochanowskiego: „Wsi spokojna, wsi wesola!“ Poprostu jest tu pięknie, „jest gdzie podumać, od rzeczywistości się oderwać.“ „Tuż po pod oknami szczytowemi oficyny snuje się srebrną wstęgą, trzcina obramowana, Utrata, niosąca swe wody do Bzury i obracająca dwa zębate koła staroego młyna, który wciąż szumi poetycznie, niczem ów soplicowski młyn z mickiewiczowskiej epepei. Za rzeką ciągną się chałupy majątku Orły, malowniczo rozrzucone. Dalej sad i ogród, a w nich przepyszny szpaler grabowy, stary świerk, rodzaj lipy czarnoleskiej, modrzew pod dworem, wreszcie altana naturalna z lip w podkowę sadzonych.“ Wogóle park jest bardzo ładny, pełen „cech odrębnych, sobie właściwych, dobrze usposabiających.“ Wszędzie mnóstwo zieleni, ale i kęp, a nie brak ani kwiatów, ani „drzew rodzących“ owocowych. „Gdy wzrok spocznie na malowniczej kępce, nęcącej z pobliza cieniem swych drzew i zarośli, zapraszającej urokiem cizy i bogactwem krajobrazu, przeglądającego się zalotnie w zwierciadle wód obfitych, wówczas mimowiednie pobłądzi za duchem nieśmiertelnym, natrętnie tu przypominającym swe panowanie...“

W roku 1810, a więc za czasów Księstwa Warszawskiego, gdy Europą trząsał napoleon, zamieszkiwała dwór w Żelazowej Woli hrabina Ludwika z Fengerów Skarbkowa. Niezszczęśliwa w pożyciu z mężem, który już od szeregu lat zmuszony był ze względu na wierzycieli mieszkać za granicą, była to kobieta ze wszech miar niepospolita, uosobienie prawości i szlachetności, piękny typ zacnej matrony dusza, wzniosła, pełna poświęcenia i rezygnacji. Jako jedyna córka znakomitego bankiera toruńskiego, Jakóba Fengera, otrzymała w Toruniu, głównie pod kierunkiem Samuela Bogumiła Lindego, nadzwyczaj staranne wychowanie, a gdy dorosła, stała się, jako dziedziczka miljonowej fortuny ojca, przedmiotem starań kilku okolicznych panów, między którymi Kasper hrabia Skarbek, syn Kasztelana Inowrocławskiego, niegdyszy przyjaciela Stanisława Augusta, polecony przez króla, przed innymi otrzymał pierwszeństwo. Ale zostawszy hrabiną Skarbkową, niebawem, po przeniesieniu się z rodzinnej

Skarbków Izbicy na Kujawach do Warszawy, doznała srogiego życiowego zawodu. Zaniechywana przez męża — powiada o niej Wójcicki — i poświęcana innym swego towarzystwa kobietom, od których małżonek jej zbyt wiele względów doznawał, znosiła cierpliwie los swój i niedolę, pocieszając się szczęściem macierzyńskim i wzorowem pełnieniem obowiązków. Kiedy jednakże rozrzutność hr. Skarbka nietylko cały majątek pochłonęła, ale i jej mieniu zagrażać poczęła, poniosła ona dla dzieci ciężką ofiarę przywiązania do niewdzięcznego męża i rozstała się z nim w r. 1802, zmuszona dla ocalenia reszty własnej swej fortuny wytoczyć przeciwko niemu proces rozwodowy. „Odtąd — pisze jej syn w swych pamiętnikach — zmienił się zupełnie dom rodzicielski: zbytki, wystawność i ustawiczne rozrywki ustąpiły miejsca gospodarczej rządności i skromnemu pożyciu. Trapiąca przykreimi interesami, ograniczała się matka w wydatkach swoich i ciągle mieszkała w Żelazowej Woli, wyjąwszy zimowej pory, którą pomimowolnie spędzać musiała w Toruniu, a to z powodu, że magistrat tego miasta, niewiadomo na mocy jakiego prawa, toczył z nią proces, aby jako właścicielka domów, tamże część roku mieszkała, lub sprzedała takowe. Pozatem, mało udzielając się światu, całkowicie oddana gospodarstwu i wychowaniu dzieci, „osiągnęła w tym skromnym zawodzie poważanie całego ówczesnego towarzystwa, które ją, jako wzór matek, wszystkim stawiało. Podkreślić należy, iż spełniając ściśle warunki przedślubne, jakkolwiek sama była wyznania luterańskiego, wszystkie dzieci swoje wychowała w wierze katolickiej.“

Dzieci miała pięcioro: dwie córki, Annę i Wiktorję, oraz trzech synów. Najstarszy z nich, Fryderyk, przyszły autor *Pamiętników Seglasa*, bawił — od jesieni 1809 roku — na studjach w Paryżu. Zdolny, pracowity, z wybitnym talentem literackim, z którego już był znany w Warszawie, choć liczył sobie dopiero lat ośmnaście, a przytem stateczny nadzwyczaj, skromny, nad wiek poważny, z niemiecką systematycznością, odziedziczoną po Fengerach, był on ozdobą rodziny, chlubą i ulubieńcem swej zacnej matki.

Człowiekiem, który, obok hrabiny Skarbkowej, mógł się pochwalić, że największy wpływ moralny wywarł na rozwój młodego Fryderyka, i który niemniej gorąco był przywiązanym do niego, był jego nauczyciel domowy, Francuz, Mikołaj Chopin, który obecnie, jako guwerner innych dorastających dzieci hrabiny, a jednocześnie, jako oddany i zaufany przyjaciel całego domu, zajmował, z żoną i trzyletnią córeczką, trzy pokoiki w oficynie od strony ogrodu...

Urodzony w Lotaryngji, w Nancy, dnia 17 kwietnia 1770 roku, był on Francuzem i uważał się za takiego, o pochodzeniu jego wszakże zachowało się podanie, stwierdzone następnie poszukiwaniami archiwalnymi, podanie, które głosi, że w żyłach tego Francuza - Lotaryńczyka płynęła krew polska, że protoplastą lotaryńskiej rodziny Chopinów był

Polak, Mikołaj Szop, „dworzanin“ nieszczęśliwego króla Stanisława Leszczyńskiego, który, jako wielkorządca Lotaryngji, tak sympatycznie zapisał się w pamięci jej mieszkańców. Kiedy ten Mikołaj Szop przybył z Polski do Lotaryngji? Czy razem ze Stanisławem Leszczyńskim, czy już po jego przyby-



Grób króla Stanisława Leszczyńskiego w Nancy.

ciu do Nancy? To nie jest wiadomem. Wiadomo tylko — co potwierdzają znajdujące się w archiwum miejskiem w Nancy dokumenty urzędowe— że za czasów króla Stanisława Leszczyńskiego, dwaj jego dworzanie Jan Kowalski i Mikołaj Szop, obaj rodem z Kalisza, przybyli do Luneville i otworzyli w Nancy za pozwoleniem i wsparciem tego króla około roku 1740 handel win. Spółkę swą, może dla łatwości odbytu, przetłomaczyli wkrótce na *Ferrand et Chopin*, w czasach tych bowiem niejedna rodzina polska w Lotaryngji osiadła, a mająca trudne do wymawiania dla Francuzów nazwisko, zamieniała je na francuzkie.... Syn tego Mikołaja Szopa-Chopina, już z Francuzki urodzony, Jean Jacques Chopin, porzucił handel, który mu snąć nie dopisywał, lub nie dogadzał jego usposobieniu, i poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Osiadłszy w Metz, tam się ożenił z niejaką panią Desmarets czy Desmarais, wdową, i miał z nią czworo dzieci: trzech synów i córkę. Nie mogąc nigdzie dłużej miejsca zagrzać, z Metzu przeniósł się do Nancy, a ztamtąd do Strasburga. Kiedy umarł i gdzie? nie wiadomo. Córka jego, wyszedłszy za mąż do Luneville, umarła w młodym wieku jeszcze przed rewolucją francuzką, z synów zaś najstarszy poświęcił się stanowi duchownemu i umarł na początku tego wieku, jako kanonik w Nancy. W jaki sposób upłynęło życie młodszemu jego bratu, o tem niema żadnych pewnych wiadomości; wiadomo tylko, że umarł bezdzietnie. Najmłodszy z synów Jana Jakóba Chopina wywędrował z kraju do Polski... Że tym najmłodszym z wnuków Mikołaja Szopa był Mikołaj Chopin, to zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości.

Jakkolwiek-bądź, jeden fakt jest i pozostanie absolutnie pewnym, że w drugiej połowie roku 1787, w chwili, gdy w Warszawie zanosilo się na pamiętny sejm czteroletni, młodzutki bo zaledwie 17 lat liczący sobie wówczas Mikołaj Chopin przybył nad Wisłę. Przywędrował tu, wezwany przez jednego z ziomków swoich, fabrykanta tabaki, który mu powierzył prowadzenie ksiąg rachunkowych. Jako syn pedagoga, i to pedagoga z zamiłowania, był to młodzieniec wykształcony, mający za sobą ukończone szkoły, rozmiłowany



w czytaniu, odcytany zwłaszcza w literaturze francuskiej, w poezji szczególnie, a przytem poważny, pracowity, bez skłonności do pochulanek, natura refleksyjna, z temperamentem do pewnego stopnia artystycznym. Osiadłszy w Warszawie, przedewszystkiem zaczął w wolnych od zajęcia chwilach pracować nad nauką języka polskiego, raz dlatego, że uważał znajomość języka miejscowego za niezbędną, a powtóre, że jako Lotaryńczyk, wychowany w tradycjach szlacheckiego Stanisława Leczczyńskiego, (którego Lotaryńczycy do dziś dnia wspominają jako swego dobroczyńcę), nie tylko znał ostatecznie dzieje Polski, ale od dziecka „marzył o tem, ażeby kiedyś zwiedzić ją i przyjrzeć się zblizka narodowi, co chociaż nieogłędny na własne dobro, chętnie jednak pierś swą nadstawiał dla dobra i ocalenia innych (np. pod Wiedniem).“

Gdy w końcu roku 1788 rozpoczęły się obrady wielkiego sejmu, obrady nad poprawą upadającej Rzeczypospolitej, młody buchalter, żywo interesujący się wszystkim, ile razy mu czas na to pozwalał, biegł do Zamku, do Izby Sejmowej, i tam, z natłoczonej galerji, przysłuchiwał się mowom wybitniejszych posłów, przypatrywał się wymuskanemu królowi Stanisławowi Augustowi, a jednocześnie, niemal z dniem każdym, coraz bardziej utwierdzał się w swych sympatjach dla społeczeństwa, którego ten pamiętny sejm był wyobraźnikiem. Gdy w roku 1791 ogłoszono ustawę majową, gdy radość ludu warszawskiego była wielka z tego powodu, młody Chopin cieszył się wraz z całym miastem... Ale niebawem przyszedł drugi rozbiór kraju, Stanisław August przystąpił do konferencji targowickiej, wszystkie znaczniejsze i zamożniejsze rodziny jęły opuszczać Warszawę, nastąpił cały szereg bankructw wielu zakładów przemysłowych i handlowych, a między innymi zbankrutowała i fabryka tabaki, w której Chopin zarabiał na życie. Znalazłszy się na bruku, bez zajęcia i środków utrzymania, postanowił wrócić do Francji, lecz właśnie, gdy się już wybierał w drogę, zachorował ciężko, tak, że musiał wyjazd swój odłożyć i czas jeszcze jakiś pozostać w Polsce. Tymczasem wybuchła rewolucja. Mikołaj Chopin, już po odbytej rekonwalescencji, wstąpił

w szeregi gwardji narodowej. Ale już w dniu 10 października przyszło do bitwy pod Maciejowicami, w której ciężko ranny „Naczelnik“ dostał się do niewoli: pod Pragę nadciągnęły wojska Suworowa.

„Mikołaj Chopin był już setnikiem gwardji narodowej. Wysłany z kompanją swoją do pełnienia służby na Pradze, byłby tam niechybnie—podczas pamiętnego szturm—śmierć znalazł, gdyby nie to, iż na parę godzin przed jej zdobyciem został przez inny oddział zluzowany.“ Po roku nastąpił trzeci rozbiór. Stanisław August przeniósł się do Petersburga, Warszawa, jako miasto prowincjonalne, przeszła pod panowanie pruskie, Chopin zaś, nie widząc tu dla siebie żadnej przyszłości, znów się wybierał z powrotem do Lotaryngji... Ale i tym razem nie wybrał się ostatecznie, bo mu znów na przeszkodzie stanęła choroba, i to cięższa jeszcze, aniżeli poprzednia. Widząc w tem jakiś *omen*, gdy wreszcie przyszedł do zdrowia, zaniechał myśli wyjazdu do Francji i zdecydował się pozostać w Polsce, zwłaszcza, że tu, jako coraz bardziej wzięty nauczyciel języka francuzkiego, znajdował dość przyzwoite utrzymanie. Gdy go pytano, czy już nie myśli o powrocie w strony rodzinne, odpowiadał zwykle: „Próbowałem dwa razy to czynić i, zachorowawszy, o mało życia nie straciłem. Widać, że przeznaczenie chce, abym już w Polsce został na zawsze. Zgadzam się z wolą Opatrzności i zostaję.“ Uprzejmy, miły, w obejściu słodki, wykwinny pod względem form, nietylko miał sporo lekcji, ale niebawem najpierwsze domy starały się go pozyskać dla siebie. W takich warunkach poznał się ze starościna Łączyńską z Czarniejewa, która właśnie potrzebowała guwenera-Francuza dla dzieci. Ujęta wykształceniem Chopina, jego dobrem wychowaniem i sympatycznym sposobem zachowania się, zaproponowała mu miejsce nauczyciela języka francuzkiego na wsi u siebie, które on też bez wahania przyjął. Przeniósłszy się do Czarniejewa, gdzie już miał na dobre rozpocząć swój zawód pedagogiczny, miał tam za uczniów dwóch synów starościny i dwie panny Łączyńskie, z których młodsza, Marja, od dziecka odznaczała się nadzwyczajną urodą, a po upływie lat kilku, poślubiona Walewskiemu, odegrała

tak wybitną rolę z życia Napoleona I-go, jako jedna z najbardziej przezeń ukochanych kobiet... Tymczasem, w roku 1802, gdy sobie, jako uczenica Mikołaja Chopina, liczyła lat 14 dopiero, kochał się w niej „dziecinna miłością“ młodzieńki Fryderyk Skarbk. „Lubiła ona bawić się ze mną 10-letnim chłopcem i ujmującą dobrocią swoją, jako i niewymownym powabem wdzięków swoich, braterskie poniekąd przywiązanie we mnie wzbudziła...“ Ten pobyt małego Skarbka w domu starościny Łączyńskiej odegrał także pierwszorzędną rolę w życiu Mikołaja Chopina: poznawszy się tu z hrabiną Skarbkową, która właśnie w tym czasie poszukiwała guwernera dla swego najstarszego syna, Fryderyka, tak dalece odpowiedział jej wymaganiom, że mu zaproponowała przeniesienie się do Żelazowej Woli. „W jednej z podróży swoich letnią porą do Torunia—pisze w tej kwestji Skarbk w swych pamiętnikach—zostawiła mnie matka u znajomej swej, starościny Łączyńskiej, pod dozorem guwernera, Francuza Chopina, który miał przejść do nas na nauczyciela.“ Jesienią 1802 roku opuścił Chopin dom starościny Łączyńskiej i przeniósł się z hrabiną Skarbkową do Żelazowej Woli, gdzie miał małemu Fryderykowi udzielać pierwszego naukowego wykształcenia. Późniejszy autor *Dziejów Księstwa Warszawskiego* pokochał całym sercem swego nowego Mentora, a nie mając nigdy przez całe życie dość słów na wyrażenie swej czci i prawdziwie synowskiego przywiązania ku niemu, w *Pamiętnikach* swych o tej pierwszej nauce pod jego światłym kierunkiem tak pisze: „Stanowczem to jest w życiu każdego młodego człowieka, jaki był sposób myślenia nauczyciela, któremu wychowanie jego powierzonom zostało, i jakich się zasad trzymał w prowadzeniu jego. Po rocznym pobycie poprzedniego mego nauczyciela byłem już na bardzo zły drodze, bo srogość jego wzbudziła we mnie nieufność i tajemie się ze wszystkim, obok zupełnego odstręczenia od nauki. Łagodne i przyjacielskie obchodzenia się Chopina, baczny dozór nad wszystkimi mojami postępkami, bez zbytecznego ukrócenia wolności i nauczania bez pedantyzmu i przymusu, wszystko zwróciło zdolności i skłonności moje do tego, czem z natury być miały, a od czego je zły

kierunek łatwo by był odwrócił.“ We dworze w Żelazowej Woli przebywała stale, zarządzając domem hrabiny Skarbkowej, z którą ją łączyły węzły pokrewieństwa, panna Justyna Krzyżanowska, sierota, uboga szlachciancezka „zaczego acz nie bogatego rodu,“ nadzwyczaj miła i słodka istota, ujmującej powierzchowności, wielkiego wdzięku w obejściu, z dużą ogładą towarzyską, wykształcona i inteligentna, a przytem gospodarna, praktyczna, skromna, słowem, najpiękniejszy typ dorodnej dziewczicy polskiej, o włosach jasnych jak zboże, o pogodnych, szafirowych oczach. Młody 30-paraletni guwerner hr. Fryderyka, dzięki ciągłym stosunkom z uroczą ochmistrzynią, niebawem poznał się na jej niepospolitych zaletach, zakochał się w niej, aż w końcu, poży-skawszy jej wzajemność, poślubił. Ślub odbył się dnia 28 czerwca 1806 r. w kościele parafjalnym w Brochowie. Młody Fryderyk Skarbk bawił wtedy od roku już w Warszawie, gdzie, jako uczeń tamtejszego Liceum, mieszkał na stancji u rektora Lindego. Mikołaj Chopin tymczasem zajmował się kształceniem reszty dzieci hrabiny Skarbkowej. Ale była to epoka wojenna, w której ciągle „grzmiał oręż“ i Napoleońskie „orły złote obok srebrnych“ błyszczały po całej Europie. W październiku 1806 r. spadła na Prusaków straszliwa klęska pod Jeną, Napoleon zajął Berlin: w Polsce, w tej części, która zostawała pod panowaniem pruskim, wybuchło powstanie. Nad krajem zawisła ciężka atmosfera wojenna, dająca się odczuwać i w Żelazowej Woli. „Z powodu nieustannych przechodów wojsk—czytamy w pamiętnikach Skarbk — i wynikającego ztąd niepokoju na wsi przeniosła się matka moja z całym domem do Warszawy i odebrała mnie z pensji Lindego, tak, iż wróciłem znowu pod przyjacielski nadzór dawnego nauczyciela mego, Chopina, i uczęszczałem tylko na nauki do Liceum. Tak przepędziłem rok 1807 i doszedłem do najwyższej klasy 8-jej...“

Tymczasem Mikołajowi Chopinowi urodziła się pierwsza córka, która, przyszedłszy na świat d. 6 kwietnia 1807 roku, na intencję swej matki chrzestnej, hrabiny Skarbkowej, otrzymała imię Ludwiki. W roku 1808, gdy wskutek ustanowienia Księstwa Warszawskiego nastąpiły spokojniejsze

czasy, a Fryderyk Skarbek ukończył Liceum, hrabina wraz z całym domem i dworem, powróciła do Żelazowej Woli. To samo uczynili i Chopinowie.

Z wiosną roku 1809 znów przeciągnęła nad Mazowszem burza wojenna. W kwietniu przyszło do pamiętnej bitwy pod Raszynem, a wojska austriackie, stojące pod samym Sochaczewem, niepokoiły i zaciszny dworek w Żelazowej Woli... Jesienią Fryderyk Skarbek udał się do Paryża, a tymczasem Mikołaj Chopin, czuwający na wychowaniu młodych synów hrabiny, którzy już niebawem także mieli wstąpić do szkół w Warszawie, z czułością spoglądał na swą małżonkę, która wkrótce miała ponownie zostać matką...

Pożycie domowe Mikołaja Chopina było nadzwyczaj szczęśliwe. W żonie swej, którą kochał namiętnie, znalazł wzorową towarzyszkę i pomocnicę w pracy na kawałek chleba; córeczka, zupełnie podobna do niego, a wykarmiona mlekiem matki, chowała się zdrowo; pozatem zaś, dzięki zapewnionemu bytowi i brakowi troski o jutro, wszystko również układało się pomyślnie.

W myśl przysłowia, że każdy człowiek jest sam szafarzem swego nieszczęścia lub szczęścia, Mikołaj Chopin, jeśli mógł nazwać się szczęśliwym, miał to głównie do zawdzięczenia swemu charakterowi prawemu i zacnemu, który sprawiał, że wszyscy go czcili i poważali, że cieszył się ogólną sympatją, że w domu hrabiny, z którym się jego dotychczasowe losy głównie wiązały, nietyle był uważany za guwernera i przewodnika młodej generacji, ile raczej za światłego i szczerze oddanego przyjaciela, za człowieka, który był jakby dobrym genjuszem rodziny, a nie jej płatnym oficjalistą, pobierającym roczną pensję, z mieszkaniem, światłem, opałem i ordynarją. Oto np., jak go charakteryzuje Fryderyk Skarbek w swych pamiętnikach: „Nie był on ani emigrantem, ani napół wyświęconym księdzem, jak wówczas byli po większej części guwernerowie francuzcy, którzy tak nienarodowy kierunek wychowania młodzieży polskiej nadali... Nie był on przejęty ani zasadami przesadzonej wolności republikańskiej, ani udaną bigoterją emigrantów francuzkich; nie był także rojalistą, bał-

wochwalczą czią dla tronu i ołtarza przejętym, ale był moralnym i pocziwym człowiekiem, który, poświęciwszy się wychowaniu młodzieży polskiej, nie zakładał sobie nigdy tego, aby ją przekształcać na Francuzów i wpajać w nią zasady we Francji górujące. Szanując Polaków i wdzięczny będąc ziemi i ludziom, między któremi gościnne znalazł przyjęcie i odpowiedni sposób utrzymania życia, wypłacał się im szczerze z obowiązku wdzięczności sumiennem kształceniem ich potomków na użytecznych obywateli. Przez długoletni swój pobyt w kraju naszym, przez stosunki przyjacielskie z domami polskimi, a głównie przez ożenienie się z Polką, a ztąd przez związki małżeńskie i rodzicielskie, stał się rzeczywiście Polakiem... Pod tym czcigodnym nauczycielem, który dozgonnie był najlepszym moim i całej rodziny mojej przyjacielem, otrzymałem najpierwsze moje naukowe usposobienie, które w chwili, gdym do szkół przechodził, zasaadzało się więcej na ogólnem rozwinięciu władz umysłowych, niż na szczegółowem wyuczeniu przedmiotów naukowych". Ciemny brunet o bystrych inteligentnych oczach, o twarzy wygolonej, o orlim wydatnym nosie, zawsze nadzwyczaj starannie ubrany, co między innemi świadczyło o jego wysoce cywilizowanych upodobaniach, żądny wiedzy, wieczorami najchętniej przesiadujący nad książką, łagodny, choć usposobienia żywego, nerwowego, w rozmowie zajmujący, w zwykłych jednak warunkach był spokojny, „uroczyście poważny“, „z pewną wykwintnością w obejściu, cechującą człowieka dobrze wychowanego“.

Niemniej dobrze wychowaną była jego żona, „najgodniejsza z kobiet“, jak ją nazywali jedni, a pełna kobiecości i „niezwykłej słodczy charakteru“, jak się o niej wyrażali drudzy. „Pani Chopinowa—charakteryzuje ją w swych wspomnieniach Eugenjusz Skrodzki — którą bliżej ją znający miłowali i szanowali, była typem rządnej, zabiegliwej a pracowitej polskiej gospodyni, co to bez chciwości i cudzej krzywdy umie z drobiazgów kłaść fundamenty pod przyszłą na starość zacie ubieraną fortunę...“ Nadzwyczaj łagodnego usposobienia, bardzo religijna, stworzona na matkę i żonę, była to kobieta, dla której—jak powiedziano trafnie —

mąż i dzieci stanowiły główną oś wszystkich myśli i uczuć. To sprawiało, że z mężem swym, do którego była szczerze przywiązana, tworzyła rzadko dobraną parę, „szukającą szczęścia w cichem i spokojnem pożyciu domowem, umiejącą wytworzyć sobie atmosferę pełną pogody i ciepła serdecznego, a w dzieci swoje zaszczyć gorące wzajemne przywiązanie, dać im wielki zasób uczciwości, wrażliwości na wszystko, co dobre, szlachetne i piękne, wyrobić w nich poważny i stały *arrière fond* charakteru, złożony z prawdziwie etycznych i moralnych pierwiastków“. Wogóle, gdy chodzi o Justynę Chopin, to była jedna z owych postaci kobiecych, które tak olbrzymi wpływ wywarły na całe pokolenie pierwszej ćwierci XIX wieku, jedna z owych szlachetnych niewiast polskich, których cnoty i ideały unieśmiertelnił Mickiewicz w swym wierszu *Do Matki Polki*, a której pierwszy typ otworzył już Kochanowski w swym *Szacunku dobrej żony*. Typ kobiet podobnych, takich kapłanek domowego ogniska, nigdy nie był rzadkim w Polsce: owszem, prawie zawsze był powszechnym; a upowszechnił się zwłaszcza od chwili upadku Rzeczypospolitej, kiedy na kobiety spadł obowiązek nietylko wychowania następnych pokoleń, ale wychowania ich w dawnych tradycjach, w kulcie dla wszystkiego, co rodzime, polskie, słowem, w miłości ojczyzny. „Zbawienie duchowe młodego pokolenia—powiada Wójcicki o kobietach z generacji pani Justyny Chopin,—przyszło od matek Polek, ziemianek, z dworów wiejskich, i patrycjuszek Warszawy, jak i miast większych. One to, przy ogniskach domowych przechowując prababek swych cnoty i pobożność, wychowywały w nich działość swoją przy uszanowaniu zwyczajów, i wykarmione ich mlekiem młode pokolenia, chociaż chwilowo dawały się porwać prądem ku złej stronie, zawsze wracały na drogę prawości. One też zachowując cześć niewiasty, wdrażały w umysły młode szacunek dla całej płci swojej, jako też i dla sędziwego wieku. Każdy schylał głowę przed siwizną, cenił jej powagę i rozum nabyty, jeśli nie nauką, to długich lat doświadczeniem. Mężka młodzież, wychowywana wraz z płcią piękną, uczyła się od lat najmłodszych grzeczności i uprzejmej postugi dla słabych swoich

towarzyszek. Ztąd szła serdeczna miłość braci dla sióstr, ztąd i uczucie dla krewniaczek powabnych lub sióstr hodowanych pod jednym dachem, które wiodło na ślubny nieraz kobierzec“. W słowach tych mieści się najlepsza charakterystyka poczciwej i dzielnej żony Mikołaja Chopina, jako kobiety, żony, matki i Polki. Lecz niedość na tem. Prócz tych wszystkich zalet posiadała jeszcze jedną, wyjątkową, tę, którą Goethe nazywał w kobiecie *eine schöne Seele*. Albowiem była to dusza artystyczna, poetyczna, muzą zaś, która w niej roznieciła świętą iskrę talentu, była Euterpe. Wychowana starannie—dzięki opiece Skarbków—nietylko władała biegle językiem francuzkim, co na owe czasy było pierwszym warunkiem wykształcenia panny z szlacheckiego domu, ale nadto, będąc muzykalną z natury, bardzo ładnie grała na fortepianie, że zaś i głos miała dźwięczny, więc śpiewała niegorzej, niż grała, jedno i drugie czyniąc z dziwną poezją, z poezją, z którą przyszła na świat, którą miała w duszy. Ta poezja, ta muzykalność pani Justyny, były jednym z czynników, który ku niej pociągnął duszę Mikołaja Chopina, bo niedość że śpiewała polskie piosenki, te, które wtedy śpiewały wszystkie panny po dworach wiejskich, lub nuciła — przy kołowrotku — rzewne piosenki ludowe, lecz śpiewała i francuzkie romanse, np. Rousseau'a *Les consolations des miseres de ma vie*, którego muzyka wogóle była bardzo modną wówczas, zarówno w Polsce, jak i w całej Europie. Do tańca grała również z nadzwyczajnem zacięciem, tak, że przy niezyjej muzyce nie tańczyło się tak ochoczo, jak przy muzyce panny Justyny, a później pani Mikołajowej Chopinowej. Podkreślić należy, iż jako Krzyżanowska z domu, pochodziła z rodziny, która wogóle odznaczała się—i odznacza się aż po dziś dzień—wyjątkową muzykalnością, a nawet wydała kilka poważnych talentów muzycznych.

Odkąd wyszła za Mikołaja Chopina, o ile przebywano w Żelazowej Woli, mniej miała okazji do grywania na fortepianie, bo fortepian zdobił salon we dworze, ona zaś, wraz z mężem, mieszkając w oficynie, więcej to miała zajęcia, niż kiedy była panną, a własnego klawikordu nie posiadała w swem mieszkanku. Mieszkanko to, do którego się prze-



nieśli zaraz po ślubie, mieściło się w prawej połowie oficyny (po drugiej stronie, przedzielonej sienią, znajdowały się kuchnia i piekarnia dworska). Składało się ono z trzech niskich pokoików, „trzech klatek raczej“, o bielonych ścianach o pułapie z belek, a umeblowano ubożuchno, choć schludne i ujmujące prostotą, chyba tem się różniło od zwykłych mieszkań niezamożnych oficjalistów wiejskich, że w pokoiku, w którym zwykł przesiadywać pan Mikołaj, znajdowało się kilka pułek z książkami, wyłącznie francuzkami: Molière, Racine, Corneille, Fenelon, pan Staël i wielu innych. Drugi pokój, największy ze wszystkich trzech, służył za salonik; trzeci zaś, po prawej stronie saloniku, „na kłęb wychodzący, a pozwalający z okna widzieć szeroką perspektywę doliny Utraty“, był sypialnią pani Justyny.

W tym to pokoiku, dnia 22 lutego 1810 roku, o godz. 6-ej wieczorem, wśród mroźnej zimy, gdy dookoła wszystko spoczywało pod śnieżnym całunem, powiła pani Justyna dziecię płci męskiej, z którego z czasem miał wyrosnąć najgenialniejszy z muzyków narodowych polskich, a „najśmielszy i najdumniejszy duch poetycki naszej epoki“. Istnieje legenda, że w chwili, gdy przyszedł twórca *Mazurów i Polonezów*, przyszedł na świat, za oknami rozlegały się dźwięki skrzypiec i basetli, gdyż właśnie paru muzykantów wiejskich „rznąło od ucha“ przed gankiem dworskim, oznajmiając dzie-dziczce, że się zanosi na weselisko we wsi...

W równe dwa miesiące potem, dnia 23 kwietnia 1810 roku, odbyły się w kościele parafjalnym brochowskim chrzciny nowonarodzonego dziecięcia. Chrzestnymi rodzicami byli: przyjaciel Mikołaja Chopina, Franciszek Grembecki, oraz starsza z córek dziedziczki, hrabianka Anna Skarbkówna. Ponieważ chodziło o zaznaczenie wdzięczności dla chlebowdawczyni, więc jak przy chrzcie pierwszej córeczki nadano jej imię hrabiny Skarbkowej, tak obecnie, przy chrzcie pierwszego syna, dano mu — na intencję nieobecnego Fryderyka hrabiego Skarbka — na pierwsze imię Fryderyk, na drugie zaś — na intencję ojca chrzestnego — Franciszek.

W księgach stanu cywilnego parafji Brochów, znajduje się aż po dziś dzień metryka chrztu Fryderyka Franciszka

dwojga imion Chopina, której dosłowny odpis łaciński, ogłoszony w *Słowie* ze stycznia 1893 r. przez księdza Bielawskiego, brzmi, jak następuje:

Annus 1810, 23 Aprilis.

*Ego, qui supra supplevi ceremonias super infantem baptisatum ex aqua bini nominis Fridericum Franciscum, natum die 22 Februarii, Musicorum Nicolai Choppen Gali et Justinae de Krzyżanowska Legi. Conjug. Patrini Musicus Franciscus Grembecki cum Musica D-na Anna Skarbkowa Comtessa de Żelazowa Wola.*

Niemowlę, karmione mlekiem matki, choć wątłe nadzwyczaj, chowało się dobrze, a tymczasem Mikołaj Chopin, ponieważ dzieci hrabiny Skarbkowej już podraستاły, szły do szkół, a temczasem przestawały potrzebować jego opieki, zaczął rozglądać się za jakimś nowym stanowiskiem, w czem mu zresztą hrabina obiecała być pomocną. Pragnieniem Mikołajaja Chopina, począwszy od roku 1808 t. j. odkąd Fryderyk Skarbek ukończył Liceum, było otrzymanie posady nauczyciela języka francuzkiego w tym pierwszym zakładzie naukowym Warszawskim, że zaś przez hrabinę Skarbkową, zaprzyjaźnioną z redaktorem Lindem, mógł liczyć na protekcję u niego, więc czekał tylko na opróżnienie jednej z dwóch katedr języka francuzkiego w Liceum, zajmowanych przez prof. Mahé, wykładającego w klasach niższych, i prof. Rousseau, nauczającego w klasach wyższych. Właśnie w niedługi czas po przyjściu na świat małego Fryderyka, otworzyły się widoki na otrzymanie jednej z tych posad, prof. Mahé bowiem zachorował beznadziejnie i należało się troszczyć o zastępcę na jego miejsce. Rektor Linde, który w ciągu lat 1808—1809 miał sposobność u hr. Skarbkowej poznać osobiście Mikołajaja Chopina, przyczem wiedział o jego aspiracjach do profesury w Liceum, przypomniał go sobie teraz—do czego naturalnie przyczyniła się w pewnej mierze hrabina Skarbkowa—będąc zaś jaknajlepszego mniemania o guwernerze młodych Skarbków, bo zawsze słyszał o nim od hrabiny i jej syna same najwyższe pochwały, jako o czło-

wieku i pedagogu, zaproponował mu objęcie stanowiska po prof. Mahé. Mikołaj Chopin zgodził się bez wahania na tego rodzaju propozycję, co mu przyszło tem łatwiej, że przed końcem września, „wkrótce po rozpoczęciu się lekcji pierwszego półrocza“, prof. Mahé rozstał się z tym światem. Dzięki podobnemu zbiegowi okoliczności, został Mikołaj Chopin już w dniu 1 października 1810 roku, mianowany w Liceum nauczycielem języka francuzkiego *w klasach niższych*, za czem poszło, że w tym czasie, na krótko przed otrzymaniem tej oficjalnej nominacji, opuścił Żelazową Wolę i przeniósł się wraz z całą rodziną na stały pobyt do Warszawy.

(dok. nast.).

# Walka ze śmiercią.

NOWELA SZWEDZKA

(Według **Pelle Molina**).

Było już dobrze po zachodzie słońca, a jednak jasno było jak w dzień biały. W kraju północy, Skandynawji, niema prawie nocy w lecie; na godzinę lub dwie słońce schowa się pod ziemię, a i wtedy blask jego czarowny, nieznanymi w naszych stronach, jaśnieje w atmosferze, purpurą oblewa niebo i ziemię.

Salmon biegł przez góry, w błękitnym cieniu boru, odbijającym dziwnie na tle ogólnej czerwieni. Biegł ochoczo z tą zwinnością górala i normana zarazem, wężykiem wymijał sosny; pierś jego oddychała pełnią górskiego powietrza; nogi w lekkich sandałach ledwie dotykały ziemi, żaden odgłos kroków nie mącił pogodnej drzemki natury. Jeszcze mila, mała milka do miasteczka.

— Hm, cóż to? — Słychać chrzęst jakiś, gałęzie trzeszczą, jakby pod ciężkiem stąpieniem...

— Mniejsza o to. Ale ten doktor, co za ślamazara! A jaki ospały! Nieraz odbywał Salmon tę nocną po niego wędrówkę, wie dobrze, jak trudno go wyrwać ze spoczynku.

— Chrząkanie, czy sapanie? Ależ tak! — odgłos niezwykły a wyraźny...

Salmon przystanął i nasłuchiwał. Tej nocy był bardziej niespokojny niż kiedykolwiek. Tam, po za nim, najdroższa jego sercu istota, towarzyszka życia i gospodyni domu, matka trojga pociech, leżała między życiem a śmiercią.

— Ha, stary doktorze, wyskoczysz ty dziś z pościeli, albo ci Salmon szyby potłucze, drzwi wywali, a jak to nie pomoże, to cię za czuprynę wyciągnie! Możesz się później skarżyć do rady miejskiej, albo do pastora.

Tajemnicze chrapanie zamąciło znów ciszę nocną; potem rżenie, ksztuszenie, niby kaszel gwałtowny...

Salmon odgadł przyczynę tego hałasu; znał on dobrze „mowę“ niedźwiedzia.

— Poczekaj, mruku, wnet się uspokoisz—pomyślał; trzeba tylko cicho siedzieć i nie ruszać się.

Zatrzeszczały znów gałęzie, zaszeleściały liście, jakby się ktoś przedzierał, i dręszcz wstrząsnął ciałem wędrowca. W zaroślach ukazał się niedźwiedź, okaz niebywały, godny największego muzeum zoologicznego.

— A, toś ty takiego kalibru!

Przy tych słowach Salmon rzucił się ku najgrubszej sosnie, jaką dojrzał w pobliżu. Istotnie położenie było poważne. Widać nietfortunny jakiś strzelec podrażnił zwierza, ten ucieka, a humor ma, że uchowaj Boże! Zbliża się, rycząc, jakby widok człowieka potęgował jego zaciekość. Sprawa będzie gorąca, i gdyby nie łaska opatrności, że tęgie drzewa w pobliżu, niedługo by się pociągnęła.

Niedźwiedź nie zawsze jest owym taranem niezgrabnym, za jakiego mają go powszechnie. W chwilach złości wywija rękoma, jak dobry gimnastyk, tylko że uderza mocniej od atletów. Drzewo łupie w szczapy, zdiera korę jak papier, młode jodełki łamie lub rwie z korzeniem; chrust, liście, gałązki, porosty lecą za tropem gniewnego pana. A jeżeli ma jaką urazę do człowieka, wystarcza minutka na załatwienie się z nim, ciężka minutka!

Salmon jeszcze nie dobiegł do sosny, gdy Miś już mu na pięty prawie następował. Ale otóż i ucieczka. Wnet rozpocznie się taniec, istny młynek dokoła drzewa; będzie się trzymał wciąż za drzewem, bacząc pilnie na ruchy zwierza,

i tak go wytrzyma aż do uprzykrzenia. Nogi ma tęgie, muskuły jak sprężyny, jakoś da sobie radę.

Napastnik nie dał na siebie czekać. Skakał to w bok, to prosto,—nadaremnie. Jął rwać mech dokoła, aż pył nappełnił powietrze. Potem przysiadł, jakby na czatach; skoro tylko człowiek się ruszył, zwierz rzucał się nagle na niego. Długi wszakże jego korpus nie mógł skokiem blisko okrążyć drzewa; to też próżne były wszelkie susy, człowiek wywijał się tuż za drzewem.

Fatalny ten taniec trwał już dość długo, skoro niebo na wschodzie złocić się zaczynało. Zniknęła zorza, lekkie obłoczki zajaśniały odbłaskiem słońca, a w fantazyjnym tem świetle odbywała się walka ze śmiercią...

Tam w dolinie, w dusznej izbie, inna ludzka istota pasowała się też ze śmiercią, z atakiem groźnej choroby...

Ze wszystkich strzelców okolicznych nikt się nie mógł pochwalić tak blizką znajomością swojskiego Misia, jak nasz bohater; zabił ich przeszło dwadzieścia. Nigdy jednak nie widywał tak wielkiego, a zarazem tak rozjuszonego zwierza, jak tej nocy nieszczęsnej, gdy, co gorsza, wcale nie miał czasu ani ochoty do zapasów. Co mu zawinił? Nie napastował go, nie drażnił, młodych mu nie zabrał. Może kto inny to uczynił? I on ma za kogoś cierpieć?

Kosmaty tancerz wpadł w furję prawdziwą. Z okiem iskrzącem, najeżonym włosem, sapiąc i rycząc okropnie, skakał i biegał w koło drzewa, a koła zataczał coraz ciaśniej. Salmona ręce piekły od ciągłego tarcia o korę, miejscami zdarł skórę do żywego ciała.

Dokąd to potrwa? Czy nie nadejdzie z kąd pomoc przypadkiem? Ah, żeby miał strzelbę! A tam żona i matka umiera...

— Hop, hop!.. ratunku!—wołał nieszczęsny.

W chwilach spokoju dochodziły z doliny odgłosy szczekania psów. A więc tak blisko do jakiejś zagrody, i żadnej, żadnej pomocy! Hu! ha! ho, hop!..

Niedźwiedź nie daje za wygranę. Rzuca się, skręca niespodzianie to w tę, to w ową stronę; już drasnął porządnie swą ofiarę raz i drugi. Salmon z bijącym sercem, okiem

rozognionem, cały w potach, czuje, że tylko zręczność i wytrwałość ocalić go może. Dokoła pnia ziemia goła, ubita jak na klepisku; obok wszystko obsypane szczątkami kory, mchu, trawy, liści, gałązek, z pod których wygląda zgubiony jego trzewik, gdy drugi ledwie się trzyma na nodze, podziurawiony i podarty.



*...chwycił za bary nieszczęśliwego chłopka.*

Niedźwiedź zmienił taktykę. Czy spostrzegł, że tą bieganiną zdobyczy nie posiadzie, czy chciał wytechnąć, dość że przysiadł, jakby na czatach. W człowieku krew wrzała. Oka nie spuszczał ze strasznego wroga, a jednak myślał

o czemś innym. Jego Marja droga jęczy tam, rozpacza, rwie włosy w okropnych cierpieniach, dzieci zanoszą się od płaczu, a on żadnej ulgi, ani pociechy dać nie może, sam uwięziony, oderwany od ludzi, rzucony na pastwę potwora.

Z pod drzewa, za którem szuka ocalenia, widzi miejsce, gdzie ubił niedawno dużego zwierza od jednego strzału. Niedalekó ztąd załatwił się jeszcze lepiej z innym i wpakował mu gałąź ostrą do paszczęki, a dzielny jego przyjaciel Halfdan siekierą rozplątał zwierzowi czaszkę. A tutaj on, ten sam, drży ze strachu! Salmon chciałby tylko uciec przed napastnikiem!

Wprawdzie nie on jeden lęka się niedźwiedzia. Nie dalej jak parę tygodni, szedł sobie tędy z innym towarzyszem. Naraz dziki mieszkaniec lasów zaszedł im drogę. Spotkanie było tak nagłe, niespodziewane, że choć sprawa dobrze się skończyła, nieborak za każdym drzewem upatrywał później Misia. O tak! Góry te były świadkami niejednej ciekawej historii; ale takiej, jak teraz, dalibóg nie było...

Wtem zwierz uczynił zwrot niepospolity. Jednym rzutem znalazł się za drzewem, przyskoczył z tyłu i chwycił za bary nieszczęsnego chłopka, jakby go chciał od drzewa oderwać. Z bólu czy ze strachu, sam nie wiedząc jak, Salmon wyrwał z za pasa kordelas myśliwski i pehnął nim zwierza w lewe oko. Wytrysnął strumień krwi gorącej; niedźwiedź z rykiem piekielnym wypuścił ofiarę, odskoczył, wymachując łapami w powietrzu.

— Dobrze—pomyślał kmiotek. Lecz sam był zraniony, wyczerpany. Czyż reszta sił starczy mu do nierównej walki?

— Nie ja będę wdowcem tej nocy; ona będzie wdową..

Słońce zeszło. W złotawych promieniach zajaśniały szczyty, dając znać o przebudzeniu się natury. O tej porze powinien Salmon być w domu, z pożądaną pomocą. W domu? Alboż on ma dom? Widzi tam pustkę, rodzina rozproszona, dzieci poszły na tułaczkę, ojciec zginął bez wieści. Smutna historia, dzieje smutku i żałoby.



Koło drzewa niema już wściekłych zapasów, ustała biegania. Napastnik stoi teraz, kąsa na prawo i na lewo, ryczy, uderza w drzewo potężną łapą, korę drze w szmaty. Salmon obdarty, na wpół obnażony, w przedziurawionym bucie, z którego pięta sterczy, chyli się, pełza, to powstaje, chowa się za sosnę. Lewą ręką obejmuje wciąż konwulsyjnie drzewo zbawcze, nie czuje, że całe ramię pokaleczone,



— *Mass, oto masz za swoje!..*

jętę się i rani coraz bardziej. Oczy jego błyszczą lodowato, zięją chłodem, przejmującym bardziej od mrozów północy; nóż miga w powietrzu z szybkością błyskawicy.

Słońce oświetliło wierzchołki sosen. Człowiek i zwierz uwijali się, wirowali niezmordowanie. Nagle Miś rzucił się straszliwie, jakby chciał zmiażdżyć niepochwytanego przeciwnika; chwycił za drzewo, aż zatrzęśły się całe konary, objął je dokoła, skrzyżowawszy łapy po drugiej stronie,

i szarpnął z całym wysiłkiem niedźwiedziej mocy. Tego było nadto. Salmon ścisnął nóż w rękę i wepchnął go raz, drugi, trzeci między łopatki potwora.

Ten ani jęku nie wydał; puścił sosnę, przegiął się na wznak, skoczył i rzucił się z wściekłością na jaką morderowany zwierz dziki zdobyć się może. Nieszczęsnemu chłopcu oczy zaszyły mgłą czerwoną, ziemia zdawała się rozstępować pod nogami.

— Cóż to, zemdleję? Nie, to byłoby sromotne. A tam wdowa, dzieci...

Ptaszek jakiś zaświergotał tuż nad nimi.

— Nieustraszone stworzenie—szepnął.

Odwaga wstąpiła weń nagle—odruchowo utopił nóż aż po rękojęć w brzuchu przeciwnika.

Niedźwiedź padł, jak kłoda. Zerwał się jeszcze, przysiadł, wydał ryk jak grzmot przeciągły, ostatni ryk konającego bohatera puszczy; potem ział okropnie, wijąc się na grzbiecie, krew buchała z cielska i z wybitego oka, gdy drugie żarem pałało, wnętrzności wyglądały z rozprutego żywota.

Promienie słońca przedarły się już przez gęstwinę boru i spozierały ukradkiem na tę walkę straszną. Skrzydlata rzesza gwarzyła wśród gałęzi; jakiś ptak błotny odzywał się krzykliwie.

Ostatni raz niedźwiedź okręcił się koło drzewa, piana wystąpiła mu z paszczy, wreszcie upadł na wznak, drgając konwulsyjnie. Jeszcze jedno pchnięcie, w samo serce — i pod fatalną sosną legło bezwładne krwawe ciało potwora.

— Masz! Oto masz za swoje! Za matkę! Za dzieci! Za całą noc!.. hhhaaa!..

I chłopek mścił się na martwym niedźwiedziu, kłuł go nożem, krzycząc jak opętany, aż bezsilny i nieprzytomny runął na ziemię.

W głowie majaczyły mu się myśli dziwaczne. Widział żonę umarłą. Kto ją pochowa? Kto zanieśie trumnę przez las, w sobotę? Drogoby to kosztowało. Nie pomalują nawet

trumny; włożą jego żonę do lichej skrzyni, jak nędzarza. Zkąd on desek weźmie na trumnę? Sędzia ma desek moc w swoim tartaku, ale nie da ani jednej, oh, nie da!..

Cóż to za ludzie idą po moście? Niosą kufer duży. Co w nim jest? „Ludzie! porzućcie kufer, ratujcie się sami... niedźwiedz... uciekajcie, biegajcie wkoło drzewa“!.. Matka ich czeka... czeka tak długo...

Salmon zasnął.

Niedługo spał jednak. Poruszyły się gałęzie, a wśród nich ukazała głowa zwierzęcia, schowała się trwożliwie, wyjrzała z drugiej strony. Był to mały niedźwiadek. Całą noc siedział skurczony na drzewie; i on miał noc niezwykłą. Nie



dział  
Euro

r

zi

c

*I niedźwiadek zsunął się na kark śpiącego..*

mogąc doczekać się matki, wyszedł na zwiady. Matka leży spokojnie, obok jakiś towarzysz. Dalej, śmiało! I niedźwiadek zsunął się wprost na kark śpiącego.

Salmon zerwał się nagle.

Objął niedźwidzia wzrokiem obłąkanym. Jedyna myśl mu zaświtała: ucieczka. Zając nie zmyka prędzej przed naganą. Bohater nocy, Salmon, myśliwy stał się chłopem

przerażonym, szalonym, opuszczonym od wszystkich, ściganym; biegł, pędził bez pamięci, ratując życie!..

Gdy się opamiętał, leżał na tapczanie. Nad sobą ujrzał pochyloną głowę Marji, bladej, podobnej raczej do cienia dawnej, ukochanej jego małżonki.

Nie, to nie widmo! Poznaje to drogie, łagodne oblicze.. A więc żyje! Uratował ją szczęśliwy kryzys, przesilenie.

Łzy spłynęły potokiem po grubych policzkach chłopka. Łzy radości ojca rodziny, która ocalała, czy łzy wstydu myśliwca, który stehórzył—niewiadomo.

Słyszać było tylko szept cichy. Głos modlitwy szedł ku niebu, ku Temu, który w podwójnej walce ze śmiercią, nie opuścił dwu istot ludzkich...

...a, pia..  
drgając  
e —  
po-

# Przeobrażenie Chin w świetle nauki

przez **Jana Hess.**

(*Dokończenie.*)

**Nowy przemysł i reforma wychowania.** Do jakiego stopnia spekulacja Zachodu potrafi rozkrzewić się w ogromnem państwie chińskiem? Jakie korzyści osiągnie to państwo ze zdobyczy naukowych i przemysłowych Europy? Nad tem zastanowić się warto.

**Koleje żelazne.** Rząd chiński dowiódł szczerych chęci podniesienia zamożności kraju, eksploatując jego bogactwa naturalne. Nie wahałby się też w tym kierunku rozwinąć działalności swojej, jak sobie życzą zainteresowani tą sprawą Europejczycy, gdyby nie był krępowany przez lud, który nie rozumie pożytku „nowości“, a raczej nadto dobrze rozumie wywołane ztąd niebezpieczeństwo. Niepodoba się Chińczykom, aby w przemyśle, wymagającym setek rąk, maszyny zastępowały te ręce i zmuszały je do szukania gdzieindziej środków utrzymania. Ponieważ zaś tam siłę stanowi lud, nie rząd, przeto bardzo wolno postępuje w Chinach zastosowywanie w eksploatacji mechanicznych naszych środków.

Mimo jednak usprawiedliwionych obaw i wynikającej z nich chwiejności w działaniu, zrobiono już wiele w tym kierunku. Lokomotywy biegną po drogach z Shanghai do Woosung, z Pekinu do Pao-ting-fu, jako zawiązek wielkiej linii Pekin-Hankau; z Pekin-Machia-pu do Tientsinu, z Tientsinu do Shanhaikwan, około 300 mil. Dodajmy do tego tramwaj elektryczny z dworca Machia-pu, przedmieścia Pe-

kinu, do południowej bramy stolicy Chin. Dzień inauguracji tego tramwaju w lipcu 1899 roku, był dniem ogólnej radości; tłumy ciągnęły z dalekich stron. Prości ludzie, widząc pociągi biegnące po szynach z Tientsinu, zdawali sobie sprawę z ruchu lokomotywy, rozumieli siłę pary, czyli wedle ich mniemania wody i ognia. W księgach zawierających tradycje i legendy przeszłości, znajduje się wzmianka o wozach ognistych, toczących się po ziemi i latających po powietrzu. Widok też pierwszej lokomotywy nie wzbudził w Chińczykach zbytniego zdziwienia; zauważywszy ogień pod kotłem i dym unoszący się z komina maszyny, przypuszczali, że to urzeczywistnienie owego legendowego wozu. Więcej zdumiewającym zjawiskiem był dla nich tramwaj elektryczny, pchany niepojętą siłą, spływającą z napowietrznego drutu. Dla oglądania go, przez cały miesiąc schodzili się tłumnie ciekawi, dla których wznoszono po drogach budki z jadłem i napojem, a których zabawiali wędrowni kuglarze i śpiewaczki. Było to jakby wznowienie staroświeckich uroczystości ludowych, z pieśniami z przed 6,000 lat, wszystko na cześć toczących się u stóp wysokich murów tramwajów, kierowanych przez brodatych i opasłych mechaników duńskich.

Jeszcze kilka szczegółów odnośnie do kolei żelaznych: Na linii Pekin-Shanhaikwan koszt budowy jednej mili, łącznie z materiałem wagonowym i warsztatami wynosi 6,000 funtów szterl. (funt st. = około 10 rubli). Lokomotywa w Anglii zbudowana i transport jej do Tientsinu kosztuje 2,800 funtów, a budowa i dostawa trwa 28 miesięcy. Koszt lokomotywy amerykańskiej wynosi 1850 funtów, budowa zaś i dostawa wymaga 4 i  $\frac{1}{2}$  miesięcy. Wreszcie taka sama lokomotywa, zbudowana w warsztatach chińskich w Tongshan, kosztuje tylko 1,000 funtów. Zdaje się, iż Chińczycy zaczynają coraz bardziej rozumieć korzyść własnych warsztatów.

**Kopalnie.** Chiny więc są zdolne do stosowania u siebie środków, używanych w przemyśle europejskim. Widzieliśmy eksploatację kolei żelaznych, wiemy o warsztatach, w których budują lokomotywy. W pobliżu Tongshan czynne są kopalnie węgla, a w nich pracujący robotnicy wydobywają do 2,000 tonn dziennie; sprzedają je od 9 do 12 szylingów za tonnę. Maszyny wiertnicze pochodzą z Niemiec. Oferty angielskie były o 2,000 funtów niższe od niemieckich, mimo to obstalunek otrzymali Niemcy, co zawdzięczają bezpośrednio wpływowi podróżującego po Chinach niemieckiego księcia cesarskiego.



Wielki mur chiński.

W innych warsztatach chińskich w Hanyang wyrabia-  
no dziennie 120 tonn szyn dla kolei Shanhaikwan. W ciągu  
roku kopalnie w okręgu New-Chang wystąpiły 300,000 funtów  
złota do Shanghai. Możliwy zebrać wiele innych podob-  
nych faktów na dowód, że przemysłowe przeobrażenie Chin  
jest dziełem nie przyszłości, ale teraźniejszości i że to prze-  
obrażenie przedstawia dla Chin, jak i dla Europejczyków,  
mających im na tej drodze dopomódz, zarówno wielkie ko-  
rzyści, jak i wielkie niebezpieczeństwa.

W tym względzie godzimy się w zdaniu z panem Mar-  
celem Monnier, który opisawszy żupy solne w Tse-Liou-  
Tsin, gdzie w sposób pierwotny Chińczycy wydostawali  
z wnętrza ziemi sól na głębokości rzadkiej, dodaje:

„Ci praktyczni ludzie potrafią niechybnie ocenić sku-  
teczną pomoc inżynierów, którzy nauczą ich ciągnąć więk-  
sze zyski z naturalnych bogactw kraju, wskażą sposób  
spożytkowywania gazu i zaniedbywanych dotąd źródeł  
nafty.

„Zmieniłoby się jednak położenie, gdyby cudzoziemiec  
wystąpił w charakterze konkurenta, naraziłby się tem sa-  
mem na poważne niebezpieczeństwo. Zjawienie się przyby-  
szów, nadających odmienny tryb pracy, z której żyło ko-  
lejno tyle pokoleń, musiałoby wywołać walkę. Zrozumieć  
to łatwo. Ludzie ci broniliby nie tylko dawnych zwyczajów  
i przesądów, ale bytu swego. Trzy lub cztery fabryki pa-  
rowe, zatrudniające stosunkowo małą ilość ludzi, odrabiały-  
by pracę, wykonywaną obecnie przez ludność złożoną z 2  
do 300,000 głów. Próżno dowodzonoby, że ci ludzie mogą  
znaleźć zarobek w innych zakładach przemysłowych. Po-  
dobna zmiana byłaby dla nich ciężką i dotkliwą; odczuwają  
oni instynktownie, że mieliby przykre zadanie, wolać więc  
spełniać pracę, do której przywykli. Pod tym względem  
okazują wyjątkową nerwowość i drażliwość.

Czy z tego wnosić mamy, że przemysł europejski nie,  
lub bardzo mało ma do zrobienia w Chinach, że ze wzglę-  
du na odwieczne przesady i zwyczaje, wszelki rodzaj postę-  
pu musi tam być odkładany do nieskończoności? Bynaj-  
mniej. W tym kraju każde przedsiębiorstwo znajdzie dla  
siebie obszerne pole działania i przyjdzie chwila, w której  
to starożytne państwo odczuje potrzebę zużytkowania wszyst-  
kich bogactw, zawartych na jego obszarze. Wówczas ujrzy  
się ono zmuszonym odwołać się do inżynierów i kapitałów  
Europy i Ameryki. Rozwój ten odbywać się będzie powol-  
niej, niżeli wyobrażają sobie ci, którzy życzenia swoje po-  
czytują za rzeczywistość, lub zwykli zdanie w tych kwe-



stjach wygłaszać proroczym totem, prędzej jednak czy później, spełnić się musi. Słusznem jest, aby reprezentanci wyższej cywilizacji skorzystali z tego w interesie płodnej twórczości dla torowania nowych dróg komunikacji, zaprowadzenia nowego przemysłu, podniesienia wartości rzeczy odłogiem leżących. Nie należy jednak wyzuwać z własności ludów, które, bądź co bądź, od tylu wieków dawały na swój sposób piękne przykłady pomysłowości i cierpliwej pracowitości. Zadaniem tych, którzy mają urzeczywistniać postęp, nie powinno być powiększanie w owym bogatym, ale i przeludnionym kraju liczby bezdomnych i głodnych“.

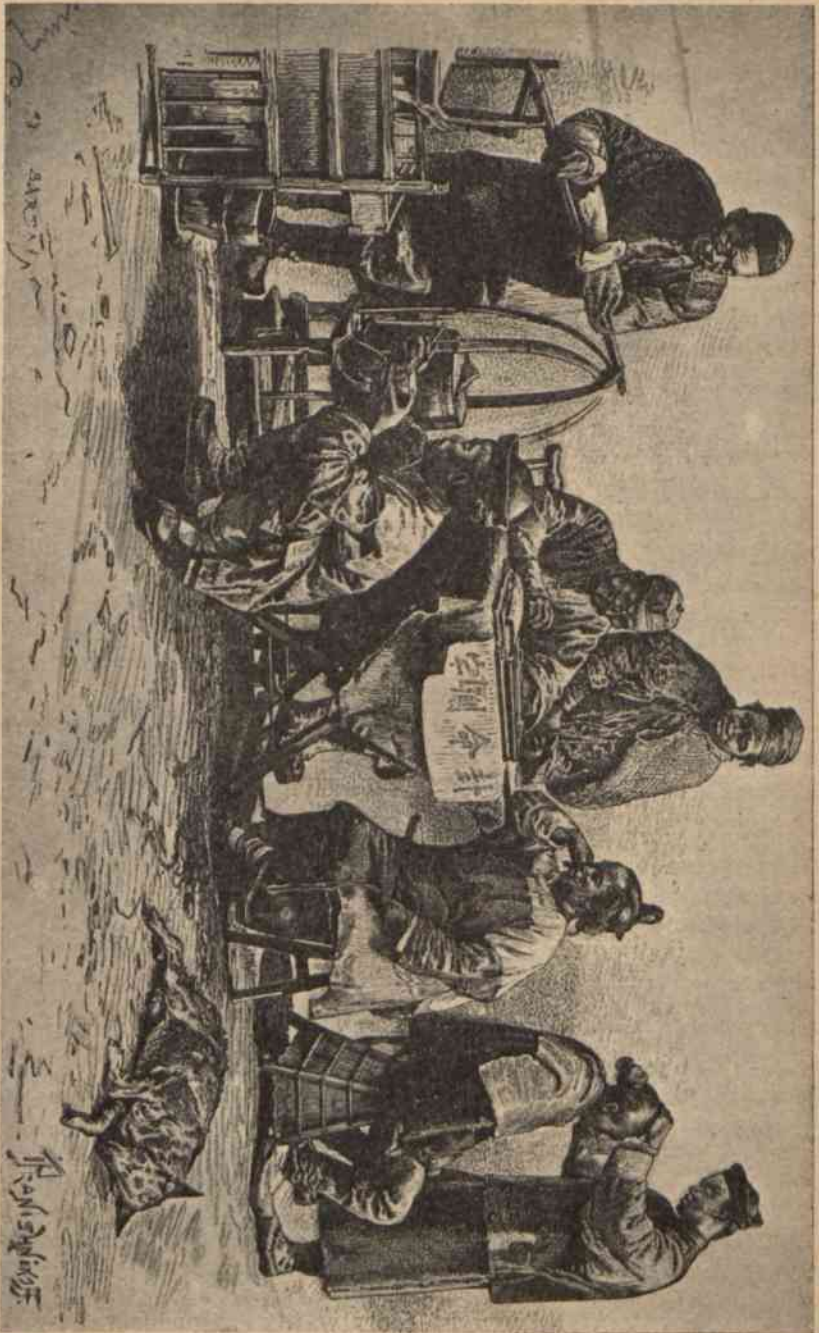
Uważam za właściwe podać wyjątki z urzędowych dokumentów chińskich, aby wykazać pojęcia rządu chińskiego o kolejach, kopalniach i różnego rodzaju postępie przemysłu. Czytam w depeszy Tsung-Li-Yamenu do ministra naszego z Pekinu (październik 1898).

„Nasz Yamen uważa, że produkcje górnicze różnych prowincji Chin nie były należycie wyeksploatowane, zarówno jak koleje żelazne magistralne i drugorzędne, które wymagają połączenia z sobą. Przy rozpoczęciu tych przedsięwzięć, dozwolone jest przedsiębiorcom zaciąganie pożyczek u cudzoziemców różnej narodowości, tak, aby udział w zyskach mogli mieć przedsiębiorcy chińscy i obcy. Interes wszelako powinien być zcentralizowany, a kapitały zabezpieczone. Zachodzi wprawdzie obawa, iżby nieoświeceni kupcy chińscy nie upatrywali w tem sposobności do oszustwa, iżby nie wskazywali podstępnie pewnych linii kolei żelaznych dla zawierania potajemnych umów z cudzoziemskimi przemysłowcami, w celu osiągnięcia większych zysków, aby cudzoziemcy w taki sposób nie byli narażeni na stratę funduszków swoich, słowem, aby nie udaremniano zawieranych umów. Nie odpowiadałoby to zupełnie intencjom naszego rządu, który dając szerszy rozwój kolejom żelaznym i górnictwu, chciał, aby z tych źródeł bogactw korzystali przemysłowcy chińscy i cudzoziemscy“.

Tsung-Li-Yamen oświadczał prócz tego, że wszystkie przedsiębiorstwa muszą mieć potwierdzenie i upoważnienie od administracji centralnej. W rozporządzeniu późniejszym, objętym 22 artykułami, czytamy:

„Kopalnie i koleje żelazne są podzielone na trzy rodzaje eksploatacji: Eksploatacja przez osoby z urzędu—przez przedsiębiorców—i łącznie przez urzędników i przedsiębiorców. Najpożądaną jednak bywa eksploatacja, dokonywana przez przedsiębiorców.

„Z wyjątkiem przedsiębiorstw już rozpoczętych przed



Życie uliczne w mieście chińskiem.

ustanowieniem administracji ogólnej, główną dążnością będzie osiągnięcie największej liczby eksploatacji, dokonywanych przez przedsiębiorców. Władze podejmą odpowiednie środki dla rozwoju tych przedsiębiorstw, i popierać je będą całymimi siłami, nie roszcząc sobie jednak prawa wtrącania się do administracji stowarzyszonych.

„Interesy górnictwa i kolei żelaznych w trzech prowincjach Mandzurji, Chantong i Long-cheou, jako ściśle związane z kwestją międzynarodową, nie mogą służyć za precedens tak dla udziałów kapitałów chińskich, jak i cudzoziemskich.

„Wszyscy ci, którzy otrzymają koncesję na eksploatację kopalń i kolei żelaznych, będą obowiązani zakładać szkoły, dla kształcenia odpowiednich fachowców.

„Po zbadaniu i oznaczeniu przez stowarzyszonych w eksploatacji kopalń lub kolei kierunku, mających być w jakiej miejscowości prowadzonych robót, władze lokalne powinny o tem zawiadomić ludność okoliczną, iżby przeszkód w wykonaniu ich nie stawiano. Gdyby na gruncie nabytym przez Towarzystwo znajdować się miały zamieszkałe domy lub groby zmarłych, należałoby szukać sposobu okrażenia ich, aby nie drażnić uczuć mieszkańców. Nie wypada bowiem w takich razach używać przymusu i gwałtu.

„Przy zbieraniu funduszków należy największe udziały dawać Chińczykom, tak, aby w każdym przedsiębiorstwie, po obliczeniu kosztów, 30% wkładów osobistych należało do Chińczyków i pozebraniu dopiero tej sumy wolno będzie odwołać się do kapitalistów obcych, bądź udzielając im akcji, bądź zaciągając u nich pożyczki. W razie, gdyby nie było wkładów osobistych, ani udziałów chińskich, a gdyby zgłaszali się wyłącznie akcjonariusze cudzoziemcy, koncesja na eksploatację musiałaby być cofniętą.

„W eksploatacji kopalni i kolei żelaznych, bez względu na kapitały i udział w niej cudzoziemców, władza administracyjna pozostawać musi w ręku Chińczyków, dla utrzymania przewagi narodowej.

„Jeśli Chińczycy, wzięwszy na siebie eksploatację kopalni lub kolei, zbiorą z własnych funduszków kapitał 500,000 taelów lub więcej, jeśli dowiedzione zostanie, że ten kapitał użyty był na prace eksploatacyjne, których rezultaty okazały się pomyślne, lub jeżeli przyłożą się czynnie do rozwoju przedsiębiorstwa, a udziały Chińczyków stanowić będą rzeczywiście połowę nakładowego kapitału, należy żądać dla nich nagród zgodnie z przepisem, odnoszącym się do osób,

zachęcających drugich do niesienia pomocy pieniężnej w czasie ogólnej klęski. Środek ten ma na celu powiększenie liczby ludzi dobrej woli“.

W raporcie Tsung-Li-Yamen'u do tronu, zatwierdzonym urzędownie, czytamy jeszcze:

„Dobre, szybkie koleje żelazne mogą być korzyścią dla państwa, a dogodnością dla ludu. Lepiej brać się do tego, co jest pilne, zaraz, co mniej pilne, później; utworzyć jądro dzieła, a resztę wykończyć z wolna.

„Najważniejsze linje główne z Lon-Kon-Kiao do Hankeau i z Hankeau do Kantonu, oraz najważniejsze, łączące się z niemi odnogi między Nankin'em i Shanghai, Sou-theon i Tche-Kiang, Pon-Keon i Sin-Yang, i między Konang-Swu i Kion-Kiang powinny być oddane przedsiębiorcy Cheng-Hinan-Honai ze „Stowarzyszenia Ogólnego“. Linje zaś z Tien-tsin'u do Chia-Kiang i linje leżące poza Chan-Hai-Kouan, dekretem cesarskim oddane zostały do wykonania Hou-You-Ten. Na linje z Taiyuan do Leon-Lin, otrzymało koncesję biuro interesów handlowych w Chansi. W Lon-tcheon, w Konungsi koncesjonariuszem został marszałek Sou-Yuan-tch'ouen. Wypada nam prosić ich cesarskich mości, aby zalecili tym wysokim urzędnikom szybkie i zadawalające wykończenie przed wszystkimi innemi owych ważnych linji. Zadne próśby o koncesję na nowe linje nie mogą być teraz uwzględnione“.

To wstrzymanie wydawania koncesji, o które cudzoziemcy starali się za pośrednictwem Chińczyków, jest za doścuźnieniem żądaniom ludu. Oto jedno jeszcze rozporządzenie co do kopalni.

„Przedsiębiorcy, którzyby chcieli otrzymać koncesję na eksploatację kopalni jakiej, będą mogli wybierać jedną tylko w okręgu miejscowość, a to w celu niedopuszczenia monopolu i dozwolenia wszystkim ciągnąć korzyści z owych bogactw mineralnych; nie będzie im również dozwolone eksploatawać kilka tu i tam miejscowości, w jednym departamencie lub w jednym okręgu“.

Dawny regulamin dopuszczał do przedsiębiorstwa 70% kapitałów obcych, nowy regulamin, uznając ten udział zbyt wielkim ogranicza go, iżby cudzoziemcy nie stali się panami położenia.

„Aby uniknąć zarzutu stronności, rząd nie będzie udzielał koncesji na eksploatację kopalni, póki nie zostanie uregulowany stosunek udziałów Chińczyków i cudzoziemców. Kierunek przedsiębiorstwa pozostanie przy pierwszych, a w ra-

zie gdyby ster interesu nie znajdował się w rękach chińskich, żądania cudzoziemców nie będą uwzględnione".

Opór ludności tak silny, że narzuca rządowi chińskiemu postanowienia, przeciwnie jego interesom i życzeniom, i tak widoczny, że nasuwa przenikliwym badaczom uwagi podobne do zapatrywań Marcelego Monnier, wystarcza, sądzę, aby wykazać niestosowność obaw, wyrażanych szumnie przez wynalazców „Złotego niebezpieczeństwa“.

Robotnik w Chinach jest tani i dobry. Konsul Bourne powiada: „Niewątpliwą jest prawda, że człowiek silny fizycznie, a zdolny umysłowo, uważany jako czynnik ekonomiczny, tańszym kosztem dostarczany bywa z Chin, niż z jakiegokolwiek innego szczepu“. Zaprzeczyć temu nie można. Ale istnieje prawo równowagi między podażą pracy, a popytem rąk roboczych. Z chwilą gdy przemysł, znajdujący ujście w wywozie, zapotrzebowałby więcej robotników, zarobek ich nie mógłby być tak niskim jak dzisiaj. Mało znacząca w przemyśle chińskim dawnego systemu płaca rzemieślnika podnosi się zaraz w przemyśle, prowadzonym systemem europejskim. Prawda ta poparta jest teorią i doświadczeniem. W Chinach założono w Shanghai fabryki wyrobów jedwabnych i bawełnianych. W fabryce jedwabiu dzień zdolnej robotnicy płaci się równie drogo, jak dzień robotnicy w Lombardji we Włoszech.

Chińczyk, jak już wiemy, umie dobrze rachować. Profesor Cordier czyni taką wzmiankę: Chińczycy do gotowania jarzyn i ryżu używają małych rondelków żelaznych, które w Chinach wyrabiane, są cienkie, w złym gatunku i prędko się niszczą. Kupiec jeden, Anglik, sprowadził z Anglii rondelki tego samego kształtu, lecz w lepszym gatunku, trwałe i tańsze. Pierwsze tuziny rozchwyte prędko zostały. Kupiec sprowadził drugi transport, ale ten nie znalazł amatorów. Chińczycy nie chcieli kupować rondelków cudzoziemskiego wyrobu, chociaż były lepsze i tańsze. Kładli to na karb fanatyzmu, nienawiści do wszystkiego co obce i już kursowały zdania o ograniczeniu i zacofaniu Chińczyków, gdy komisant handlowy zapytał jednego z nich: „Dlaczego nie chcecie kupować naszych rondelków?“ „Dla prostej przyczyny—odpowiedział zagadniony—przyznaję, że są tańsze i w lepszym gatunku od naszych, ale ponieważ w nich ściany grubsze, zużywają więcej paliwa i czasu na gotowanie“. Z ludem tak praktycznego umysłu, który tak drobniawo obrachowuje wydatki, nie można bawić się w mrzonki. Chiński robotnik i kupiec potrafią doskonale podnosić dla cudzoziemców cenę pracy i towarów. Nie bę-

dąc nawet bystrym obserwatorem, łatwo o tem przekonać się można w Chinach. Sławna taniość robotnika, zadawalającego się płacą kilku soldów dziennie, dochodzi zaraz do dolara dla obcych. Uważam tedy, że nawet przy współudziale zainteresowanych w tem Chińczyków, nowo zakładane fabryki miałyby dużo kłopotu z tem szacowaniem pracy robotników krajowych. Nie można dowierzać pojętym cyfrom kosztorysów, podawanych przez przedsiębiorców chińskich.

Wypada rozważyć także warunki produkcji przemysłu. Chiny mają wielki rynek narodowy. Ale długi czas jeszcze potrzeby będą mogły być zaspakajane rodzimym przemysłem ręcznym wystarczającym i doskonale przystosowanym do tych potrzeb. Dowodem tego jest przytoczona powyżej historia o rondelkach. Nadto, zdolność płatnicza reguluje możność kupna. Kwestję tę rozstrzyga prawo zdrowego rozsądku. Fakt: Anglicy mało teraz kupują w Chinach. Herbatę ztąd niegdyś brana, obecnie biorą z Indji, z Bormanji, z Cejlonu. Rezultat: zmniejszenie sprzedaży wyrobów bawełnianych do 13% wedle cyfr angielskich. Rynek każdy potrzebuje w rzeczywistości wymiany produktów. Szala dąży zawsze do przywrócenia równowagi; przewyżka, w jednym lub drugim kierunku, nie może nigdzie trwać długo. Owóż Chiny, doszedłszy potęgi przemysłowej na modłę europejską, jakichżeby wyrobów żądały od Europy i Ameryki, w zamian za wyroby własnych fabryk, któremi przemysł miejscowy współzawodniczyłby na swoich rynkach z przemysłem europejskim i amerykańskim?

Wielki rozwój przemysłu ma swoje granice i tych, jak sądzę, dosięgnie on niebawem; zasoby bogactw państw wogóle muszą się kiedyś wyczerpać. Gdy się tę kwestję rozważa gruntownie, dochodzi się zawsze do wniosku, że istotne bogactwo stanowią: starożytny wór zboża ekonomistów egipskich, pola ryżowe Azjatów, brogi kukurydzy Afrykanów, zapasy pozwalające nam zaspakajać głód przez całe życie i w każdej porze. Środki te jednak mogą być wyczerpane; zależy to od ilości ludzi i ich pracy. Różnica w produkcji nierówno rozdziela bogactwa na powierzchni kuli ziemskiej. Potężnym narzędziem, nagromadzającym owe bogactwa w kilku punktach, była para, wywołując produkcję forsowną, nadmierną i monopolizując dla kilku grup, będących dostawcami ogółu, ogólne korzyści pracy ręcznej. Wielki przemysł Anglii, Niemiec i Francji zaostrza rynki całego świata. Zrodziło to kapitał, ale także i proletarjat, a w miarę rozwoju gdzieindziej podobnego

przemysłu, krępującego handel, wywołało kwestję socjalną w jej zaostrej, współczesnej formie. Tysiączne proponowano sposoby rozwiązania tej kwestji. Ile wysiłków! Siła wyższa nad prawodawców parlamentu, trybunów zaufkowych, rewolucjonistów ulicznych rozwiąże ową kwestję, odpowiednio do przemian i rozwoju cywilizacji ludzkości. Wielkie rynki wytwarzają wielki przemysł ze swoim proletariatem. Gdy znikną wielkie rynki, zniknie i wielki przemysł z jego koniecznymi następstwami. Cała Europa i cała prawie Ameryka trudnią się przemysłem; Azja w pewnej części, a jak widzieliśmy, Chiny na swój sposób przemysł ten uprawiają. Po szybkim jego rozwoju w Afryce wnieść można, że nie upłyną wieki, zanim ukażą się maszyny nad brzegami rzek tamtejszych. Gdy więc wszystkie kraje świata przemysł własny posiadać będą, produkcja jego ograniczyć się musi do zaspakajania potrzeb miejscowych. Nad tym okresem wypadków zastanowić się należy: ułatwi to lepsze zrozumienie kwestji chińskiej, która w rzeczywistości jednoczy się z „kwestją ludzkości“.

**Umysł chiński i zadanie przeobrażenia.** W każdym razie konieczność dla Chin pozostaje niezmienną: czy zechcą one wejść, pod naciskiem „cywilizowanych“, do koncertu międzynarodowego, czy przeciwnie, posłuszne instynktom zachowawczym, pozostaną w swoim wyrachowanym odosobnieniu, potrzeba, aby używały naszych środków mechanicznych, jeśli nie na rozszerzenie granic swoich, to na własną obronę i nietykalność. To fakt niezaprzeczony. Tu mamy do rozwiązania zadanie, postawione na początku tego szkicu: czy Chiny w przymusowym przeobrażeniu, już zapoczątkowanym, mogą być zarazem głową i ręką? Czy też, dostarczając rąk tylko, będą zmuszone szukać głów w Europie? Pytanie to zmusza nas do zbadania umysłowości chińskiej.

Przedewszystkiem zapytajmy: czy istnieje Chińczyk? czy jest rasa chińska? Niema rasy chińskiej, ale jest Chińczyk. Coś podobnego powtarza się i w Europie. Niema rasy francuskiej, a jest, lubo od niedawnego czasu, Francuz. Etnografja Chin nadto dobrze znana, iżbyśmy rozważać ją mieli; dodamy kilka uwag tylko. Dowodzą, że różnolitość ras składających naród chiński, jest jedną z przyczyn słabości państwa. Można raczej utrzymywać przeciwnie, że ta różnolitość nadaje ogółowi więcej sprężystości i siły. Aliaż ludzki podobny do metalowego aliażu. Tak się dzieje i z innymi narodami. Połączenie różnych pierwiastków w zespoleniu narodowym stanowi siłę, w której czerpią nadzieję dłu-

giej przyszłości. Mówią o upadku szczepów łacińskich, cytując Hiszpanję i Włochy. Różnorodność ras w Hiszpanji i Włoszech była do tego stopnia słabą, że było można je rozklasyfikować. Gdy naród jaki jedną tylko obejmuje rasę, nosi już w sobie zarody słabości i upadku jednostki, chociażby owa jednostka była olbrzymem takim, jak Anglo-Saksończyk. Rozwój ras, składających naród chiński, jest kwestją bardzo prawdopodobną. Znajdujemy tam potężną narodowość, o charakterze trwałym, będącym wynikiem dziedziczności długich wieków, jakiej przykłady szukalibyśmy daremnie gdzieindziej.

Czytelnik zechce przypomnieć sobie fakty i prawa doboru w ustroju roślinnym i zwierzęcym, a cofnąwszy się myślą tysiące lat w tył, niech się zastanowi nad nieprzerwanym ciągiem tych samych czynów, pojęć, obyczajów, nawyknień, tych samych ruchów, tych samych przyjemności, tych samych cierpień, ambicji, radości, nadziei, przekonań, tego samego pożywienia, tej samej odzieży, tych samych mieszkań, tych samych wpływów gruntu i klimatu, na ten sam ród ludzki. Sądzę, że wtedy odpowiedź na pytanie: czy jest Chińczyk? nie będzie wątpliwą. Istnieje „człowiek chiński“ ze swoją odrębnie scharakteryzowaną umysłowością, ze swoim specjalnym mózgiem. Jakkolwiek badania mózgu w anatomji i fizjologii nie doszły jeszcze ścisłości, potrzebnej dla pewników naukowych, sądzą, że opierając się na faktach, logicznie przypuszczać można, że długa taka dziedziczność w wyczajach, obyczajach, pojęciach, uposaża ogół jednostek w mózg zgodny z działalnością myśli i czynów, będącą następstwem wysiłków pierwszych osobistości, wysiłków instynktownych, przez działalność fizjologiczną zmienionych anatomicznie u współczesnych osobistości; jest to anatomja nabyta, trwała i przenośna, zarówno, jak sama była przejęta. Trwałość tej anatomji i fizjologii jest w stosunku do trwania w przeszłości przyczyn, które je wywołały. Ci, którzy wyobrażają sobie, jak ów blagier Kang-Yu-Wei, w którym Anglicy upatrywali reformatora państwa, że dla przekształcenia Chińczyka na sposób europejski potrzeba mu tylko kupić „garnitur“ w modnym magazynie paryzkim, obciąć warkocz, kazać mu zapuścić włosy i brodę, ci grubo się mylą.

Narządem, który zwabia człowieka, wytwarza jego narodowość, *zatracać cechy rasy*, jest mózg. Dzieło dnia jednego może być zmienione w ciągu jednego dnia, ale byłoby niedorzecznością przypuszczać, że dzień jeden może przekształcić dzieło długich wieków. Zbyt wiele polityków grze-



szy takim pojęciem i dlatego też polityka europejska na dalekim Wschodzie jest niedorzeczną. Polityka to ludzi, których umysł kształcony był w szkole idealizmu, gdzie znajomość człowieka jest czczym słowem. Nauka rozwoju człowieka polega na tych samych zasadach, co nauka ogrodnictwa, przekształcająca gatunki roślin, co nauka hodowli zwierząt na siłę i na tuczenie. Zastosowanie specjalnych środków wpływa na to, że pochodzące od jednej krowy i buhaja okazy, odpowiednio do przeprowadzonej hodowli, żywiąc się tą samą trawą, z podobnym ustrojem żołądka, jedne z tego pożywienia wyrabiają w sobie mięso do pracy, inne mięso na użytek kuchni. Odmienne klimaty, odmienne pojęcia, odmienne obyczaje i t. d., składają się na to, że mózgi chińskie wytwarzają dziś myśli i czyny, różne od myśli i czynów europejskich.

Prawdopodobnie w pierwszych czasach pojawienia się życia ludzkiego na kuli ziemskiej działalność mózgow ludzkich objawiała się w jednakowy sposób, poprzestając na zaspokojeniu jednakowych potrzeb, przede wszystkim na zaspokajaniu głodu. Ta potrzeba stanowi dotychczas najpotężniejszy czynnik działalności ludzkiej — wszędzie. Ponieważ jednak warunki owego zaspokajania od początku świata nie przestają być różne, stosownie do miejscowości, zatem i mózgi ludzkie różnami się stały także.

Uczeni powinni by przekonywać ludzi, jak dalece jest daremne stosowanie w filozofji i polityce miar porównawczych ras i ludów; dochodzenie naprzykład, czy Chińczyk jest niższy, równy, czy wyższy od nas. Czyż nie byłoby dostateczne stwierdzić, że jest odmienny? Uprościłoby to rzecz całą niemało. Błędne klasyfikowanie ras na wyższe, równe i niższe, spowodowało wszystkie niedorzeczności polityki kolonjalnej. Ludy mające przewagę, stosownie do tego, czy uznają inne ludy za niższe lub równe sobie, robią z niższych poddanych swoich, lub z równych współobywateli; ztąd polityka ujarzmiania albo asymilacji, obie szkodliwe, jak wykazało doświadczenie. Gdyby przeciwnie ograniczano się na uznaniu odrębności innych ludów, nie szukano by wśród nich ani poddanych, ani równych, ale poprostu stowarzyszonych. Byłoby to lepsze i mniej kosztowne. Zdaniem regulującym stosunki państw europejskich z Chinami jest to, że Chińczyk jest od nas niższy. Ztąd ta polityka podbojów, szukanie poddanych wśród ludu, w którym nie należałoby upatrywać ani niższych, ani równych, ani wyższych, tylko ludzi odmiennych.

**Nauka i reforma wychowania.** Wychowanie czuwa nad zachowaniem normalnych pojęć chińskich, będących naturalnym wytworem mózgu. Dzieci chińskie uczą się w szkole— a szkoły w Chinach są wszędzie—poszanowania rodziny, poszanowania starożytności, ubiegania się za szczęściem na ziemi, a tem samem pożądaną wolności. Profesor Henryk Cordier tak określił to wychowanie.

„Treścią jego jest nauka ksiąg klasycznych, spisanych przez Konfucjusza i jego uczniów, lub zgodnych z tradycją. Młody Chińczyk, gdy go nauczą zasad czytania i pisania, zaczyna naukę od ksiąg elementarnych, księgi trzech słów; księgi tysiąca słów, księgi stu rodzin; przechodzi następnie do czterech ksiąg Konfucjusza i jego uczni, z których najznakomitszym był Mencjusz; w dalszym ciągu studjuje wielkich klasyków, księgę przemian, księgi poezji, rytuału wiosny i jesieni.

„Dzieła te i ich komentarze są podstawą edukacji chińskiej. Aby przejść z powodzeniem egzamina, potrzebne dla otrzymania jakiegokolwiek urzędu, Chińczyk musi umieć te księgi na pamięć, wykazując zdolność swoją przez zręczne, stosownie do okoliczności, cytowanie z nich ustępów. Cała jego filozofja i nauka zawarte w tych księgach. Oryginalność Chińczyka zależna mniej od osobistych poglądów, niż od dowcipnego rozbioru i przytoczenia doktryn starożytnych autorów. Wiadomości jego naukowe, bardzo słabe, ograniczają się do tego, czego mógł się nauczyć z Wielkiego Herbarza, z Encyklopedji Ma-Tuan-tsin i jego następców, oraz Toung-Tien'a.

Nauka klasyków, pozwalająca Chińczykom dojść stopnia bakałarza, licencjata i doktora, aby dostać się następnie do Akademji Han-Lin, stanowiłaby dla umysłów chińskich równie dobrą podstawę wychowania, jak dla nas nauka klasyków greckich i łacińskich, ale niestety, w ich egzaminach najważniejszą rolę odgrywają ćwiczenia pamięciowe i kaligrafja. Zręczna cytata wiersza z Chi-Keng będzie daleko wyżej ceniona od myśli oryginalnej, lubo z owego wiersza, obrabianego i przerabianego od wieków, formę tylko zmienić można, nic nowego nie dodając w treści. Cywilizacja chińska, która wyprzedziła wszystkie inne narody, zatrzymała się w drodze.

Ten ustęp Cordiera, który poczytuje Chińczyka za niższego z przyczyny jego stagnacji w rozwoju, spowodowanej nauką klasyków, przypomina prelekcje o naszych uczonych akademikach, zajmujących posady nadetatowe w wielkich administracjach. Wychowanie na modłę chińską odbywa

się także i w Europie. Nie przeszkodziło to jednak owej Europie robić postępów w naukach, gdy okazała się tego potrzebą. W stagnacji rozwoju nie koniecznie tkwi upadek umysłowości chińskiej. Jest to tylko jakby spoczynek, usprawiedliwiony okolicznościami. Komplikacja klasycyzmu w wychowaniu chińskiem niekoniecznie czyniły naród niezdolnym do odrodzenia naukowego; obecnie potrzeba nie zmusza go do wynajdywania nowych umiejętności, a tylko do przyjęcia i zastosowania już istniejących. Jeśli chcemy zbadać pewne analogje, to przypomnijmy sobie epokę scholastyków, pradziadów, współczesnych egzaminatorów i profesorów.

Owa „chińszczyzna“, której wiele resztek jeszcze do dziś dnia się przechowało, była przeszkodą w ruchu naukowym, gdy jego potrzebę wywołało przeobrażenie społeczeństw europejskich. Rasy nasze miały świeższe mózgi od mózgów chińskich niezawodnie; ale Chińczyk nie potrzebuje wymyślać tego, co myśmy wynaleźli.

Nie należy też, tak u niego, jak u nas przesadzać niezdolności umysłowych, spowodowanych naukami klasycznymi. Jeśli uwagi Cordiera nasuwają przypuszczenie, że górująca nad innymi nauka kaligrafji chińskiej przytępia władze umysłu, przypominamy sobie inną uwagę p. Simon:

„Pismo chińskie jest ideograficzne, czyli, że każdy jego znak przedstawia nie literę, jak w alfabetach fonetycznych, ani nawet jeden wyraz, ale całą myśl. Ucząc się tedy czytać i pisać, dziecko nie zatrzymuje w pamięci wyrazów, ale myśli, które musi tłumaczyć, wykładać i porównywać; to przyczynia się do rozwoju jego inteligencji“.

„Europejczycy zwykle śmieją się—powiada Remusat—z geometrii Chińczyków, z ich astronomji i historii naturalnej.

„Zasady trójkąta prostokątnego znane były w Chinach 2,000 lat przed Chrystusem. Prace przy regulacji dwóch wielkich rzek, nadawanie dowolnego kierunku stu innym rzekom dla zalewania niemi przestrzeżeni stu tysięcy mil kwadratowych, świadczą o tem najlepiej.

„Jeśli teorie astronomiczne lub fizyczne tych ludów są błędne, za to ich katalogi zaćmień, komet, aerolitów są bardzo zajmujące.

„Ekonomja rolna i domowa jest u nich do tego stopnia udoskonaloną, że my od nich możemy się nauczyć wielu rzeczy pożytecznych“.

Chińczycy tedy posiadali naukę, niekoniecznie do naszej podobną, ale wystarczającą na ich potrzeby i odpowiednią

do stanu ich społeczeństwa, wpływ Europy narzuca im potrzebę nauki wyższej, to jest naszej nauki. Wdrożony do przyjmowania wielu pojęć moralnych, a mało pojęć naukowych, umysł chiński nie jest w możności przyswojenia sobie tego ogromnego dopływu pojęć naukowych, dla nich nowych, a stanowiących zakres naszej wiedzy. Umysł Chińczyka cechuje realizm, tendencja jasnego podziału rzeczy, potrzeba klasyfikowania wszystkiego. Piotr Laffitte zarzucił mu, że jest zbyt konkretny, tem samem niezdolny do abstrakcji, która dozwoliła nam rozwikłać tyle wielkich zagadnień i poznać prawa wiedzy. Zastosowanie jednak tych praw, tych pierwiastków oderwanych wymaga przede wszystkim umysłu konkretnego, zwłaszcza, że abstrakcje wynikają z rzeczywistości.

Widzimy wśród nas ogromną różnicę, zachodzącą między wynalazcami, a ludźmi czyniącymi z tych wynalazków zastosowanie, między filozofem matematykiem piszącym „O metodzie“ i tymi, którzy się tą metodą posługują. Taka sama różnica zachodzi między umysłem naszym wogóle, a umysłem chińskim. Ale, powtarzam: co wynalazł Newton, tego nie potrzebuje wynajdywać raz drugi Chińczyk; musi tylko nauczyć się środka zastosowywania wynalazku w praktyce. U nas nawet, wśród nadających kierunek korporacji przemysłowych, czy dużo znajdziemy genialnych wynalazków? Ileż ich wydają szkoły politechniczne, przy swej nauce, która bądź teoretyczna, bądź praktyczna, wymaga przede wszystkim i nadewszystko pamięci. Otóż pamięcią wyróżnia się głównie mózg chiński. Metoda, pozwalająca klasyfikować i spożytkowywać w porę dane pamięciowe, jest sama rzeczą pamięci.

Dla ludzkości nauka jest objawem najwięcej ludzkim. Będąc prawdą, jest nią dla wszystkich zarówno; dwa a dwa jest cztery—dla każdego kraju i dla każdego umysłu. Ten stosunek, raz znaleziony, nie może zmienić się nigdzie i musi być przyjęty jako taki, zarówno przez Chińczyków, jak i dzikich Murzynów. Starożytna cywilizacja, czy nowe barbarzyństwo nie może inaczej pojmować oczywistych prawd naukowych. Te prawdy narzucają się umysłom konkretnym i umysłom abstrakcyjnym. Gdy chodzi o zbudowanie i puszczanie w ruch lokomotywy, niema już wtedy ani konkretnych, ani abstrakcyjnych umysłów, jest tylko pamięć, stosująca w praktyce niezmiennie prawidła. Nie pytają się wówczas, czy owa pamięć te prawidła wynalazła, żądają tylko, aby je znała gruntownie.

Czy to możliwe w Chinach? Tak; pod warunkiem za-

stosowania w wychowaniu większości tego, co zrobiono dla mniejszości. W tem wychowaniu zatem potrzeba reformy. Wiedzą o tem Chińczycy piastujący władzę i pragną dokonać tej reformy. Uważają, że nie wymaga ona zmiany systemu, ale uzupełnienia w naukach. Sądzą, że dawne nauki klasyczne będą mogły być ograniczone do *skróconego zbioru rzeczy najważniejszych*.

Te pojęcia chińskie i te życzenia rządu, odnośnie do reformy edukacji, stanowią objaw żywiołu naukowego w kwestji chińskiej.

Nie chcąc ich analizą przeistoczyć, podam zarys charakterystyczny owych reform, jak je przedstawia wicekról Hon-Koang w projekcie, który zyskał aprobatę cesarskiego rządu.

„Ustawy nowych szkół, mówi J. Eks. Tchang-Tche-Tong, muszą głównie dotyczyć pięciu punktów:

„Pierwszy, aby wykładano w tych szkołach nauki starożytne i nowożytne. Zatem: cztery księgi, pięć ksiąg kanonicznych, historję chińską pod względem faktów i administracji, wreszcie geografję; to nazywam naukami starożytnymi. Za nowożytne uważam: administrację europejską, sztuki europejskie i historję obcych krajów. Nauki starożytne są gruntem i treścią, a nauki nowożytne uczą zastosowywania poprzednich nauk. Nie należy się więc oddawać nadto jednym, ze szkodą drugich.

„Drugim punktem jest potrzeba poznawania jednocześnie sztuk i administracji europejskiej. Zatem: oświata publiczna, geografja, budżet, podatki celne, przygotowania wojenne, prawa specjalne, popieranie przemysłu i rozwój handlu, wszystko to nazywam administracją europejską. Sztukami zaś europejskimi nazywam: arytmetykę, rysunek, eksploatację kopalni, praktyczne poznanie własności światła, głosu, elektryczności, chemji. Ludzie podeszłego wieku, posiadający wielki talent i dużo wiadomości, będą studjowali administrację europejską, a młodzi inteligentni, będą uczyli się sztuk europejskich. Nauka sztuk europejskich wymaga osobliwej pilności, wypadnie jej poświęcić przynajmniej lat dziesięć dla dojścia do pewnego stopnia doskonałości, administracji zaś w ciągu lat trzech; nawet zajmując się innymi jeszcze naukami, nabyć można najpotrzebniejszych wiadomości.

„Trzecim ważnym punktem jest, aby uczniowie byli młodzi. Do arytmetyki bowiem potrzeba bystrego umysłu; do geografji dobrych oczu; do studjów filozoficznych, nauki chemji, fabrykowania maszyn potrzeba subtelnej i praktycz-

nej inteligencji; do nauki języków ust zwinnych, do gimnastyki podatnego ciała. Ludzie, którzy przeżyli połowę normalnego wieku, musieli utracić część sił i zdolności swoich. Powtórę, mają już wyrobione pojęcia, głęboko w umyśle wkorzenione. Z trudnością im przychodzi wyrzec się ich dla nabrania nowych poglądów.

„Czwarty paragraf, poświęcony wykazaniu bezcelowości ćwiczeń szkolnych, odpowiadających naszym dawnym mowom łacińskim.

„Piąty paragraf zaznacza, że uczniowie nie powinni zadośćci sobie wzajemnie korzystnych wyróżnień, otrzymywanych w ciągu nauk. Tchang-Tche-Tong chciałby, żeby uczniom nie płacono, ale żeby oni płacili za naukę. Wreszcie w paragrafie dodatkowym mówi, aby nie wymagano zbyt wiele od nauczycieli.

„W ciągu pierwszych lat, oczywiście, inteligentni nauczyciele nie będą liczni. Ostatnimi czasy dużo bardzo drukowano w Shanghai książek europejskich w tłumaczeniu chińskim. Książki te traktują o różnych przedmiotach, z których najważniejsze są wiadomości administracyjne i dokładnie podane wiadomości o sztukach. Dzięki tym książkom, będzie coraz więcej przybywało dobrych profesorów.

„W ostatnim dziesięcioleciu prowincje zamawiały do nowych szkół profesorów europejskich; to jednak przedstawia dwa rodzaje trudności:

1). „Nauczyciele i uczniowie nie rozumieją się wzajemnie i muszą używać pośrednictwa tłumaczy. Owi tłumacze, niedostatecznie znający obce języki, wyteżając uwagę dla pochwylenia mowy profesora, nie rozumieją po większej części wykładanej przez niego nauki. W każdym razie lekcji w podobnych warunkach zbywa na dokładności i jasności.

2). „Wtedy nawet, gdy tłumacze są dobrzy, nauczyciele mogą zaledwie dwa lub trzy razy dziennie wykladać, co ścieśnia bardzo zakres ich nauki. Wiadomo, że zakorzenionym u Europejczyków zwyczajem jest opieszale spełnianie usług w Chinach; dla przeciągania czasu służby, korzystają chętnie z każdej sposobności, aby dodać coś do swego programu i uczyć pięć lat dłużej. Przytem sumiennie nawet pełniąc obowiązki, czyż jeden profesor jest w stanie wiele nauczyć? Płaca profesorów europejskich jest bardzo wysoka, wskutek tego w nowo zakładanych szkołach liczba osób, kończących wykształcenie, musi być bardzo ograniczona.

„W większych fabrykach i warsztatach Europejczycy

nauczają rzemieślników, ci, nie rozumiejąc języka obcych przewodników, muszą także używać tłumaczy, co pociąga za sobą wyżej wyłuszczone niedogodności.

„Pod koniec panowania Tao-Koang, Wei-chnien z Chao-yang przetłumaczył na język chiński różne książki i dzienniki i ułożył historję powszechną. Ta praca była źródłem wiadomości Chińczyków o rządzie europejskim. Później trochę, pod koniec panowania Tong-Tche, ówczesny taotaï Shanghaja Tong-Tsun-Koan, pozakładał biura wydawnictw książek, w popolicie używanym języku; z tych ksiąg Chińczycy czerpali pierwsze wiadomości o umiejętnościach europejskich.

„Zważywszy trudności, jakie napotykali stawiając pierwsze kroki na tej nowej drodze, Wei i Tong mogą być poczytywani za bohaterów. Gdyby w Chinach mieli iudzi, którzyby mogli wykładać nauki w języku chińskim, a jednocześnie znali języki Zachodu, wtedy nauczyciel i uczeń rozumiejąc się wzajemnie, nie byłiby narażeni na nieporozumienia i pomyłki, a rozwój inteligencji stałby się łatwiejszym. Ci, którzy będą pozbawieni nauczycieli, posługiwac się zaczną w ich zastępstwie książkami, przyswajając sobie wiadomości odpowiednie ich zdolnościom i czyniąc w nauce szybkie postępy. Nadto, w stosunkach urzędowych między władzami chińskimi i cudzoziemskimi, w redagowaniu traktatów, jeśli myśl tekstu nie jest zgodna z przekładem europejskim, daje to pole do oszustwa i może spowodować nieszczeście. Dlatego to potrzebna gruntowna znajomość języków europejskich.

„Zauważyłem, że sporo jest Europejczyków, którzy znają język używany w mowie i język używany u nas w piśmie, podczas gdy rzadko spotkać można Chińczyka, któryby posiadał dostateczną znajomość języka i literatury europejskiej... dlatego też w interesach z Europejczykami Chińczycy ciągle bywają oszukiwani i niejednokrotnie szkodzą sprawom bardzo ważnym.

„Wogóle, język angielski używany jest przez kupców w portach i w handlu, francuzki do korespondencji dyplomatycznej i redagowania traktatów. Japończycy do chwili obecnej przetłumaczyli już najważniejsze dzieła, dotyczące umiejętności europejskich. Jestem zatem zdania, że najkrócej byłoby przetłumaczyć książki japońskie; oszczędziłoby to dużo pracy, a rezultat byłby prędszy, życzyć zatem należy, aby język japoński upowszechnił się wśród nas co rychlej.

„Trzy są pożądane warunki, tyczące się tłumaczenia książek: 1-o aby w każdej prowincji zakładano po kilka biur

tłomaczeń; 2-o aby ministrowie chińscy, wysyłani za granicę, poszukiwali w każdym kraju najważniejszych publikacji i wybierali te, które tłumaczyć należy; 3-o aby bogaci księgarze z Shanghai i literaci dobrej woli łączyli starania swoje, celem tłumaczenia i taniego sprzedawania książek, z Europy pochodzących.

„Sentencja Wang-Tong'a: Ten, który znając dzieje starożytne, niezna terażniejszości, jest człowiekiem niezdolnym i upartym; ten, który znając terażniejszość, niezna starożytności jest głuchym i ślepym. Można by zmienić nieco to zdanie i powiedzieć: Ten, który znając sprawy obce, niezna spraw Chin, jest człowiekiem bez serca; ten, który znając sprawy Chin, niezna spraw obcych, jest głuchym i ślepym. W rzeczy samej, gdy nie nabędziemy znajomości języków europejskich, gdy nie poznamy ich literatury, nie będziemy tłumaczyli ich dzieł, wyprzedzą nas inne narody, zostaniemy pokonani, sami o tem nie wiedząc; będą intrygowali przeciwko nam, a tego nie zrozumiemy; połączą nas, a nie będziemy tego świadomi, zniszczą nas, a tego nie zauważymy. Czyż nie dowodzi to ślepoty i głuchoty? A teraz, jeśli przy egzaminach na stopień licencjata i doktora będą wybierali tematy nakształt ćwiczeń w ośmiu częściach, jeśli przy egzaminach mandarynów dworskich będą po dawnemu oceniali ich zdolności miarą wprawnej kaligrafji, jeśli od tego jedynie zależne ma być dostąpienie godności i wyższych urzędów, daremną byłoby rzeczą zachęcać naszych młodych literatów do obrania innej drogi, daremnie przestrzegać ich o grożącym niebezpieczeństwie i potrzebie zaradzenia mu, daremnie nakłaniać do studjowania rzeczy współczesnych, i szukać talentów zdolnych, nieść skuteczną pomoc rządowi,—literaci dworscy i prowincjonalni będą żyli w dalszym ciągu w sromotnej nieświadomości, w szkodliwej swej nieruchawości.

„To też, jeśli chcemy stanąć na wysokości zadań obecnej chwili, musimy odważyć się na zmianę dawnych metod, a chcąc tej zmiany dokonać, trzeba zacząć od reformy egzaminów na stopnie.

„Ktoś zapytać może: jeśli zmienicie egzamina i odrzucicie ośmioczęściowe ćwiczenia, czyż chcecie także znieść studja pięciu ksiąg kanonicznych, czterech ksiąg klasycznych? Czyż z planu waszego nie wyniknęłyby inne jeszcze wadliwości?

„Na to odpowiem: Reforma egzaminów na stopnie nie pociąga za sobą konieczności zaniedbania i nauki czterech ksiąg. Dowódzę tylko, że nie potrzeba poświęcać czasu



głównie na ośmioczęściowe ćwiczenia, na robienie wierszy, na opisy poetyczne i na kaligrafię. Zdaniem mojem, można by zachować większą część ustaw obecnie obowiązujących przy egzaminach, nieco tylko je modyfikując“.

Odnosnie do nauki stosowanej do rolnictwa, przemysłu, handlu Tchang-Tche-Tong ma niemniej jasne pojęcia. Ustęp jego o górnictwie godny jest przytoczenia, bo wykazuje trafnie ducha chińskiego:

„Węgiel jest podstawą wszelkiego przemysłu, eksploatacja jego zatem jest rzeczą najbardziej nagłą“.

„W prowincjach, gdzie są kopalnie węgla, obywatele i kupcy powinni naradzać się wspólnie i zawiązywać stowarzyszenia studjów mineralogicznych. Członkowie tego stowarzyszenia, złożwszy potrzebny fundusz, wyślą kilku delegatów za granicę, dla nauki w szkole górniczej. Ukończwszy kurs kilkoletni i nabywszy gruntownej znajomości mineralogji, powrócą oni do Chin i pod ich kierunkiem będą czynione nowe próby eksploatacji.“

„Jeśli będzie można obejść się bez uczonych europejskich, tem lepiej, ale nawet w razie używania specjalistów z Europy, potrafimy odróżnić dobre od złego, prawdę od fałszu w ich pracach i nie damy wyprowadzić się w pole.“

„Ktoś gotów powiedzieć: zgodnie z waszem zdaniem potrzeba, aby uczniowie najpierw nabyli wiadomości, a dopiero potem otwierali kopalnie. Ale jeśli z jednej strony do zaczącia czas nagli, a z drugiej strony rezultat do tak dalekiej odkłada się przyszłości, co robić? Odpowiem: Jeśli istotnie niepodobieństwem dłużej czekać, jest jeszcze środek, który wydaje mi się praktyczny: wybrać jedną kopalnię w prowincji i sprowadzić Europejczyka. Po długich układach Europejczyk podejmie się przedsiębiorstwa; będzie mu wolno sprowadzić maszyny i użyć ludzi, ilu zechce. Zawaruje się w kontrakcie, że po otwarciu kopalni otrzyma on nagrodę i przypuszczony będzie do pewnej części zysków. Po upływie oznaczonego terminu, jeśli nie zdoła znaleźć i otworzyć kopalni, kara na niego zostanie nałożoną. Zaraz też, bez straty czasu, przy biurach stowarzyszenia eksploatacji założoną będzie szkoła górnicza. Tym sposobem nietylko byłyby otwarte kopalnie, przynoszące zyski akcjonariuszom, ale nasi uczniowie, komisanci stowarzyszenia, a nawet nasi robotnicy nauczyliby się praktycznie sztuki eksploatawania kopalni. Takim sposobem jednocześnie z otwarciem kopalni zyskujemy praktyczną szkołę górniczą“.

Czytać się zdarza w wielu pismach europejskich, że

lija chińska i wpływ Konfucjusza sprzeciwiają się postępowi. Oto odpowiedź Tchang-Tche-Tong'a.

„Dopóki inteligencja i bystrość umysłu ludzi są w stadjum postępu, z porządku rzeczy wypływa, że następcy przewyższają swoich poprzedników. Naturalnem jest tedy, że ci ostatni w doktrynach swoich w pewnych punktach zgadzają się z pojęciami ludzi dawniejszej epoki, a w innych ich prześcigają.

„Wolno tedy dowodzić, że nasze nauki były przeczuwane i zapoczątkowane przez świątobliwych ludzi starożytności, ale niemożliwością jest nie uznawać, że przemysł chiński dzisiejszy przewyższa przemysł z czasów cesarza Yao, Choen i trzech dynastji. Wszak zdolność wyrobiona przez dziesięć tysięcy pokoleń nie mogła być dokładnie przewidzianą przez Świętego Człowieka i nie mógł on również przewidzieć zmian, jakie zajdą w tak długim przeciągu czasu. Wtem położeniu przyznanie wyższości administracji i nauce europejskiej nad chińską w niczem nie ubliża świętej doktrynie Chińczyków.

„Nauka chińska jest nauką wewnętrzną, nauka europejska zewnętrzną. Chcę przez to powiedzieć, że nauka chińska ma na celu kształcenie serca człowieka, podczas, gdy nauka europejska zaspakaja potrzeby życia na zewnątrz. Wskutek tego nie jest koniecznem, aby nauka ta znalazła się dosłownie w księgach kanonicznych, niezbędnem jest jednak, aby nie była w sprzeczności z duchem doktryny. Potrzeba, iżby ludzie nauki kształcili swe serce na wzór serca Świętego Człowieka, iżby właściwymi im cnotami były: miłość synowska, uległość względem starszych braci, wierność i szczerłość; iżby z poszanowania dla księcia, a miłości dla ludu uczynili podstawy administracji; co do reszty, choćby zrana zajmowali się składaniem maszyny parowej, a wieczorem puszczaniem w ruch pociągu po szynach, nie przeskodzi im to być wyznawcami Świętego Człowieka“.

Przydługie są może te cytaty z Tchang-Tche-Tong'a, ale wymaga ich treść niniejszego szkicu. Czyż nie stawiliśmy sobie zadania przedstawienia kwestji chińskiej w świetle nauki. Sądzę, że plany i oceny kierownika chińskiego mają w tem sprawozdaniu nie mniejsze znaczenie od spostrzeżeń osobistych wielu autorów; zależy nam bowiem przedewszystkiem na poznaniu prawdy.

Ta wiara Tchang-Tche-Tong'a w niedaleką przyszłość, mająca nadać jego ojczyźnie naukową siłę odporną, dzięki jedynie reformie wychowania, ujawnia się pośród wszystkich wyższych inteligencją Chińczyków, jako też pośród



Widok pustyni Gobi.

niektórych Europejczyków, zamieszkujących Chiny, nie u wielu jednak.

Czy język chiński nadaje się do wykładów naukowych? Powszechne jest mniemanie, że nie, a umysł chiński niezdolny do przyjęcia tej nauki. Jest to błąd wielki. Od bardzo dawnych czasów Chińczycy posiadają książki treści naukowej. Dzieła naukowe, zawierające cały szpik mądrości europejskiej, przetłumaczyli Japończycy, którzy używają piśma podobnego. Kilka z tych ksiąg zostało świeżo przetłumaczonych na język chiński, pojętności zaś umysłu chińskiego dowodzi wszystko, cośmy o tem poprzednio mówili. To już nie teoria, nie rozumowanie, ale fakta. W arsenałach, w fabrykach, w wielkich domach handlowych, w szkole wojskowej w Nanking, podziwianej przez lorda Beresford, wszędzie czynni są Chińczycy. Biorą Chińczycy także udział w szkole lekarskiej, rozwijającej się pomyślnie w Tientsin'ie pod kierunkiem Francuza, doktora Ambrożego Depasse. Pod wpływem angielskim wyrabiają się dobrzy przemysłowcy i rzemieślnicy, w kształceniu zaś naukowem, Francuzi przewyższają Anglo-Sasów.

Depasse, któremu pomaga obecnie drugi lekarz Francuz i aptekarz, p. Huet, wykształcił z młodych Chińczyków, uczni swoich doskonałych praktyków, zwłaszcza w chirurgji. Niezrównana pamięć, obojętność, spokój nerwowy, zimna krew czynią Chińczyka odpowiednim na doskonałego operatora. Szybkość w operacji, zależna od bystrości wzroku i dokładnego rozpoznania części operowanej, szybkość tak dziś zalecana przez współczesnych chirurgów, jak Doyen — stanowić będzie przymiot, jak sądzę, chirurgów chińskich młodego pokolenia, wykształconego przez Europę.

Dotychczas językiem wykładowym jest angielski, co niejednego Chińczyka zraża. Załóżmy bibliotekę naukową po chińsku; przygotujmy profesorów zdolnych wykladać po chińsku, a książki i ludzie dobre znajdą w Chinach przyjęcie i *literaci*, najbardziej wpływom naszym nieprzyjaźni, zrozumieją i ocenią nas lepiej. Względem tych literatów popełniono grubą pomyłkę. W akcji politycznej tworzą oni czynnik najpotężniejszy, a raczej jedyny. Pierwszem jednak zadaniem obcych rządów, stowarzyszeń, osób prywatnych było zrazić ich do siebie i zrobić z nich nieprzyjaciół. Niema książki, broszury, artykułu, niema szpalty dziennikarskiej, na której rozbiegano kwestję Chin, iżby nie powstawano przeciw owym literatom, nie dawano im do zrozumienia, że następstwem tryumfu idei europejskiej będzie ich upadek. Wyobrażają sobie naiwni, że przyjmą oni dobrowolnie rolę ofiar. Bynajmniej, literat nie chce być unice-

stwionym, ponieważ zaś rozumie, że akcja europejska ma na celu jego zgubę, przeto protestuje. W niego wciela się patryjotyzm chiński, a do interesu, dość już potężnego czynnika, dodaje jeszcze uczucie, z którego okoliczności wyrobić mogą czynniki jeszcze potężniejszy.

„Niebezpieczną tedy jest rzeczą użycie przeciwko Chinom siły, środek zalecany przez wszystkich kupców i dyplomatów tam osiadłych, a który potępia tylko kilku ludzi uczonych. W kraju jak Chiny, gdzie wszyscy umieją czytać, gdzie wszyscy szanują mężów nauki, jest czynnikiem więcej wart od armat, to wpływ książki i dziennika. Wydaje się dużo pieniędzy bez pożytku, a raczej na drażnienie ludu. Czy nie lepiej byłoby użyć tych funduszy na spójnię łączącą i godzącą z sobą ludy, to jest na naukę? Niech dużo Chińczyków kształconych w licznych zakładach naukowych, rozsyłanych będzie po całym państwie, niech oni przekonają literatów chińskich, że nasza nauka daje środki, czyniące człowieka szczęśliwszym w nieustającej walce z nieprzyjazną mu naturą... Taka działalność nie narażałaby na zawody i ona jedynie jest godną ludzi ucywilizowanych.

Daremne to jednak skargi i życzenia. Siła brutalna panuje jeszcze i ona to chce przemóć Chiny. Czy zęby, które nadszarpały wybrzeża, będą dalej środkiem gryzły, czy też się wyszczerbią? Przeobrażenie Chin środkami naukowymi, czy dokona się dość spieszenie, aby odeprzeć nacisk połączonych narodów cywilizowanych? Tu czas się zatrzymać, aby nie wstępować w szranki współzawodnictwa z jasnowidzącymi dziennikarzami, lubiącymi dawać przepowiednie. Dobrze powiedział Piotr Laffitte przed czterdziestu jeszcze laty:

„Wskutek przewagi szkoły tak zwanej postępowej, Zachód przyjął system ucisku i wyzysku reszty planety pod pozorem cywilizacji. Względnie do stosunków z Chinami i ze Wschodem, wytworzyły się opinie, które należy scharakteryzować. Opinie te streszczają się w uczuciu pychy i przewagi cywilizacji zachodniej, oraz w ślepej pogardzie jakichkolwiek innych cywilizacji. Następstwem tego jest chęć górowania wszędzie, prawem możniejszego, określonym szumnem mianem postępu.

„Cywilizacja chińska dozwala połowie bez mała rodu ludzkiego żyć przyzwoicie pod rządem pokojowym, nie stawiającym akcji nowatorskiej innego oporu, jak tylko nieufność co do formy niepewnej anarchicznej, pod jaką przedstawia się cywilizacja Zachodu“.

Tak jest. *Chińczyk jest tylko nieufny*. Może i ma słuszną nieufność być nieufnym...

## Co widzą ślepi?

*Uważamy zazwyczaj ślepego za istotę niższą, ograniczoną, społecznie bezużyteczną, zmuszoną żyć z jałmużny w razie biedy, w próżniactwie, gdy posiada majątek, w obu zaś wypadkach—w nieszczęsnej ciemności. Bywa tak często, ale nie zawsze.*

*Niewidomi bowiem odznaczają się przede wszystkim nadzwyczajnie rozwiniętym zmysłem słuchu, pozwalającym im wykierować się na wybornych muzyków; mają również nader subtelny zmysł dotyku, za którego pomocą mogą czytać i pisać i pojmują nawet rzeczy tajemnicze, dla nas niedostępne. Znane są liczne objawy, niezrozumiałe dla „widzów”, które stanowią jakby klucz do nowego świata dziwów.*

*Sto lat temu wzięto się do kształcenia ociemniałych — i dziś doszło do tego, że się tysiącom ich daje sposób utrzymania przez nauczanie jakiejś specjalności. Żeby jednak osiągnąć cel taki wszędzie, żeby uchronić ślepych od żebraniny z konieczności, trzeba, by ci, którzy wzrok mają zdrowy, pomyśleli czasem o tych, co go nie mają wcale.*

Ślepotą! Ile nieszczęścia zawiera ten wyraz! Nie móż chodzić pewnie, jaka to klęska! Nie oglądać cudów przyrody, jaka to niedola! Nie potrafić czytać ani pisać, ciągła nieświadomość i ciemnica!

„Za pomocą czytania, głuchy pozostać może w bezustannej styczności z myślą ludzką; obcuje z historykami, poetami, filozofami, artystami. Ślepy jest tego wszystkiego pozbawiony: to żebrak istotny, to więzień najniebezpieczniejszy!”

Tak się pewnego razu wyraził słynny kompozytor Gounod, odpowiadając na pytanie: czy wolałby być głuchy, czy ślepy. Zastanawiającem jest to, że nawet ten wielki muzyk, zawdzięczający słuchowi tyle rozkoszy, nie uważał głuchoty za tak wielkie nieszczęście, jak ślepotę.

Spostrzeżono wszakże niejednokrotnie, że głusi bywają często smutni, a ślepi weseli, i nie tylko weseli, lecz nawet gadatliwi, ciekawi wszystkiego, zwolennikami podróży, lubiącymi „świat oglądać“. Słyszano, jak mówią: „Widziałem



Przypowieść o ślepych (p. Breugheta starego).

*Kiedyś ślepi chadzali gromadą, łącząc się, by mieć oparcie wzajemne, co ich jednak nie chroniło od wypadków.*

tę osobę...“ lub też: „ta osoba dobrze *wygląda*, a ta dosyć staro *wygląda*...“ To dziecko sporo urosło... Jaki dom *piękny*, jakie słońce *śliczne*! Jakie kwiaty *wspaniałe*!“ Co znaczą w ustach ślepeca podobne wyrażenia?

Jakim sposobem spostrzegają oni tyle rzeczy? *Co widzą ślepi?*

Przytaczamy kilka przykładów z ich życia, które zdają się kłamać powszechnemu mniemaniu, że to są istoty niższe ci *zaslepieni*, jak ich dobitnie nazywa Lucjan Descaves. Nie mówiąc już o Homerze i Miltonie, którzy byli obydwaj niewidomi, a z których pierwszy z pamięci śpiewał swe pieśni, a drugi dyktował poematy swym córkom,—wiadomo, że na uniwersytecie w Cambridge był ślepy profesor matematyki, Mikołaj Saunderson. I, co ciekawsza, wykładał on prawa optyki, przedstawiał właściwości światła i barw, objaśniał teorię widzenia, rozprawał o łamaniu się promieni świetlnych w soczewce.

Później też Anglicy obrali na stanowisko ministra pocz-



Ślepi cyklści. (Wychowawcy londyńskiej „Szkoły normalnej królewskiej“).

*Młodzi ludzie na rowerach, grupami po 10 lub 12 osób, z widzącym na czele przewodnikiem odbywają długie podróże.*

ty i telegrafu, ociemniałego Fawcetta, który zmarł w Cambridge, r. 1884. Mając lat dwadzieścia pięć, wstąpił do służby politycznej, gdy wypadek na polowaniu pozbawił go oczu.

W mowie przedwyborczej, jaką miał w Brighton, 1864 r., mówił: „Wypadek, podczas którego wzrok straciłem, zdarzył się zaledwie pięć lat temu. Polowałem na kuropatwy. Dwa strzały, które wyszły nieszczęśliwie ze strzelby kolegi, trafiły mię w twarz. Zaatakowały mi oba oczy, a wynik tego sami oglądacie. Pamiętam doskonale tę chwilę. Było to śliczne popołudnie jesienne, a ja stałem, podziwiając z zachwy-



tem jedną z najwspanialszych dolin Anglii. Słońce jesienne oświetlało ją całym swym blaskiem. Uczułem, że wszystkie te piękności przyrody zniknęły w nocy, której żadna siła ludzka nie będzie mogła rozproszyć. Był to cios straszny dla człowieka, po upływie jednak dziesięciu minut, zapana- wałem nad sobą i postanowiłem zwalczać wszelkie trudno- ści śmiało i od- ważnie. Mówi- łem sobie, że będę dalej czy- nił możliwie wszystko, co ro- biłem dotych- czas; że i nadal życie moje mieć będzie te same cele i dążenia i nadzieje. Postano- wienia tego nie wyrzekłem się już nigdy.“

W chwila- ch wolnych od zajęć obowiązkowych, Fawcett jeździł konno, używał ślizgawki, łowił łososie, zupełnie jak każdy człowiek, był zaś o tyle szczęśliwy, że nie zda-

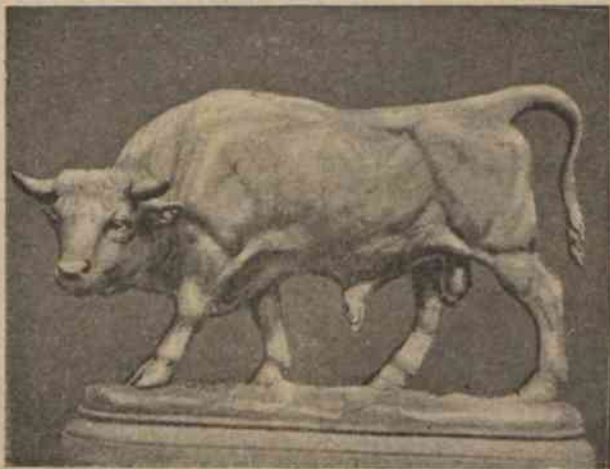
rzył mu się nigdy wypadek poważny przy tych zuchwałych rozrywkach. Jako minister poczt, był nader uważny, a chociaż ślepy, miał „oko na wszystko“, i jako zwierzchnik zostawił po sobie pamięć urzędnika bardzo „spozstrzegawczego“.



Jedyny niewidomy, jaki wszedł na szczyt góry Mont- blanc.

*Campbell, dyrektor królewskiej szkoły normalnej w Londynie w otoczeniu syna i przewodników.*

Możemy dalej przytoczyć przykład bardziej jeszcze zdumiewający. Człowiek bez oczu, amerykańnin Campbell, wdrapał się na szczyt góry Montblanc. Campbell, obecny dyrektor okazałego „Kolegium Normalnego Królewskiego“ dla ociemniałych w Londynie, urodził się r. 1834 w hrabstwie Franklin w stanie Tennessee. Ojciec jego był farmerem i gorliwym abolicjonistą (stronnikiem wyswobodzenia murzynów w Stanach Zjednoczonych). Dziecko jego miało pół-czwarta roku, gdy ranione cierniem akacji w oko, oślepto. Kalekę wychowano w Nashville, uczył się muzyki i stał się potem jej nauczycielem.

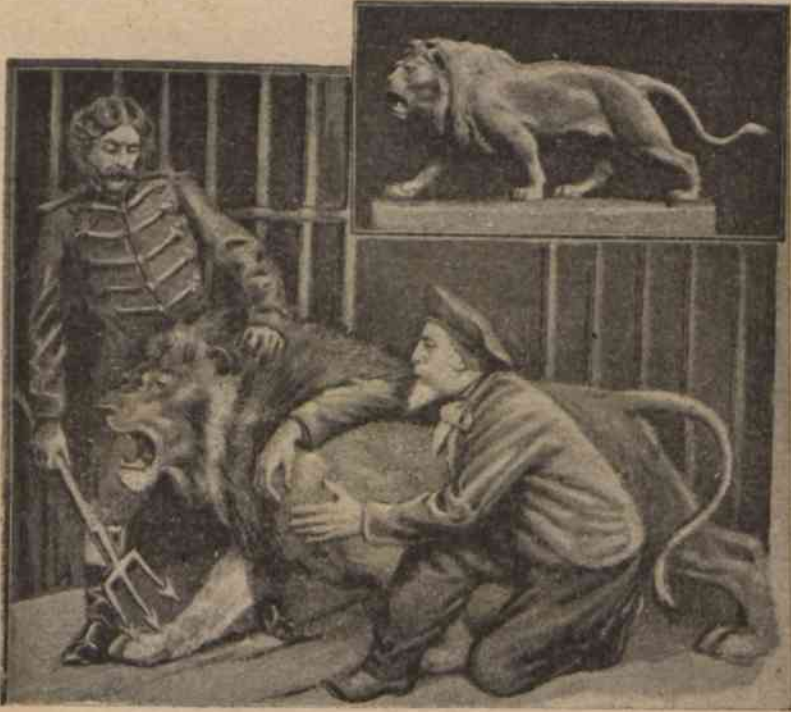


Dzieło ślepego rzeźbiarza Vidala. „Buhaj“.

Odtąd poświęcał się cały wychowaniu ślepych dzieci ze swej okolicy. Potem przybył do Londynu, gdzie założył szkołę. Ponieważ jednak, mówiąc o zdolnościach fizycznych i umysłowych podobnych sobie kaleków spotykał się wszędzie z niedowierzaniem, przeto postanowił dokonać dzieła niezwykłego, mogącego mu zjednać umysły brytyjskie. W towarzystwie syna swego i kilku przewodników postanowił dokonać czegoś trudnego dla ludzi widzących, a niemożliwego jakoby dla ślepych — wdrapać się na szczyt góry

Montblanc. I to mu się udało wybornie. Cała prasa angielska zaczęła o nim pisać z uznaniem.

A może Campbell jest wyjątkiem? Nie. W szkole, którą założył w Londynie, i gdzie ćwiczeniami fizycznymi kieruje syn jego, Guido Campbell znany sportsman, widzieć można ociemniałych, którzy się gimnastykują, ślizgają, powożą saniami, uczą się pływać, wiosłować, jeździć na rowe-



Ślepy rzeźbiarz Vidal w klatce lwa.

*Vidal chcąc raz modelować lwa, wszedł do klatki tego zwierza wraz z pogromcą i pieścił lwa dopóty, dopóki nie zapoznał się dokładnie z jego anatomją.*

rze w gromadzie dziesięciu lub dwunastu osób, przebywając setki kilometrów.

We Francji naśladowują ten projekt. We wrześniu 1888 r. trzech niewidomych, mianowicie profesorów Instytutu narodowego dla ociemniałych w Paryżu, pp. Syme, Vielhomme

i Guilbeau, wdrapało się na szczyt góry Champrousse w Delfinacie (prowincji francuskiej), w towarzystwie przewodników.

W Instytucie narodowym w Paryżu wychowańcy jeżdżą na trycyklach.

Rozmaite owe czyny, poświadczone przez licznych świadków, już są zadziwiające. Trzeba więc przyznać, że istnieją „alpiści“ (wchodzący na szczyty Alpów) ślepi. Trudno jednak przyjąć bez protestu wiadomość, że mogą istnieć rzeźbiarze ślepi. A wszakże tak się dzieje. Jeden z najlepszych francuskich figurzystów Vidal, był całkowicie pozbawiony wzroku. Nie przeszkadzało mu to modelować małe arcydzieła: Jeleń raniony, Lew, Byk. Żywy, rzeźki, zwinny, Vidal otaczał się stale zwierzętami: dotykał ich, pieścił je, wypróbował długo pozy wszelkiego rodzaju, potem zabrał się do gliny i zaczął modelować. Studjując np. nogi konia, przyklekał obok modelu, mówił doń bez ustanku, przypochlebiał mu się, aby tylko zwierzę się nie poruszało.

Gdy miał rzeźbić dzikiego zwierza, trudniej było oczywiście o studjum z natury. Vidal szukał wtedy wzoru w dziełach sztuki swych poprzedników, badał szkielety i zwierzęta wypchane. Pewnego razu jednak, zamierzając rzeźbić lwa, zrozumiał, że nie zdoła tego uczynić, jeśli nie będzie miał przed sobą żywego modelu. Nie obawiając się niebezpiecznego spotkania, wszedł do klatki zwierzęcia, w towarzystwie pogromcy. Długo, uważnie, artystycznie pieścił lwa, dopóki nie poznał gruntownie jego szczegółów anatomicznych. Opuściwszy klatkę, wykonał „lwa ryczącego“, jedno z najlepszych dzieł swoich.

Gdy był zajęty robotą w pracowni, trudno było o nim powiedzieć, że jest niewidomy. Od czasu do czasu tylko, chcąc sprawdzić całość, odsuwał się i dotykał dzieła rękoma wyciągniętymi, przyczem zdawało się, że dziesięć palców zastępuje mu oczy...

I w istocie palce są oczyma ślepego. „Wzrok, mówią, jest dotykiem zdaleka“. Tak również dotyk jest wzrokiem zblizka. Jesteśmy skłonni do uwierzenia, że wzrok jedynie zapoznaje nas z przedmiotami, które nas otaczają, lecz to

błąd. Zanurzymy kijek do połowy długości w wodzie: ujrzymy, że się jakby złamał; dopiero gdy rękę włożymy do wody i dotkniemy kijka, czujemy, że jest prosty, pomimo iż się wydaje krzywym. *Gdy woda kij wykrzywi, rozum mój go wyprostuje*, mówił bajkopis. Lecz nie rozsądek go prostuje, ale dotyk.

W pojęciach, jakie mamy o rzeczach, dotyk odgrywa znacznie większą rolę, aniżeli przypuszczamy. Dopókiśmy



#### Jak ślepi czytają.

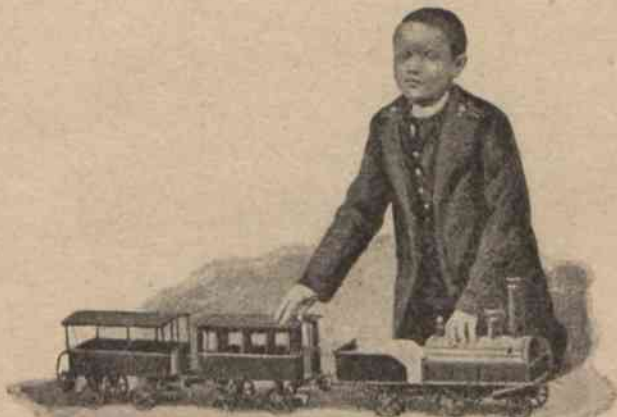
*Ślepy, prowadząc obie ręce po grubych księgach, najeżonych kropkami wypukłemi, poznaje spisane myśli ludzkie.*

nie dotknęli przedmiotu, nie znamy go; dzieci małe z tego powodu lubią dotykać wszystkiego. Dowód także mamy w tem, że gdy cudownym sposobem nauka pozwala ślepemu wzrok uzyskać, to on w pierwszych dniach nie wie, co z tym wzrokiem począć, i nie poznaje przedmiotów, które przedtem znał z dotyku.

Pewien lekarz, który był obecny przy uzdrowieniu wieśniaczki ślepej, mającej lat siedmnaście, nazwiskiem Despa

Christea, z Bukaresztu, opowiada: „Byłem świadkiem sceny, gdy rodzice przyszli dziewczynę odwiedzić po operacji, i miałem przed sobą widowisko wyjątkowe, jakiego się nigdy nie spotyka. Chora utkwiała wzrok w ojcu, potem dotknęła oblicza matki, by się przekonać, jakie ma rysy twarzy. Oglądała ich ubranie, wymieniając barwy każdej części stroju. Trzymała matkę za rękę, jakby się obawiała stracić z oczu widok istoty kochanej, z którą żyła razem od pierwszej młodości, a którą widzi po raz pierwszy...”

Inny znów niewidomy, który wyzdrowiał nagle, Miko-



**Nauka o rzeczach w „Instytucie narodowym dla ociemniałych” w Paryżu.**

*Aby nauczyć dziecko, co to jest pociąg kolejowy, daje mu się do rąk modele, umyślnie na to wykonane: za pomocą dotyku, uczeń nabiera pojęcia o przedmiotach, które maca.*

łaj Joan, w wieku lat dwudziestupięciu, przyznał, że nie mógł poznać starych przyjaciół do chwili, gdy ich głos usłyszał. Dopóki był ślepy, chodził sam jeden po ulicach, z łatwością odwiedzając wszystkie dzielnice miasta. Gdy zaś przejrzał, błądził z początku i musiał przechodniów wypytywać o drogę. Przedmioty najpowszedniejsze, których używał codziennie, wydawały mu się nieznanymi. Widział doskonale kształt, barwę, lecz nie miał wyobrażenia, że one przedsta-

wiają tę lub ową rzecz. Pokazano mu łyżkę, pytając go:

— Widzisz to?

— Tak.

— A co to jest?

— Poczekajcie. Dajcie mi tę rzecz.

Przymknął oczy, wziął przedmiot, obmacał go, poczem zaraz:

— To łyżka—odrzekł.

Tak się zachowuje człowiek, doprowadzony nagle do stanu, w jakim się znajduje, przychodząc na świat i otwierając oczy po raz pierwszy wobec mnóstwa przedmiotów. Wzrok służy mu potem do *rozpoznania* rzeczy zdaleka, ale *poznać* je po raz pierwszy może tylko za pomocą dotyku.

Dotyk więc ma ogromne znaczenie; ślepi posiadają ten zmysł dotyku, w wyższym stopniu, aniżeli widzący. Ociemniały Saunderson, dotknąwszy monety, był w stanie odróżnić fałszywą od dobrej.

*Gdy zgaśnie oko ciała, oko duszy się rozpala*, mówił Wiktor Hugo; dużo w tem przesady, jak we wszystkich przenośniach, prawdą jednak jest, że gdy zgaśnie wzrok, to doskonali się czynność innych zmysłów. Słuch staje się wrażliwszym, dotyk subtelniejszym, powonienie czulszem.

\* \* \*

W ten sposób wyjaśnić sobie można dziwy, dokonywane przez ślepych, a także zadowolenie, jakie znajdują jeszcze w życiu. Ponieważ mają ucho lepiej wyćwiczone, przeto odczuwają bardziej harmonję dźwięków, ponieważ mają powonienie czulsze, rozkoszują się silniej zapachami. Daje im to mnóstwo wiadomości i przyjemności, jakich my nie znamy dobrze. Oto czemu ślepi lubią podróżować, wdrapywać się na góry, zwiedzać nowe miasta. Powierzchnie sądząc, zdaje się, że oni nie rozróżniają jednej rzeczy od drugiej. Noc zaciera różnice przedmiotów. Ze ślepym jednak rzecz się ma inaczej.

Mówi już o tem Maurycy de la Sizeranne w swej książce „Ślepy o ślepych“: „dotyk nie ogranicza się na ręce; mie-

ści się w całym ciele. Nawet obuta w trzewik noga odróżnia gatunek ziemi, po której stąpa. Zatkajcie uszy człowiekowi, pozbawionemu wzroku, lecz uważnemu, a będzie wiedział dokładnie, czy kroczy po bruku gładkim, czy szorstkim zwirze, czy po drzewie, lub asfalcie, czy przechodzi przez kładkę, czy jest na ścieżce ubitej, na niwie zoranej, czy na ściernisku.

„Zapachy są również nader liczne i wielce znamienne: świeże mięso, pomada, tytoń wilgotny, skóra świeża, ryba, siano, rośliny apteczne, sosy zaprawione truflami, papier tylko co zadrukowany, kwiaty, mnóstwo zresztą rzeczy ma przeróżne wonie, za pomocą których wiedzieć można bez cienia wątpliwości, czy się przechodzi koło rzeźnika, fryzjera, składu tabacznego, czy szewca; czy się idzie wzdłuż hal targowych, czy koszar wojskowych; czy otwór, z którego bije odór szczególnie, przewietrza piwnicę, czy aptekę; czy masz przed sobą kolporterkę, czy kwiaciarke“.

Takim sposobem ślepy może sam się przechadzać po ulicach wielkiego miasta.

Do wiadomości, dostarczanych przez dotyk i powonienie, przyłączają się jeszcze wrażenia słuchowe. Tu dzwon klasztoru, tam zegar kościelny, lub szpitalny; ówdzie stolarz, brukarz, budowa domu. Wszystko zwraca uwagę, budzi myśl i zajmuje. To wszystko jednak dzieje się w mieście lub na wsi; w szczerem polu znowu przyroda usiłuje dostarczać ślepemu mnóstwa wskazówek, wiele uciech, będących zarazem drogowskazami dla ślepca. Tutaj jest grunt falisty, ślady kół wozowych, ziemia kamyczkami usypana lub piaszczysta, lub mchem; tam las żywiczny, łąka, stóg siana, pęk janowców lub kwiatów polnych; ówdzie szemranie strumyka, szum drzew lub krzaków. Gdy wiatr wieje, inaczej szumi drzewo bżowe, a inaczej dębowe; odmiennie szeleszczą drzewa w maju, a w październiku. Innego ptasząt śpiewu słucha się, siedząc pod starym wiązem, a innego w głębi lasu gęstego, lub nad brzegiem rzeki, przerzynającej łąkę zieloną...

Wszelkie tedy wiadomości swe ślepi zawdzięczają słuchowi, dotykowi i powonieniu. Gdyby nie mieli tych zmy-



słów, albo gdyby one nie były rozwinięte, nie dostrzegaliby niczego. A przeto siedząc na statku parowym lub w wagonie, oni nie *widzą*: swąd dymu z kominów, huk obrotów kół, tworzą zaporę, tamującą łączność ślepych z przyrodą; to samo się dzieje w razie chwilowego znieczulenia naskór-



Gimnastycy ze „Szkoty Normalnej Królewskiej“ w Londynie.

*Ślepi wykonywają zręcznie i zadziwiająco szybko ćwiczenia równowagi, jakie nawet dla widzących niemałe przedstawiają trudności.*

ka. Pewien niewidomy amerykańczyk, bogaty kupiec, który z wielką łatwością chodził po ulicach przez całe życie, Hendrickson, opowiadał:

„Raz mnie pszczoła ukąsiła, wskutek czego byłem przez chwilę odurzony, nie mogąc nic dostrzegać, ani rozróżniać“. Tak więc ślepy nie ciemność przeszkadza, lecz hałas lub cierpienie.

Mówiąc przeto o ich sposobie *widzenia*, należy porównać ich wrażenia do naszych.

Posłuchajmy, jak ociemniały Guilbeau opisuje młodą kobietę, którą spotkał w podróży: „Wzrok jej wydał mi się smutnym, badawczym. Głos mieszkanki krajów południowych, bardzo melodyjny, przypominał dźwięki wilgi. Nutą przeważającą było *o*, co oznacza dobroci i szczeroci. Czy ona miała lat dwadzieścia pięć? Nie mogę tego określić; głos wyrażał tylko wiek mniej więcej młody“.

Można teraz zrozumieć, jak ociemniała kobieta, Galeron de Calonne, poetka wielkich zdolności i serca wielkiego, mogła napisać o sobie, o swych radościach istoty ślepej i o swem życiu, te strofy wymowne:

#### NIE DBAM!

(Memu mężowi).

Już cię nie widzę, słońce w blasku pełni,  
Jednak dni szarych, smutek czuję wszelki,  
Radam, gdy przez cię ludzie szczęścia pełni,  
Już cię nie widzę, słońce w blasku pełni,  
Choć żar tli wielki.

Nie widzę ciebie, rózo okazała,  
Jednak Ty, Boże, wszystkich zaspakajasz,  
Co mi po blasku! Róża woń mi dała.  
Nie widzę ciebie, rózo okazała,  
Choć mnie upajasz.

Nie widzę spojrzeń, co mi ślesz, kochany,  
Lecz uczuć błogie mię przejmują dreszcze,  
Nie dbam! Nie płaczę; wolę śpiew i tany.  
Nie widzę spojrzeń, co mi ślesz, kochany,  
Lecz—całuj jeszcze...

Odczytawszy te wiersze, pojąć można, czemu ślepi wydają się wesołymi, podczas gdy głusi są przeważnie smutni. Gdy się bowiem przemawia do ślepego, to budzi się w nim zmysł nader czujny: w tej chwili on jakby *widzi*. Przeciwnie zaś, gdy się przemawia do głuchego, przypomina mu się tembardziej jego ułomność.

A jakże można zapewnić ślepemu choć odbłysek szczęścia? Jak dojść do tak zadziwiających wyników? Bardzo zwyczajnie, posługując się jedynie wyjątkowymi zdolnościami ślepych w sposób poniżej opisany. Ponieważ ociemniałi odznaczają się zmysłem dotyku nader subtelnym, przeto nie łatwiejszego nad nauczanie ich czytania liter wypukłych. Tak sobie pomyślał w r. 1784, Walenty Haüy, spotkawszy ślepego rozumnego, który musiał jednak zebrać na utrzymanie. I Haüy wynalazł *druk wypukły*. Później, w r. 1829, ociemniały Ludwik Braille, wymyślił abecadło, na umowie oparte, a złożone z kropek. Abecadło to nosi nazwę wynalazcy i zostało obecnie przyjęte na świecie całym. Za pomocą najwyższej sześciu punkcików, rozmaicie umieszczonych, przedstawia się wszystkie litery abecadła, wszystkie nuty muzyczne. Na przykład: A przedstawiają przez . , B przez : , C przez .. , E przez ::



Niewidomy stroi fortepian.

Podług tego systemu pisze się wszystkie poezje Wiktora Hugo, całego „Parsifala“ Wagnera. Ślepy, wodząc obie rękoma po tych grubych księgach, najeżonych punktami wypukłemi, zapoznaje się z myślą pisaną i muzyką całej ludzkości. W chwili obecnej biblioteka imienia Braille'a, założona przez Maurycego de la Sizeranne'a, liczy aż 4,000 tomów, wypukło drukowanych.

Ponieważ ślepy ma również ucho dobrze wyćwiczone, należałoby go też uczycy poważnie muzyki. I oto ten sam Walenty Haüy w r. 1771 znalazł się raz na jarmarku. Wi-



Ślepy robotnik wypłata krzesło.

dział tam dziesięciu ociemniałych, ubranych w suknie kobiece, mających na głowie czapki z osłemi uszami, a na nosie ogromne okulary tekturowe bez szkielek: siedzieli przy pulpitych, śpiewając i grając na skrzypcach. Ten żart niewczesny oburzył Walentego Haüy, który odtąd myśleć począł, w jaki sposób przekształcić błazeńskie to zajęcie na poważne.

I w istocie „Instytut dla ociemniałych“, założony przez niego, a mieszczący się obecnie w Paryżu przy bulwarze Inwalidów, po stuletnich ulepszeniach, wydaje muzyków pierwszorzędnych. Tam ślepi uczą się wszystkiego, co ma łączność ze sztuką muzyczną. Są klasy gry na organach, fortepianie, na wszystkich instrumentach orkiestrowych; wykładają także teorię muzyki, fugi i kontrapunktu. Bardzoczęsto młodzi wychowañcy tego instytutu biorą pierwsze nagrody w Konserwatorjum. Wiele też większych kościołów paryskich posiada obecnie ślepych organistów.

Raz wykształcony, ślepy może już potem całe życie zarabiać na swe utrzymanie, bądź jako muzyk, organista, nauczyciel muzyki, stroiciel fortepianów, bądź wreszcie jako robotnik: powroźnik, szczotkarz, wyplatacz krzeseł. W większych krajach Europy znajduje się obecnie po kilkuset ślepych, utrzymujących się dostatnio własnym przemysłem. Nie spotyka się już po gościńcach wędrujących gromad niewidomych, jakie namalował Breughel starszy, w obrazie *Pa*



Wychowanie ślepej przez ślepą.

*Siostra miłosierdzia uczy młłą dziewczynkę roboty sztylkowej,*

*rabola dei Ciechi*, (Przypowieść o ślepych), czy też jakie się jeszcze widzi w Sudanie i Pekinie; obecnie jest tylu między nimi pracowników, ilu żebraków.

Rzemiosła, jakie uprawiają ociemniali, są stosunkowo liczne, a niektóre dosyć niezwykłe. W Japonji wszyscy ślepi są masażystami, a wszyscy masażyści ślepyimi; mówi się tam, nie rozróżniając: „ślepy“ lub „masażysta“. W Kairze

ślepi czytają Koran, zginając kolana przed łożem śmiertelnym wielkich osobistości.

Opowiadają o ślepym z miasta francuskiego Evianu, zajmującym się sprzedażą dzienników, który za pomocą dotyku jedynie odróżniał gazety: „Intransigeant“, „Libre Parole“, „Autorité“, „Temps“. Nigdy nie podawał nabywcy radykalnemu konserwatywnej *Gazette de France*: ten ślepy znał się w rzeczywistości na barwach przynajmniej politycznych.

Kiedy robotnicy lub artyści ślepi odpoczywają po robocie, mają takie same, jak my, rozrywki, a nawet także prawie gry towarzyskie. Grają w karty z obrazkami, złożonymi z kropek wypukłych, w szachy z figurami wpuszczonymi w głąb szachownicy, aby można było po niej prowadzić rękoma, nie wywracając figur. Grają nawet w kręgle i w bilard. Człowiek widzący bije dwoma kijami, przekładając jeden przez drugi, lub usiłuje dokładnie uderzyć w kulę z góry, ślepy zaś, słuchając dźwięku, prowadzi podług niego bilę dosyć celnie. Głównie jednak lubią bawić się w aktorów w szkołach dla ślepych. W instytucie paryskim młode panny ociemniałe grały z wielkim zapalem „Menuet cesarzowej“, operę komiczną w jednym akcie, gdzie występuje siedm osób.

Gdy się wykształci ślepego i da mu zawód w ręce, trzeba też starać się o odbyt na jego pracę.

Są stowarzyszenia (np. we Francji), liczące po 7,000 członków, rozrzuconych po całym kraju; mają one na celu przychodzenie z pomocą 40-tysiącom ślepych.

Ażeby jednak dzieło miłosierdzia osiągało cel najwyższy, jakim jest odciąganie ślepców od żebraniny, wystarczy, jeśli każdy, kto ma oczy, pomyśli czasami o tych, co ich nie mają!

Na zakończenie jeszcze przytaczamy wspomnienie historyczne i uwagę o czasach obecnych. Starodawny kronikarz opowiada, że w Paryżu za czasów średniowiecznych, kiedy latarnie uliczne należały do rzadkości i z zapalaniem ich nie kwapiono się zbyt, opadające nagle mgły były istną klęską społeczną. Przeobrażały dzień w noc. Wtedy

ślepi stypendyści, dla których ciemność jest „chlebem powszednim“, wielkie oddawali usługi widzącym. Obeznani dobrze z wszelkimi zaułkami i zakrętami ulicznymi, ślepi prowadzili widzących po wielkiem mieście z taką pewnością siebie, jak widzący prowadzi w dzień jasny ślepego. Oryginalny to musiał być widok!

Obecnie gaz i elektryczność zastępuje wybornie taką pomoc. Lecz kto wie, czy pod względem inteligencji i dobroci ślepi nie mogą nam jeszcze służyć za przewodników? Może badając to wszystko, co czynią ci ludzie pozbawieni wzroku, lecz ożywieni wolą silną i wytrwałością, moglibyśmy się wiele jeszcze nauczyć i rozumniej korzystać z sił, głębiej w nas ukrytych!

# Sprawy bieżące.

## Z dziedziny politycznej.

Jak przed miesiącem, tak i dziś świat cały zajęty jest głównie dwoma sprawami: kwestją chińską i wojną południowo-afrykańską.

Sprawa pierwsza bardzo powoli posuwa się naprzód. Po kilkutygodniowych rokowaniach posłowie ułożyli w końcu kilkanaście punktów tymczasowych, które służyć mają za podstawę do właściwych rokowań pokojowych z Chinami. Punkty te wręczone zostały pełnomocnikom chińskim, od wypełnienia ich zależeć będzie dalszy przebieg sprawy chińskiej.

Dziś już przewidzieć można, że rząd chiński żądań posłów w całej rozciągłości nie wypełni, są bowiem między nimi niektóre wprost niewykonalne. A i z mocarstw, którym żądania te przedstawione zostały do zatwierdzenia, nie wszystkie godzą się na nie. Niektóre, jak Rosja, Francja, Japonja i Stany Zjednoczone, uważają kary, jakich się posłowie domagają na najwyższych urzędników i książąt chińskich, za zbyt surowe. Wszystko to zdaje się zapowiadać, że zawierucha chińska nie prędko jeszcze ucichnie i że dużo wody upłynie, zanim w Chinach nastaną normalne stosunki, tak bardzo upragnione w interesie dobra społeczeństw.

A i wojna południowo-afrykańska, mimo zapewnień Anglików, dotąd się jakoś skończyć nie może. Przeciwnie, przybierać zaczyna coraz groźniejsze dla Anglii rozmiary. Dziś ta nawet część prasy angielskiej, która do niedawna jeszcze pchała rząd do nowych „tryumfów“ w Afryce, nie



tai się z tem, że do tryumfu tego jeszcze daleko, jeżeli go wogóle kiedykolwiek Anglja osiągnie. Prasa opozycyjna natomiast zestawia bilans strat, które Anglja poniosła skutkiem wojny z Boerami. I niema tu, rzecz prosta, mowy o stratach materialnych; te Anglja przeboleje, bo bogactw ma dość. Wojna angielsko-boerska wykazała przedewszystkiem bankructwo armji angielskiej, tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Regularna armja angielska liczy 270,000 żołnierzy,— z których połowa znajduje się w kolanjach (w Indjach, Egipcie i t. d.), druga zaś połowa przeznaczona jest do obrony granic kraju. Do chwili rozpoczęcia wojny z Boerami wystarczała w Afryce południowej załoga w sile 3 do 4 tysięcy żołnierzy. Obecnie położenie to zmieniło się zupełnie. Dziś kolonje angielskie w Afryce południowej pochłaniają wszystkie prawie wojska regularne i rezerwowe. I gdyby nawet Anglikom udało się istotnie podbić rzeczpospolite boerskie, to i w takim wypadku musieliby, przynajmniej w pierwszych kilku latach, utrzymywać tam załogi w sile 50—100 tysięcy żołnierzy.

Gdyby Anglja po zajęciu Bloemfontein zgodziła się była na propozycje Kruegera i Steina, dotyczące zawarcia pokoju, dziś panowałaby niezawodnie zgoda między obydwoma narodami i nie potrzeba by było łamać sobie głowy, zkąd wziąć żołnierza. Ale Anglja uparcie odmawiała zawarcia pokoju na innych warunkach, jak „zdanie się na łaskę i niełaskę“.

Będzie więc teraz rząd angielski musiał uciec się do jakichś nadzwyczajnych środków, ażeby przyjąć w posiadanie odpowiednio silnej załogi i wypełnić szczyby, które w szeregach armji wyrządzili Boerowie. A środek taki jest jeden tylko: zaprowadzenie powszechnej służby wojskowej. Wątpić jednak należy, czy rząd będzie miał odwagę chwycić się tak radykalnego środka wobec niechęci, jaką naród żywi do powszechnej służby wojskowej. Anglik jest dobrym patriotą, kocha ojczyznę, gotów, gdy na nią nieszczęście spadnie, poświęcić ostatnią kroplę krwi, zbyt jednak ceni wolność osobistą, ażeby się chciał bez żadnego szczególnego powodu poddać pod jarzmo przymusowej służby wojskowej. Dziś już naród angielski sarka niejednokrotnie na gabinet obecny, że gospodaruje zbyt rozrzutnie skarbem państwa na cele wojskowe. I słusznie: gabinet ten zdołał w ciągu 5-letnich swych rządów zwiększyć budżet wojenny z 188 miljonów na 215 miljonów rubli i podnieść równocześnie stan armji aż o... 381 żołnierzy.

Wszystko to zmusza rząd angielski do wielkiej ostrożności w użyciu środków, zmierzających do podniesienia czynnego stanu armji.

Druga strata, jaką Anglja poniosła skutkiem wojny z Boerami, boleśniejsza jeszcze od poprzedniej, to bankructwo armji angielskiej pod względem jakościowym. Wojna z Boerami odkryła przed światem całym najzupełniejsze niedołęztwo oficerów angielskich. Oficerowie ci po większej części hołdują starej rutynie wojskowej i niemają zgoła pojęcia o zasadach taktyki nowoczesnej, ani umiejętności przystosowania się do warunków. Sportsmeni z nich doskonalili, ale źli dowódcy i przyzwyczajeni do zbyt wygodnego życia. Przyczyny takiego stanu rzeczy szukać należy w tem, że zawód oficerski jest w Anglji przywilejem klasowym. Karjera wojskowa jest w większej części wypadków dziedziczną, dostępną jedynie dla młodszych synów lordów, baronów i innych szczęśliwców. Dawniej można było stopień oficerski kupić wprost za niewielką sumę. Nic też dziwnego, że w takich warunkach, nie można nawet marzyć o dobrych i zdolnych oficerach. I gdyby nie męztwo i wytrwałość żołnierzy angielskich, kto wie, czyby dziś Boerowie nie dyktowali Anglikom warunków pokoju.

Jakikolwiek będzie ostateczny wynik wojny południowo-afrykańskiej, zaprzeczyć się nie da, że obniżyła ona znacznie wobec świata całego wojskową powagę Anglji i że dużo trzeba będzie czasu do naprawienia złego, przez nią w tym kierunku wyrządzonego.

Niepowodzenia angielskiej polityki kolonialnej nie zraziły jednak wcale Ameryki. Dokonane niedawno wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej stwierdziły, że Unja puściła w zapomnienie dawne swoje hasło: „Ameryka dla Amerykanów“ i że odtąd kroczyć będzie śladem mocarstw stałego ładu, wyęzających wszystkie swoje siły dla zyskania jaknajwięcej zdobyczy zamorskich. „Apetyt przychodzi z jedzeniem“ mówi przysłowie francuzkie; powodzenia odniesione przez Amerykę w wojnie z Hiszpanją, sprowadzić musiały zwrot od zasady Monroe'go do imperjalizmu.

Bespośredniem też następstwem zwycięstwa imperjalizmu w polityce amerykańskiej będzie powiększenie i wzmocnienie armji lądowej i marynarki. Dziś już poszczególne ministerja występują z żądaniami swemi; urząd więc wojny domaga się powiększenia armji czynnej z 30,000 do 90,000. Obecnie Stany Zjednoczone mają pod bronią 65,000 regularnego wojska i 35,000 ochotników. Z dniem jednak 1-go

lipca roku przyszłego kończy się służba 35,000 wojska regularnego i wszystkich ochotników, i pozostanie tylko 30,000, jako przepisana konstytucją armja czynna.

Opinia publiczna w Ameryce wita niezbyt przychylnie projekt powiększenia armji, w którym powszechnie upatrują początek wprowadzenia militaryzmu starej Europy do instytucji amerykańskich.

Znaczniejsze jeszcze, niż na armję, są żądania na powiększenie i wzmocnienie marynarki. Urząd morski domaga się, obok znacznych bardzo kredytów na budowę nowych okrętów, jeszcze 15 milionów dolarów na wydatki bieżące. Są to, rozumie się, dopiero początki zbrojenia się na lądzie i na morzu, które przybierać będzie coraz większe rozmiary, w miarę dalszego rozwoju dążności imperjalistycznych w Stanach Zjednoczonych.

A Ameryka słusznie się dotąd szczyciła, że potęga jej leży nie w działach, nie w fortyfikacjach.

W stolicach trzech państw europejskich obradują w chwili obecnej najwyższe ciała reprezentacyjne: w Paryżu Izba francuzka, w Rzymie—włoska, w Berlinie—parlament niemiecki. Izba francuzka i parlament niemiecki rozpoczęły obrady żądaniem kredytów na wyprawę chińską; Izbie włoskiej, która pod nowym królem po raz pierwszy się zebrała, przedstawił rząd cały szereg wniosków, reformy społeczne mających na celu.

*K. R.*

### „Szkice Warszawskie.”

W dzienniku „Wołgar,” wychodzącym w Niżnim Nowogrodzie, p. N. Akajomow rozpoczął szereg „Szkiców warszawskich.”

„Publiczność rosyjska, jak to już nieraz mieliśmy sposobność przekonać się z doświadczenia, ma bardzo dziwaczne pojęcie o życiu Polaków wogóle i o Warszawie w szczególności. Zdaje się, że w umyśle przeciętnego obywatela rosyjskiego Warszawa wywołuje dwa tylko obrazy — o pięknych warszawiankach i... polskiej intrydze. I jedno i drugie pozostało w spadku po dawnych czasach: sławę warszawianek rozniesli po Rosji porucznicy i podporucznicy, którzy brali udział w „uspokojeniu“ lub kwaterowali w Królestwie Polskiem. O intrydze polskiej wspomina się tradycyjnie... Przychodzi na myśl nieszczęsny rok 1863 i korespondencje z gazet stołecznych...

Co prawda, nie udają się tym gazetom korespondenci warszawscy. Zwróciwszy całą bacność na zdemaskowanie

zdrady polskiej, pomijają inne rysy życia warszawskiego, daleko ciekawsze i więcej pouczające, jak gdyby w Warszawie niczem się nie zajmowano, jak tylko knuciem spisków i o niczem nie myślano, jak tylko o rewolucji. Rezultatem jest jak najjednostronniejsze pojęcie czytelnika rosyjskiego o tem, co się dzieje w Warszawie dobrego i złego.

Mówimy, rozumie się samo przez się, o takim czytelniku, który nie może dzień po dniu śledzić biegu życia Warszawskiego za „Warsz. Dniew.“, który, nawiasem mówiąc, stał się w ostatnich latach wszechstronną kroniką życia Królestwa Polskiego, bez tendencji upatrywania we wszystkim polskiej intrygi.

Po tym krótkim wstępie czytelnik, spodziewamy się, pojmie cel naszych szkiców, które znalazły schronienie w „Wołgarze.“ Pragnęlibyśmy, nie mędrkując chytrze, zaznaczyć czytelnika rosyjskiego z tem, co się dzieje w Warszawie, z wyłączeniem wszelkiej „polityki.“ Bez niej jest także wiele ciekawych rzeczy...

Oto np. „Pogotowie ratunkowe,“ którego niema dotąd w żadnym z miast nadwożańskich, a przydałoby się ono i u was bardzo. Zresztą przepraszam. Kiedyś i w Niżnym Nowogrodzie było coś podobnego, zorganizowanego przez N. M. Baranowa w roku cholerycznym; wówczas udzielano szybkiej pomocy lekarskiej chorym na cholereę na specjalnie urządzonych stacjach, z dyżurami lekarskimi i t. p.

U nas w Warszawie w czasie cholery organizacji takiej nie było. Za to teraz Warszawa służyć może za przykład każdemu miastu rosyjskiemu.

Jeżeli odwiedzisz kiedy, czytelniku, Warszawę, to przechadzając się po czystych głównych jej ulicach, spotkasz niezawodnie karetkę, ciągnioną przez parę rączych koni, z której rozlega się od czasu do czasu dźwięk trąbki. Jeżeli jedziesz dorożką, ujrzysz, że woźnica, na sygnał trąbki, ściągnie konia i skreśli go na bok, ażeby dać wolne miejsce do przejazdu karetki. Na pytanie twoje o przyczynę, odpowie: Pogotowie ratunkowe.

To lekarz spieszy z ratunkiem rannemu; to namacalny dowód miłości bliźniego, który w przeciwnym razie nie otrzymałby, niestety, w swoim czasie pomocy i zginąłby na bruku, skutkiem upływu krwi.

Udajmy się za tą karetką. Minęła szybko wązkie ulice, skreśliła w przecznicę i zatrzymała się przed niepokąznym domem, otoczonym tłumem gapiów...

Z karetki wychodzi lekarz, zanim z kozła zeskakują sanitariusze, niosąc walizkę z środkami opatrunkowemi. Tłum

rozstał się i zamknął znowu za lekarzem, który zabrał się do opatrzenia ofiary ulicznej rozprawy na noże (codziennego zjawiska na ulicach Warszawy).

Opatrywanie dokonywa się tuż na miejscu, na ulicy. Lekarz, wymywszy ręce w roztworze sublimatu, zaczyna szybko przywiązywać bandaż. Ranny jęczy — bandażowanie skończone i w jednej chwili robi mu się lżej: dziękczynnym wzrokiem wodzi za lekarzem, który wydał już polecenie, ażeby rannego złożyć na nosze i przenieść do karetki, po otwarciu bocznej jej ściany.

Gotowe! I karetka mknie znowu wśród dźwięku trąbki, ażeby odwieźć chorego do najbliższego szpitala.

Niema nieszczęścia, w któreby pogotowie nie niosło pomocy; w 2 do 3 minut zjawia się karetka, niosąc choremu ukojenie i ratunek.

Warszawianin tak dziś przywykł do pogotowia, że nie może sobie bezeń nawet wyobrazić Warszawy. Do r. 1896 przechodzień, który zaniemógł nagle na ulicy, robotnik, który zranił się ciężko przy pracy, mogli umrzeć, zanim zjawiał się z pomocą stróż lub niższy sługa policyjny, którzy znowu rzadko znaleźć mogli pod ręką felczera lub lekarza. Nim znaleźli kogo do opatrunku, chory musiał się męczyć, nieraz walczyć ze śmiercią...

Na odbytej w r. 1896 w Warszawie wystawie higienicznej warszawianie przyglądali się z ciekawością urządzonej przez hrabiów Przeździeckich w przenośnym baraku stacji pomocy lekarskiej w nagłych wypadkach. Barak z całym urządzeniem i z karetkami kosztował hrabiów Przeździeckich kilka tysięcy rubli, a warszawianie, nawet inteligentni, kiwali z powątpiewaniem głowami, myśląc:

— Niemają hrabiowie co z pieniędzmi robić, oto co wymyślają...

W owym czasie nikt w Warszawie nie przewidywał, czem się te karetki staną za jakie pół roku...

Ażeby pokazać, czem jest pogotowie, pozwolimy sobie przytoczyć kilka „suchych cyfr,“ stwierdzających działalność jego daleko lepiej, aniżeli najpiękniejsze frazesy. Oto co np. mówią cyfry w sprawozdaniu za rok ubiegły:

- |   |       |
|---|-------|
| 1) ilość wezwań . . . . .                           | 6780  |
| 2) ilość wyjazdów . . . . .                         | 4683  |
| 3) liczba osób, którym udzielono pomocy na stacji . | 1702  |
| 4) przeciętna liczba wezwań w ciągu jednego dnia .  | 18,25 |

Cyfry te mówią same za siebie lepiej od słów.

Przytoczymy kilka jeszcze danych cyfrowych, objaśnia-

jących, w jakich mianowicie wypadkach Pogotowie spieszyło z pomocą. W 6065 wypadkach udzielenia pomocy było:

chorób wewnętrznych . . . . .	1734
chirurgicznych . . . . .	4145
połogów . . . . .	32
wypadków obłąkania . . . . .	19
symulacji . . . . .	17
śmierci . . . . .	118

Między wypadkami chirurgicznymi było:

ran ciętych . . . . .	594
„ klutych . . . . .	223
„ postrzałowych . . . . .	29
„ tłuczonych . . . . .	1344
„ kłasnanych . . . . .	31

Prosząc czytelników o przebaczenie za przytoczenie tych cyfr, udajmy się na stację towarzystwa, ażeby zobaczyć, jak wyglądają te cyfry w naturze; innymi słowy, jak idzie praca personelu Pogotowia.

Wita nas prezes towarzystwa hr. Przeździecki (założyciel, brat prezesa, umarł nie doczekawszy otwarcia instytucji) i sekretarz, dr. Zawadzki. Powitawszy serdecznie przedstawicieli prasy, prowadzą nas do niewielkiego, ale wygodnie urządzonego lokalu.

— Tu pokój dla dyżurujących — objaśnia dr. Zawadzki, nawiasem mówiąc, oddany duszą i ciałem ulubionemu przez się towarzystwu.—Tu oczekują wezwania telefonicznego lekarze dyżurni. Dowiedziawszy się, jakiego rodzaju wypadek, dają sygnał, zabierają walizkę z odpowiednimi przyborami i jadą. Walizki mamy: chirurgiczne, dla chorób wewnętrznych, dla połogów. Ostatnia zawiera pieluszki dla noworodka, wydawane przez towarzystwo bezpłatnie...

Idziemy dalej, schodzimy po schodach i stajemy w niewielkiej sali operacyjnej, urządzonej według ostatnich przepisów aseptyki. Wszędzie żelazo i szkło, instrumenty sterylizowane.

— Tu opatrują chorych, którzy się do nas zgłaszają osobiście.

Następnie oglądamy stajnię, a w niej 10 rostych koni, wozownię, w której stoją karetki towarzystwa: „Konstanty“, „Warszawianka“, „Litwinka“, „Cyklista“, „Samarytanka“. Jedna z nich zaprzężona, gotowa każdej chwili do wyjazdu.

— „Samarytanka“ — tłumaczy dr. Zawadzki — służy nam wyłącznie do przewożenia niezamożnych chorych z domu do szpitala.

Idziemy dalej oglądać mieszkania sanitarjuszów, w tem rozlega się dzwonek.

— Wzywają, zaraz jadą..

Szybko wyjechała karetka z wozowni. Do niej wsiadł lekarz. Siadam z nim i pędzimy na Leszno, gdzie znajduje się stacja...

Woznica trąbi na trwogę... Wszyscy się usuwają z drogi i my pędzimy bez zatrzymania do świętego dzieła niesienia pomocy bliźniemu, którego niespodziewanie spotkało nieszczęście.

Chociaż pogotowie utraciło już w Warszawie przyciągający charakter nowości, niemniej przeto wielu przechodniów zatrzymuje się i przeprowadza nas wzrokiem. Widocznie, wciąż jeszcze wzrusza duszę obywateli ten jaskrawy objaw troski o bliźniego, to wielkie dzieło miłosierdzia.

I obywatel gotów jest, czem tylko może, pomagać temu dziełu, które powstało za fundusze inicjatora hr. Przędzieckiego, a teraz oddane jest prawie zupełnie opiece i pamięci ogółu.

A ogół pamięta o pogotowiu ratunkowem i pomaga mu przy każdej sposobności. Jakakolwiek zabawę urządzi pogotowie, napewno ma wspaniałe wpływy. Tak np. zabawa jeścienna w ogrodzie Saskim przyniosła na czysto około 18 tysięcy rubli.

Dzięki współczuciu ogółu, pogotowie śmiało patrzeć może w twarz przyszłości. Ono będzie rozwijać się i doskonalić na wzór dla Petersburga i Moskwy, gdzie już są pourządzone stacje na sposób warszawski, ale bez tych udoskonaleń, jakie są już wprowadzone i wciąż się wprowadzają jeszcze do dzieła przez pełnych zapału pracowników, których podnieca i zachęca współczucie otoczenia.

W pogotowiu warszawkiem najbardziej cenną jest ta dobrowolność pracy dla idei i zupełny brak w niej charakteru urzędowego.

## **W obronie dzieci.**

Niedawno „Kurjer Polski“ podał fakt okropnego znęcania się macochy nad dzieckiem. Przed kilku dniami sąd skazał inną macochę, nazwiskiem Woltyńską, na rok więzienia za męczenie 6-letniej dziewczynki.

A teraz otrzymujemy oto list jednego z prenumeratorów, który w całości prawie przytaczamy, wstrzymując się tylko od przytoczenia miejscowości i nazwiska.

„Pan \* \* ze sfery urzędniczej, dwa razy wdowiec, ożenił się po raz trzeci z panną \* \*. z nazwiskiem nietylko w kraju naszym sławionem i szanowanym, i zamieszkali w mieście gubernialnem X. Z drugiego małżeństwa pozostał synek trzyletni; otóż macocha postanowiła pozbyć się natręta i darmozjada (przyjęła też służącą do zgodnego z nią systematycznego znęcania się nad dzieckiem).

„Macocha przypiekała maleństwu świecą język, na najtęższym mrozie po kilka godzin zamykała w sieni; letnią porą gołem ciałkiem sadzała w pokrzywy; kosmyki włosów wyrывała z głowy; ciało szczypała, a biła bezustannie. Męża, zajętego codziennie w biurze odległym, tak umiała nastroić, że i sam ojciec znienawidził dawniej szalenie kochaną dziecinę i żonie w tyranizowaniu pomagał. Na prośbę żony kupił dyscyplinę, wielkości jakby na konia, i dla próby tak skatował nią dziecko, że kilka godzin leżało prawie bez życia. Codziennie zaś formalnie głodem było morderzone, a co kilka dni gotowano z pół garnca mąki klusek i zmuszano takowe zjadać odrazu. Trwały te męczarnie lat dwa, i chociaż sąsiedni lokatorzy upominali się za dzieckiem, nikt jednakże nie odważył się zawiadomić policji.

„Chłopczyna twarz miał starca, brzuszek rozdęty, wyglądał w domu jak zidjociały, ale wśród obcych był dobry, grzeczny, a nawet rozumny; bawiąc zaś dni kilkanaście u przybranej babki, innego zupełnie, zdrowego nabrał wyglądu. Dziecko to w zeszłym tygodniu w męczarniach głodu i pragnienia zakończyło życie. Wezwano doktora kuzyrna, który orzekł, że dziecko umarło na suchoty kiszek. Pochowano je wkrótce, a za trumną szła macocha czarno ubrana i płakała wiele. Jednakże widać już sumienie dręczyć ją poczyna, bo nawet w biały dzień obawia się sama wchodzić do drugiego pokoju.

„Pan Bóg nie rychły, ale sprawiedliwy, może w niedługim czasie na własnym jej dziecku, które od roku posiada, skarże“.

Tak pisze nasz prenumerator. Rzecz nie potrzebuje komentarzy.

Czy jednak macochy tylko i ojczymowie mordują dzieci? Niestety — nie. Rodzice sami bywają nieraz katami własnego dziecka, a iluż ich nie zamęcza wprawdzie maleństwa z rozmysłu, ale brutalnością, głódeniem, srogimi karami, wreszcie choćby zaniedbaniem zupełnem pozbawia je zdrowia, ambicji, wszelkich zasad moralności; ilu wyzyskuje pracę i siły dzieci, zmusza je do żebractwa lub wstrętnych czynów?



Jeżeli zabójstwo człowieka nas wstrząsa, jeżeli wzrusza męczenie zwierzęcia, okropniejsze jest katowanie dzieci, która nietylko się bronić nie może, ale nie rozumie nawet przyczyny kar rzekomych. To grzech, wołający o pomstę! Niezawodnie. Ale cóż z pomsty, która często późno przychodzi, a pożytku w każdym razie nie przynosi ofierze, ani społeczeństwu nie umoralni, nie zapobiegnie podobnym na przyszłość występkom.

Chodzi o zwalczanie złego. Tutaj nie pomogą usiłowania pojedynczych ludzi, i wołania prasy, i oburzenie ogólne wątpliwy mieć będzie skutek. Tu trzeba zjednoczenia ludzi dobrej woli w celach, dalej sięgających.

W wielu krajach istnieją już stowarzyszenia obrony krzywdzonych dzieci. Pierwszym obowiązkiem jest oczywiście wykrywanie faktów znęcania się lub wyzysku dzieci, co teraz tylko rzadko na jaw wychodzi, w razie większego przestępstwa, zbrodni rodziców lub opiekunów.

Następnie zadanie takiego stowarzyszenia jest dwojakie: ukaranie winnych i opieka czasowa lub wychowanie małoletniej ofiary. Ostateczną zaś dążnością musi być taki wpływ moralny i władza prawna stowarzyszenia, aby podobne przestępstwa coraz się stawały radsze.

Zrozumiano to już od lat kilkunastu w Anglii, później w Niemczech i Francji. Najwięcej rozwinięte, oparte na zasadach najbardziej logicznych i humanitarnych, jest „Stowarzyszenie narodowe obrony dzieci i zapobieżenia okrucieństwom“ w Anglii, założone w r. 1884, dzięki inicjatywie szlachetnego człowieka, nazwiskiem Wough.

Z początku towarzystwo napotykało obojętność lub nawet lekceważenie ogółu, który wątpił, jak można roztoczyć opiekę nad czyjśm życiem domowem, a wielu oburzało się, że byłaby ona skrępowaniem wolności osobistej, która w Anglii zwłaszcza jest niemal artykułem wiary narodu. I środki materialne, bez których działalność nie jest możliwa, szczupłe były bardzo. Dopiero w r. 1889 towarzystwo stało na pewnym gruncie i właściwy rozpoczęło żywot, a to dzięki przeprowadzeniu prawa o obronie dzieci.

Prawo to brzmi tak: „Osoba starsza nad lat 16, obchodząca się okrutnie z dzieckiem poniżej lat 16, którem się opiekuje, lub zaniedbująca je, wyzyskująca, czy w jakibądź sposób szkodząca jego zdrowiu, podlega karze (z wyroku sądu przysięgłych) do dwóch lat więzienia lub pieniężnej do 100 funtów sterlingów (1000 rb.), albo też (z wyroku sądu pokoju) karze do więzienia sześciu miesięcy, lub pieniężnej do 20 funtów sterl. (200 rb.).

Odtąd zmieniły się warunki istnienia szlachetnego przedsięwzięcia. Szczególniej sfery robocze zaczęły się garnać do tego źródła opieki, dając mu obok sympatji pomoc moralną i materjalną. Do roku 1894 przeszło 100,000 robotników zawiadomiło „obrońców“ o wypadkach znęcania się lub wystąpiło w sądach w charakterze świadków.

Prawo obrony dzieci rozszerzono następnie i na wszelkie wypadki wyzysku lub nieodpowiedniego zużycia sił dziecięcych. Zabroniono surowo posyłać dzieci na żebranie, śpiewać lub tańczyć za pieniądze, sprzedawać publicznie różne drobiazgi. Chłopcóm do lat 14, a dziewczynom do 16 niewolno brać udziału w żadnych widowiskach na ulicach i jadalniach, w nocy, od 9 wieczorem do 6 rano. Na sztuki akrobatyczne, występy na scenie dzieci powyżej lat 7, potrzeba właściwego pozwolenia sądu, który uprzednio sprawdza, czy małoletni nadaje się i czy mu to szkodzić nie będzie. Nadto oddawać dzieci do lat 16 do cyrku lub teatru mogą jedynie rodzice.

Jakież są wyniki działalności stowarzyszenia?

Przedewszystkiem członkowie starają się wpływać moralnie lub powagą władzy tak, aby przestępstwu zapobiedz lub w zarodku je stłumić. Tutaj świadomość mocy prawnej ma wpływ niemały. Często wystarcza jedna „wizyta“ członka u rodziców lub opiekunów, jego życzliwe uwagi lub ostrzeżenie, ażeby powstrzymać winowajców od złego nadal obejścia czy wyzysku. Jeżeli to nie skutkuje, następuje ostrzeżenie na piśmie lub groźba surowej kary, wedle nowego prawa. W ostatecznym wreszcie razie rzecz idzie na drogę karną.

Policja ma obowiązek postępowania według wskazówek członków towarzystwa, przedewszystkiem zaś odbierania dzieci niegodnym rodzicom lub opiekunom. Dzieci znajdują czasowe pomieszczenie w ochronie, dopóki sprawa nie zostanie rozpatrzoną w sądzie. W razie wyroku skazującego, dziecko może wychowywać się nadal w ochronie lub u krewnych, zdolnych odpowiedzieć temu zadaniu; po odbyciu zaś kary przez winowajców lub po dojściu do 16-go roku życia, dziecko powraca do domu. Rodzice zamożniejsi obowiązani są nadto łożyć na wychowanie dziecka gdzieindziej.

I dzieje się rzecz na pozór dziwna bardzo. Oto rodzice wyzyskiwacze lub kaci własnego dziecka po takim przejściu zwykle inaczej je traktują, lepiej lub nawet dobrze zupełnie, a nieraz przywiązują się do nienawistnego potomka. To są fakty powszechne; niepoprawnych rodziców bywa stosunkowo mało.

Nie należy bowiem sądzić, aby towarzystwo trzymało się martwej litery prawa. W ostateczności dopiero, jak wspominaliśmy, ucieka się do karania winowajców aresztem lub więzieniem, a i w czasie tego zamknięcia, członkowie dbają o potrzeby domowe rodziny skazanych, jak również starają się moralnie wpływać na nich samych.

Po wypuszczeniu na wolność dają im wsparcia pieniężne aż do czasu znalezienia pracy, a i pracę zwykle sami im wynajdują. Powróciwszy do domu, gdzie panuje inny niż przedtem ład i spokój, ujrawszy malca zdrowego, czerstwego i pogodnego, okrutny rodzic rzadko nie dozna miłego wzruszenia, i żyje odtąd inaczej. Oczywiście, towarzystwo nie zaniedbuje czuwania nad byłą ofiarą; sąsiedzi i znajomi winowajców proszeni są o notowanie wszelkich wypadków dalszego znęcania się nad dziećmi. Czy to wpływ moralny, czy obawa przed nową, surowszą znacznie odpowiedzialnością, dość, że powtarzamy, środki powyższe osiągnęły zwykle cel zamierzony—poprawę bytu małoletnich.

Że na to potrzeba i kosztów niemałych, rozumie się samo przez się. „Obrona dzieci“ rozporządza dziś krociami tysięcy, i to też potęguje ogromnie jej działalność. Dzięki temu, dzieci biedaków otrzymują wychowanie lub utrzymanie czasowe, a i cała ich rodzina wyrwana nieraz bywa z pastwy nędzy—matki występku. W ciągu jednego roku 1896 wydatki wyniosły 500,000 rubli; dochody płyną głównie ze składek osób prywatnych lub instytucji.

W ciągu dwunastu lat istnienia, przeszło 250,000 dzieci znalazło obronę lub schronienie. Z tych 70,000 było zbitych, poranionych batem lub kijem, pięścią, nogą, garnkiem, żelazem, węglami żarzącymi, wodą wrzącą; 100,000 wycieńczonych głodem, obdartych, chorych, pełnych robactwa; 15,000 umyślnie okaleczonych, z członkami wykreconymi lub połamanymi, w celu wzbudzenia litości; 10,000 dziewcząt zgwałconych; sporą wreszcie liczbę dzieci pozbawiono życia, aby uzyskać sumę za ubezpieczenie.

Większość, bo przeszło połowa przestępstw, była skutkiem pijaństwa rodziców lub wychowawców.

Wyobraźmy sobie te 250,000 dziatek męczenników, ustawionych w szereg; trzeba by ująć 25 mil, aby je wszystkie obejrzeć! Czy to nie straszne?..

Są to cyfry z samej Anglii, i to z lat dwunastu. O ileż więcej musi być ofiar dziecięcych w innych krajach ludniejszych, i mniej oświeconych? Ile ich jest w naszym społeczeństwie? Luźne tylko, a wstrząsające fakty morderstwa, coraz częstsze, mówią, że złe istnieje i że się szerzy. Obo-

wiązkiem każdego uczciwego człowieka jest tymczasem jego piętnowanie, a z czasem może i u nas niewinne istoty znajdą opiekę ogółu.

### Smutne objawy.

Posłowie z Galicji, Polacy i umiarkowani Rusini, tworzą (a raczej dotychczas tworzyli) w wiedeńskim parlamencie mocno zorganizowane ciało, zwane „Kołem“. Ustawy Koła stanowczo wykluczają wszelkie *liberum veto*. Mniejszość członków, a tembardziej jednostka musi się bezwarunkowo poddawać decyzji większości. Posłowi niewolno ani przemawiać w Izbie, ani głosować wbrew decyzji Koła. Wyjątek stanowią tylko sprawy wyznaniowe.

Taka mocna organizacja dała przedstawicielstwu Galicji siłę, pozwoliła zdobyć stanowisko wpływowe, a często decydujące. Głosy się nierozstrzelały, ale w każdej ważniejszej sprawie spadały na szalę dużym, zbiorowym ciężarem.

Ale ta solidarność Koła była zawsze nieznośną dla ludzi, nieumiejących lub nie lubiących zrękać się swego osobistego zdania, lub porywu dla względów karności, dla praktycznego pożytku ogółu. Kiedy obcy zawsze mówili z uznaniem, nieraz z zazdrością o owocnej spoistości klubu polskiego, podziwiali ducha subordynacji praktycznej w potomkach narodu, który w przeszłości zgrzeszył bezrządem, — w samym Kole nie brakło nigdy posłów sarkających na surowe ustawy, szarpiących je słowem lub nawet czynem.

Głośna była w swoim czasie t. zw. „secesja“ pięciu członków Koła w r. 1878 i 1879, w sprawie przyłączenia do Austrii Bośni i Hercegowiny. Trzech się niebawem cofnęło, ale wybitny statystyk i mówca Hausner, oraz adwokat Wolski, wytrwali i głosowali wbrew uchwale Koła.

Krzyk był wielki. Umiarkowani biadali, żywioły krańcowe klaskały. Ale wtedy jeszcze cała opinja widziała i uznawała konieczność jedności Koła. Rozgrzeszano lub nawet chwalono jednorazowe odstępstwa, ale na przyszłość domagano się stanowczo wstąpienia „secesjonistów“ napowrót do Koła.

W r. 1894 wyłamał się znowu z pod ustawy Lewakowski—został z Koła wykluczony, a niebawem utracił też i godność poselską; wreszcie wyniósł się z kraju.

Jedność Koła polskiego pękła, gdy kilka lat temu wybrano do parlamentu dwa niespokojne duchy: Daszyńskiego i Stojałowskiego. Koło pozostało, nawet może nie utraciło

dawnej siły, ale nie obejmowało już wszystkich posłów Polaków z Galicji—socjaliści, Stojałowski i ludowcy doń nie wstąpili wcale, a nawet toczyli z niem walki najzawziętsze, pomagali Niemcom.

Ciekawe to i pouczające: Daszyński i Stojałowski rzucają najgwałtowniejsze przekleństwa na przeszłość szlachecką, a jednocześnie i sami wciąż popełniają jeden z najcięższych grzechów tej przeszłości, i innych do grzechu tego ciągną. Zaślepiona szlachta, w imię równości i wolności burzyła niegdyś władzę wszelką, i karność, i jedność, doprowadziła kraj do bezrządu, po którym i wskutek którego przyszła śmierć Rzeczypospolitej. Cóż innego dziś robi Daszyński, co innego robi Stojałowski?

„Koło“ jest największą powagą polityczną w Galicji, jest tam najwyższą władzą społeczno-moralną. Daszyński, Stojałowski, t. zw. ludowcy, z istną starszlachecką fanaberią, miotają się w największej zajadłości, aby tę powagę obalić, aby władzę zniszczyć.

Zły geniusz narodu lub warstwy narodu nie ginie prędko. Choć go pokuta, rozum, patriotyzm usuną z duszy ogółu, tuła się długo, długo w duszach słabszych jednostek. Teraz obłęd starszlachecki za mieszkanie obrał sobie niewątpliwie Daszyńskiego i Stojałowskiego!

Hasłem dla żywiołów krańcowych w obecnej walce przedwyborczej jest obalenie Koła. Pomimo, iż żywioły te składają się z wielu wrogich sobie pierwiastków, nienawidzą się, walczą z sobą zajadle, w tej burzycielskiej robocie skojarzyły się na chwilę. O wszystko inne mniejsza, niech tylko Koło runie.

Naturalnie, zamiary negacyjnej czysto natury nie są nigdy silną spójnią. Więc też i owo zrzeszenie się ludowców, socjalistów, stojałowczyków i radykałów starszego autoramentu, nie było trwałe i dziś już pęka. Nicość burzycielskich planów ujawniła się bardzo szybko w całej pełni.

Przedewszystkiem musiało wypłynąć pytanie, co się stanie, gdy już Koło legnie?

Naturalnie musi powstać Koło nowe. Ale jakie? Gdy raz zasada obowiązkowej jedności zostanie odrzucona, gdy jednostki nie będą się rachować z wolą ogółu, a mniejszość stosować się do większości, wtedy jedno koło nie obejmie wszystkich, jakakolwiek byłaby jego ustawa. I nie będzie kół dwu, ale tyle, ile stronnictw, ile grup, a może tyle ile fantazji jednostek. Między wojującymi stronnictwami niema nic wspólnego, prócz chęci pogrzebania Koła; gdy to na-

stąpi, rozpadną się, odskoczą od siebie z przekleństwem na ustach.

Daszyńskiemu i Stojałowskiemu w to graj! Ale poważniejsi ludzie, kochający nie tylko własną ambicję, ale i dobro publiczne, przerażili się takim niebezpieczeństwem. Wtedy będą kluby partyjne, ale nie będzie przedstawicielstwa kraju.

Więc odzywać się zaczęły głosy, iż powinno powstać koło nowe, demokratyczne, ale ustawa musi zostać dawna. Przypomniano też sobie, iż bardzo głośni nawet wrogowie solidarności w Kole, dawniej i teraz, Wejgel, Rutowski, Romanowicz, gdy proszono ich o projekt reformy, musieli przyznać po szczegółowym zbadaniu paragrafów, iż żadna zmiana nastąpić nie powinna.

W tych dniach wyszła też we Lwowie broszura p. t. „Kilka słów w sprawie solidarności Koła polskiego“. Autor jest stanowczym nieprzyjacielem Koła, ale w końcu musi wyznać, że solidarność w klubie politycznym uważać trzeba za niezbędną. Chce koła drugiego, ale z tą samą ustawą.

Zważywszy to wszystko, niepodobna oprzeć się podejrzeniu, iż przywódcom ruchu przeciwnego Kołu nie chodzi o zasadę. Zohydzają solidarność Koła wobec opinii nie dla tego, aby tę solidarność uważali naprawdę za złą dla interesu publicznego, ale wskutek niedogodności jej dla swoich planów stronniczych, dla swojej ambicji. Jest to mniejszość, która nie umie być karną, nie umie wspólnie pracować i czekać swojej kolei. Aby zaspokoić własną niecierpliwość, własne pretensje, pragnie zburzyć instytucję, która przez 40 lat istnienia złożyła dowody trwałości, siły i pożytku. Chodzi o usunięcie ludzi, aby zająć ich miejsca — i dla tego to celu samolubnego lub stronniczego gotowi są ci panowie poświęcić Koło.

Może się mylimy — obyśmy się mylili — a ten zamęt dzisiejszy w Galicji nie wróży nic dobrego. Z namiętnej walki wszystkich przeciwko wszystkim, z zapomnienia o interesach ogółu wskutek uniesień stronniczych nie może się wyłonić nic dobrego, ani uczucie poważne, ani myśl mądra, ani czyn owocny.

Zeby nas nie posądzono o przesadę, przytaczamy ustępy z dwu pism ludowych.

*Wieniec i Pszczółka* Stojałowskiego woła:

„Wyborów jak obecnie, jeszcze nie było w naszym kraju!

„Istna zawierucha i piekielny chaos, w którym nie moż-

na widzieć światła i prawdziwej drogi — a tylko w oczy biją tumany kłamstwa, nieuczciwości i wstrętnej zuchwałości.

„Zdaje się, że wróciły czasy z przed stu laty, kiedy to szlachta, rozbita na rozmaite partje, rozszarpywana własną głupotą i ambicją, krzyczała „o ratowaniu Polski“—a kopała jej grób“.

„Zachodzi tylko ta różnica, że wówczas zawierucha i szalony zamęt panował w obozie szlacheckim, ja na skutki tej zawieruchy czekali Niemcy, a dziś ta zawierucha i szalone zawichrzenie przeniosło się do ludowego obozu“.

„Przyjaciel ludu“ organ stronnictwa „ludowego“ mówi:

„Jeżeli kto kocha prawdziwie sprawę ludową, a nie siebie, to patrząc na to, co dziś się stało i co się dzieje z partjami ludowymi, musi ręce załamać.

„Cóż chłopci robią, aby w chwili tak ważnej nie dać się zgnieść i nie stać się pomiotłem, skazanem na poniewierkę i wstyd, a na szyderstwo przeciwnikom? Oto gryzą się między sobą i spierają, czyja skórka cieplejsza i piękniejsza; to wszystko przyda się psu na budę, ale nie chłopom na pożytek!

„Czy taka babranina nie ogłupia biednego chłopca, który, że dotąd nie zgłupiał do cna, to prawdziwie cud Pana Boga?“

Podobnie smutnych cytat możnaby przytoczyć bardzo dużo.

Niech nikt nie sądzi, iż żywimy jakąś niechęć do przekonań demokratów jakiegokolwiek odcienia. O nie. Miłość ludu, pamięć o nim, idee wszechludzkie—to rzeczy wielkie. ale tylko wtedy, gdy w podstawie jest naprawdę miłość bliźniego, nie zaś własne ambicje, gdy jako następstwo idei przychodzi praca mozolna dla dobra ogółu, zaparcie się siebie, nie zaś łatwe robienie zamętu pustemi deklamacjami i krzykami, podburzanie jednych na drugich, wszczepianie straszego jadu nienawiści w serca prostaczków, w umysły ciemne.

W tej chwili w Galicji dużo jest pięknych nazw, dużo jest brzmiących haseł, ale nie widać głębszej miłości kraju.

*Lach.*

## **Max Müller.**

Niedawno zmarł w Anglii ( w Oksfordzie) sławny uczo-  
ny i badacz języków wschodnich, pisarz wielkiego talentu,  
Fryderyk Maksymiljan Müller, niepospolity znawca staro-

żytnych Indji, ich języka i religji. Urodzony w r. 1823 w Niemczech (Dessau), odebrał wykształcenie w kraju, później udał się do Anglii, ogniska nauki i wiadomości o wschodzie, gdzie czerpał ze skarbnicy, zawartej w księgach „Rig Weda“. Księgi te pisane są w najstarszem narzeczu mowy indyjskiej, w sanskrycie. Müller miał dar szczególny, przedstawiania najtrudniejszych zagadnień językoznawstwa, mitologii i kwestyj religijnych w sposób jasny. Był to zarazem jeden z ludzi, całą duszą oddany wiedzy, którą też w ciągu długiego swego żywota zgłębił szczerze na pożytek dla całego świata cywilizowanego.

## NOWE KSIĄŻKI.

„Bilans handlowy gubernji Królestwa Polskiego“, opracował *Władysław Żukowski* przy współpracownictwie pp. *Chruszczyńskiego* i *Źerniawskiego*, 28 str., tekstu oraz 15 tablic statystycznych.

Praca p. Żukowskiego ma odpowiedzieć na pytanie, jak jest wielki przywóz i wywóz do Królestwa i z Królestwa płodów naturalnych, oraz przetworów wszelkiego rodzaju? Ponieważ w gospodarstwie społecznem u nas najważniejszą rolę odgrywa zboże i mąka, więc autor od tego zaczął. Dalsze zeszyty obejmą: II. Artykuły spożywcze, zwierzęta domowe, napoje i t. p. III. Drzewo, węgiel, rudy, metale, skóry, wełna, bawełna, materiały pierwotne i t. p. IV. Wyroby fabryczne i maszyny. V. Wyroby rzemieślnicze. VI. Różne towary i zestawienie ogólne.

Kraj nasz przez wieki, aż do czasów ostatnich wytwarzał chleba powszedniego, albo raczej materiału na chleb powszedni więcej, niż spożywał: sprzedawał żyto, pszenicę Niemcom, Anglikom. Kiedy przed kilku laty po raz pierwszy wypowiedziano przypuszczenie, iż wskutek rozwoju przemysłu i wzrostu ludności, przestaliśmy być krajem produkującym zboże na wywóz, lecz przeciwnie, dziś już musimy dla siebie dokupować ziarna, przyjęto twierdzenie to z niedowierzaniem, nawet się śmiano i gorszono. Ale wszystkie prace poważniejsze, prowadzone w tym kierunku, stwierdzały przypuszczenie. Ponieważ jest to kwestja i bardzo ciekawa i niezmiernie ważna,—aby skutecznie działać, trzeba znać dokładnie stan rzeczy, to też do odpowiednich obliczeń (w r. 1898) wzięła się delegacja statystyczna sekcji han-



dłowej w Towarzystwie przemysłu i handlu. Jednocześnie zaś ukazał się I zeszyt pracy p. Żukowskiego (obrachunki za lata 1894—97).

Rzecz opracowana sumiennie, z wielką znajomością. Oto ostateczne wyniki badań: wartość wywozu ziarna i mąki z Królestwa woiąż się zmniejsza, wartość przywozu wzrasta; w latach ostatnich przewyżka przywozu nad wywozem wynosiła już *kilkanaście milionów rubli* (w r. 1897: wartość przywozu 25,5 mil. rub., wartość wywozu 11,3 mil. rub.; przewyżka: 14,2 mil. rub.), czyli Królestwo przestało być krajem wywożącym, a stało się krajem przywożącym zboże. Jestto naturalne i konieczne następstwo rozwoju stosunków ekonomicznych, który powtórzy u nas na mniejszą skalę w dziedzinie gospodarstwa ekonomicznego te same fakty, jakie dostrzegamy we Francji w końcu pierwszej połowy bieżącego stulecia, a w Niemczech po 1870 r.

„Stwierdzając fakt ten—pisze p. Żukowski,—winniśmy z niego wysnuć pewien praktyczny wniosek. Utraciwszy swoje stanowisko w międzynarodowym handlu zbożowym, Królestwo nie przestało być przez to krajem rolniczym, i naturalnie interesy rolnictwa krajowego powinny być u nas po dawnemu podstawą wszelkich programów ekonomicznych, kreslonych w widokach powszechnego dobra. Ale właśnie dlatego, że handel zbożowy zewnętrzny przedstawia już obecnie dla naszego rolnictwa daleko mniej interesu, niż przed dwudziestu laty, dlatego właśnie dotychczasowe poglądy na stosunki handlowe międzynarodowe i na traktaty celne winny ulegz zmianie“.

Praca p. Żukowskiego ma tem większą doniosłość, iż świeżo ukazały się tablice statystyczne i z nich wnioski ekonomiczne, pp. Druzinina i Toczyckiego—bardzo nieumiejętnie zrobione i bardzo bałamutne. S.

„Z biegów Wisły. Obrazki o Kraju“ przez *Jadwigę Chrzęszczewską* *Jadwigę Warnkównę*. str. 372, 200 rysunków i 2 mapy.

Jestto książka bardzo ciekawa, pouczająca i wysoce sympatyczna. Znajduje się w niej wszystko: geografia, historia, podania, piosenki ludowe, urywki z poetów i t. d. Mamy barwny, interesujący opis różnych okolic, ich fizycznej, a w części i duchowej fizjonomji, poczynając od źródeł Wisły na Szląsku, aż po Gdańsk i Kaszuby. Autorki wzięły Wisłę w rozległym znaczeniu, basen Wisły, więc znajdujemy tam prócz miast i okolic, leżących bezpośrednio nad królową rzek naszych także Wieliczkę, Lublin, Kalisz, Łomżę, nawet Suwałki. Na ilustracjach widzimy śliczne miejscowości, sceny dziejowe, typy ludowe, sceny z życia, pamiętki.

# Ze świata kobiecego.

## Pogadanka o modach.

Sądzone powszechnie, że wystawa paryzka, która tyle miejsca poświęciła—damskiej toalecie, sprowadzi w zakresie mody nowości, o których ucho nie słyszało, których oko jeszcze nie oglądało. Otóż nadzieje te zawiodły. Wszystko, co wystawa przedstawiła w zakresie strojów niewieścich jest piękne, wytworne, różnorodne, ale—nie nowe. Toalety dam, zwiedzających „jarmark wszechświatowy“, nie nadały też nowego kierunku modzie. Owe toalety były dwojakiego, wprost odrębnego rodzaju: albo skromne, spacerowe, do „drepłania“ *genre trotteur*, lub też wspaniałe balowe, któremi półświatek popisował się wieczorami na *Rue de Paris*. Nowością jest to tylko, że stare, bardzo stare mody panują wszechwładnie, a więc: rękawki bufiaste przypominają czasy krynoliny, a nawet dawniejsze o wiele, bo wiek siedemnasty, w którym nie tylko kobiety, ale i mężczyźni nosili bufy. Rękawki półdługie, używane do sukien strojnych, noszone były przez niemieckie damy „szlachetnego rodu“ podczas wojny trzydziestoletniej. Płaszczki z pelerynami w stylu „Orlątka“, (sztuki Rostanda, osnutej na tle dziejów nieszczęśliwego syna Napoleona I, ks. Reichstadt), sięgają początku XIX stulecia. Długie surduty i damskie fraki przypominają Dyrektorjat, koszyczki—*paniers* są odległym wspomnieniem — czasów Ludwika XIV. Tak samo w zakresie kapeluszy — widzimy trójgraniaste w stylu Ludwika XIV, ogromne à la Louis XIII Rembrandty i t. d. Słowem, jeśli kiedy, to dziś można za-

stosować do damskich mód znane przysłowie, że „nic nowego pod słońcem“.

\* \* \*



Kapotka *Midicis* dla pań starszych. Foremka z czarnej szneli, przybranie z fiołkowego aksamitu, pęk czarnych piór strusich, bukietek fiołków na przodzie.

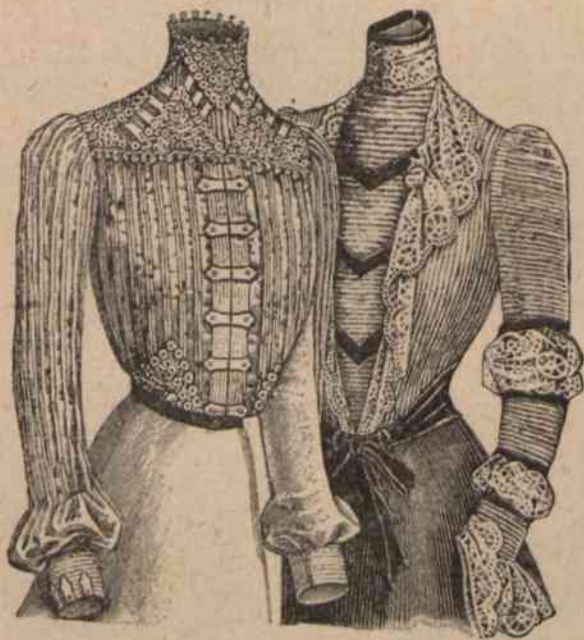


Toczek z aksamitu zielonego, węzeł aksamitny, przybranie z fantazyjnych palet.



Kapelusz *Canotier* dla młodych panierek, kokarda z zastębnowanego atlasu.

Na międzynarodowym kongresie kobiecym w Paryżu postanowiono walczyć z cudactwami mody: sukniami, wlokąciami się po ziemi i wzniecającymi kurzawę, obcisłymi staniakami, gorsetami, paskami; punkt oparcia sukien ma być przeniesiony na ramiona, a zdjęty z bioder i pasa. Takie zmiany byłyby wielce pożądane, ale czy prędko zaświtają i czy wogóle zaświtają? Rozsądnym usiłowaniom w tym kierunku przeszkadzać będą zawsze „lalki“ salonowe, których jedynym celem strój, olśnienie towarzyszek i rywalek. Poważniejsze koła niewieście mogą zacząć reformę, stosując ją



Bluzki strojne.

we własnem ubraniu. Przykład może zachęcić szerszy ogół, ale zachęci go w takim tylko razie, jeśli reformy będą nie tylko higieniczne, lecz i ładne, bo trudno wymagać od kobiet młodych, aby się szpecily w imię zdrowotności. I poświęcenie — ma swoje granice.. Miejmy wszelako nadzieję, że mądre głowy, obmyślające te zmiany, potrafią pogodzić pożyteczne z nadobnym, tak, by i wilk był syty i owca cała.

Ale już i dziś widzimy zmianę na lepsze. Jaką była rok temu sylwetka kobiety? W pasie cienka nienaturalnie,

bajecznie, szeroka w ramionach, tworzyła figurę, podobną do doniczki, przytem biodra wystawały nadmiernie, biust był zanadto podniesiony.

Dziś cały wdzięk polega na wysmukłości linii. Patrząc na kibić niewieścia z profilu, widzimy jedną linię prostą i pionową, biegnącą wzdłuż pleców; *en face* linja od szyi do piersi jest mało wypukłą, a przynajmniej wypukłą bez sztucznej przesady; linja zupełnie prosta, bez wcięcia, biegnie od piersi do ziemi.

Ten zarys postaci należy zawdzięczać — nowemu gorsetowi o prostej brykli. Teraz piersi są na miejscu właściwym, żołądek, płuca, wątroba, nie skrępowane, biodra i kolumna pancerzowa podtrzymane nie zaś ściśnięte. Do tej sylwetki stosują się wszystkie pomysły mody, tak samo w zakresie sukien spacerowych, jak i najstrojniejszych.

Przyjrzyjmy się więc wszelkim rodzajom toalet. Spacerowe i codzienne z sukna lub szewiotu mają krój prosty: spódnice bądź zupełnie gładkie, oblepiane na biodrach, rozszerzające się ku dołowi, lub też zapisowane w drobne fałdy podłużne, spódnica połączona ze staniem paskiem wążutkiem z tego samego materiału, zastępnowanym kilkakrotnie; stanik z wąskimi wyłogami, z przodu szmizetka atlasowa lub jedwabna, o jeden ton jaśniejsza od całej sukni.



Toaleta wieczorowa.

Taka sama, atłasowa, lub jedwabna bufa, wychodząca z pod rękawa i ujęta w wąski pasek przy ręku.

Suknia wizytowa: styl *Empire*, bez wcięcia, ale oblepiana od szyi do kolan,



Suknia spacerowa.

na od szyi do kolan, ku dołowi szersza. Na piersiach króciutkie *bolero*, spięte pośrodku klamrą lub kokardą o długich końcach. Kołnierz bardzo wysoki, zachodzący za uszy, rękaw z wyłogami przy łokciu, zakończony bufą. Kolorami uprzywilejowanymi do takich sukien są: brązowy i czarny. Do przybrania używane pasmanterje, złote chwasty, guziki aksamitne, stalowe, z perłowej masy, pletnie, wreszcie — stębnówka.

W toaletach wieczorowych i balowych panuje największa różnorodność; fantazja modystyk ma wolne pole do popisu. Względami pań cieszą się przezroczyste gazy i tiule, narówni z ciężkimi brokatelami; dużo też widzimy sukien koronkowych czarnych na tle odmiennem. Fasony przeważnie *Empire*, wolno puszczzone, ale zarysowujące kształt.

ty, fason *princesse* stosowany do toalet z ciężkiej materji.

Przechodząc od ogólnych poglądów do szczegółowych wskazówek, zaznaczam, że wielkimi względami pań cieszą się wełny kraciaste, szkockie, materiały ostre, węzełkowate. Sliczne, lecz niestety, drogie, są sukna z długim, lśniącem włosem, naśladowującym futro sobole. Tym z moich czytelniczek, które nie mogą sobie pozwolić na taki zbytek, powiem pod sekretem, że owe materiały są bardzo niepraktyczne, bo długi włos prędko się wyciera i suknia wygląda jakby wytysiała.

W barwach od zeszęj mojej pogadanki nie zaszły zmiany; ulubionemi są: odcienie brunatno-rude, tabaczkowe, ciemno *bordeaux*, szare; do każdego z tych kolorów może być użyte przybranie zielone bądź z aksamitu, bądź z sukienka. Wogóle sukno stanowi uprzywilejowane garniowanie spódnic i staników, w postaci obłożen skośnych, stębnowanych kilka razy wzdłuż; takie same pasy zastębnowane robią się z atlasu.

Obok materiałów gładkich miejsce poczesne zajmują fantazyjne, a zwłaszcza tak zwany „kameleon“; ta tkanina z jedwabiu i wełny po połowie, ma odcień metaliczny, dzięki zręcznej kombinacji tła kolorowego jedwabnego, zasnutego czarną, wełnianą nitką. Dalej „Ondyna“, materiał wełniany, pokryty jedwabnym węzowatym deseniem. Obie te tkaniny mogą być użyte do toalet strojnych, nie do spacerowych, ani wizytowych.

W czesaniach zaszły zmiany. Już nie będziemy podnosiły włosów do góry, pozostawiając czoło zupełnie obnażonem. Ucieszy się z tego zapewne większość kobiet, albowiem o ładne, gładkie czoło równie trudno, jak o ładne ramiona. Grzywka przywrócona do łask, ale w odmiennej postaci, nie jako frędzelka równo obcięta, lecz wie się będzie w pojedynczych, fantastycznych loczkach na skroniach. Ta zmiana uczesania spowodowała nowy fason kapeluszków, zwany *aureole*, gdyż otacza głowę jakby aureolą—z filcu lub aksamitu. Wszystkie prawie foremki są wywinięte do góry, bądź z boku, bądź z przodu, bądź w trzech czwartych, a nawet dokoła; widzimy kapelusze dwu-graniaste, trój-graniaste, czworo-graniaste; chodzi o to, aby jaknajwięcej włosy odsłonić. A włosy będą zaczesywane bardzo nisko, tworząc węzeł na karku.

Najnowszą, ale bardzo kosztowną modą i nie dla wszystkich dostępną są całe suknie z lutrów, szynszyli, karakułów, nie mówiąc już o sobolach, tomakach i szebowych lisach. Jestto zbytek niesłychany. Dawniej obchodzono się z futrami z należnym szacunkiem, dziś krają je na drobne kawałki, marnują, po to chyba, żeby damy wyglądały na Eskimosów,

bo niech to sobie będzie najwspanialsze i najmodniejsze, nikt mi nie wyperswaduje, że kobieta ubrana od stóp do głów w puszyste futro, wygląda nie estetycznie. Nie dość, że całe błamy krajane są w kliny, lecz wykrawują w nich kwadraty, trójkąty, aby w nie wstawić koronki, tiule, krepy. Słowem, cudactwo pomysłów nie zna kresu ni granic. To też o piękne, jednolite futro coraz trudniej. Zasadę, że nic w naturze nie ginie, wprowadzają w czyn kuśnierze, zszywając błamy z drobnutkich skrawków i resztek. Za kilo gronostajów płacą po 40 fr., za kilo sobolów 70 fr. Pewna bogata Paryżanka szczyła się płaszczem sobolowym, kupionym za bardzo drogie pieniądze. Jedna z jej przyjaciółek — nie masz jak przyjaciółki, jeśli chodzi o rozwianie złudzeń — poczęła z niej żartować, utrzymując, że jej piękna delja zszyta jest conajmniej z 4,000 kawałków. Damy założyły się, a dla stwierdzenia, kto ma słuszość, podpruto płaszcz, i cóż się okazało? Bogate futro było zesztukowane z kawałeczków, z których największy miał 2 centymetry kwadratowe.

Jakie będziemy nosiły — pończochy — białe czy czarne? To pytanie zaprzęta sfery, stanowiące o modach. Objawia się już oddawna dążenie ku przywróceniu białych pończochek, jako higienicznych. Paryskie czasopismo kobiece „La Fronde” zwróciło się z pytaniami w tym względzie do wszystkich większych fabryk pończosznich. Odpowiedziały jednogłośnie, że już latem puściły w obieg pończochy białe i że cieszą się one coraz większym pokupem, nie takim jednak, jak kremowe. Natomiast czarne — w zupełnem zaniebdaniu, nie chcą ich kupować nawet ubogie dziewczyny, a to skutkiem wielkiej taniości złotego obuwia (dodajmy, że w Paryżu, bo u nas nie widzimy tego wcale). Już za 4 fr. 75 ct. można dostać trzewiki złote lub brunatne, do których pasują tylko pończochy białe lub kremowe. Bądź co bądź noga w białej pończosze wygląda grubiej, niż w czarnej, sądzę więc, że te ostatnie wrócą do łask niebawem. Nieraz już bywały rugowane, a zawsze odnosiły zwycięstwo. Już za czasów Henryka II, króla Francji, noszono tylko pończochy, zszyte z jedwabnej materji. Pierwsze pończochy, robione na drutach, włożyła ulubienica Henryka IV, króla Francji, piękna Gabryela d'Estrées. Kardynał Richelieu wprowadził w modę kolor czarny z niebieskim. Za czasów Ludwika XIV noszono pończochy malowane w kwiaty. Pierwszą maszynę pończoszną wynalazł w XVII w. Anglik, Wilhelm Lee, pod wpływem — miłości, pragnąc oszczędzić oczu swej narzeczonej, która zarabiała, robiąc pończochy na drutach. Obywatel miasta Nîmes, niejaki Jan Hindret, podpatrzył ta-



jemnicę Wilhelma Lee i wprowadził do Francji maszynę wedle jego wzorów.

Francuski minister finansów Colbert w XVIII w. założył pierwszą fabrykę pończosniczą. Zwyczaj noszenia pończoch wełnianych rozpowszechnił się w końcu XVIII wieku. Wtedy to ukazały się pierwsze białe pończochy do trzewików tejże barwy. Rewolucja francuska przywróciła znowu pończochy czarne. Za czasów Restauracji, to jest powrotu Burbonów do Francji, noszono znowu białe; utrzymały się aż do r. 1870; odtąd weszły w użycie czarne, na jak długo? Moda rozstrzygnie o tem niebawem.

\* \* \*

Wystawa paryska dobiegła kresu. Okazała ona światu wiele rzeczy ciekawych, a jednym z ciekawszych działów był tak zwany pałac kobiety. Opisywałam już, co w nim można było oglądać w zakresie strojów damskich. Dziś podam wykaz ogólnej działalności kobiecej. Wszystko, co ów pawilon zawierał, wyszło z pod rąk niewieścich, jakkolwiek wystawcami firmowymi byli przeważnie mężczyźni, jako właściciele fabryk, warsztatów i magazynów, zatrudniających kobiety, albowiem prawo francuskie, zwyczaj, wreszcie i brak inicjatywy i środków materialnych stoi tym ostatnim na przeszkodzie do zakładania własnych przedsiębiorstw. Mimo tych przeszkód, na wystawie paryskiej znajdowały się wystawczyźnie samodzielne, i to we wszystkich ośmnastu grupach owego pałacu, a nawet w działach, w których nie spodziewano się ujrzeć pracy kobiecej. Liczba wystawczyń wynosiła 2,600; otrzymały nie mniej jak 1,136 odznaczeń.

W pierwszej grupie — wychowania i wykształcenia, oprócz działu urzędowego, pod opieką ministra oświaty, było 94 samodzielnych wystawczyń. Pięć kobiet należało do grupy sędziów konkursowych, 7 było rzeczoznawczyniami; z pośród wystawczyń 5 otrzymało medale złote, 29 srebrne, 78 — listy pochwalne. W drugiej grupie — sztuk pięknych wystawiło swe dzieła 350 kobiet, w liczbie tej malarki, rzeźbiarki, litografki, grawerki i t. d., a nawet jedna architektka z Ekwadoru. Z pod pędzla kobiet wyszło niewiele kwiatów i pejzażów, więcej daleko obrazów rodzajowych, a najwięcej portretów i miniatur. Dwie trzecie wystawczyń otrzymały odznaczenia.

W grupie instrumentów i przyrządów naukowych, oraz sztuki graficznej było 23 wystawczyń.

W dziale medycyny i chirurgji cztery. Nie brak ich też w grupie maszyn, w dziale elektryczności, w dziale tele-

fonów i telegrafów; jedna Dunka wystawiła swoje okazy w dziale elektrotechnicznym.

W grupie sztuki inżynierskiej 6 kobiet wystawiło maszyny własnej konstrukcji, każda otrzymała medal lub nagrodę, dwie wystawiło modele yachtów, jedna przyrządy ratunkowe.

W grupie gospodarstwa rolnego było 162 kobiet, przedstawiających swe prace, za które otrzymały 3 *Grand-Prix*, 12 złotych, 23 srebrne i 9 brązowych medalów.

W dziale ogrodnictwa, leśnictwa, myślistwa i rybołówstwa było 24 wystawczyń, większość otrzymała nagrody, trzy dostały złote medale.

Licznie reprezentowanym przez kobiety był dział konserwów, przetworów owocowych i rozmaitych produktów żywności. Z liczby 407 wystawczyń, 150 zostało odznaczonych

W grupie budownictwa i mieszkań przedstawiło sw prace 278 kobiet, 61 otrzymało dyplomy, jedna *Grand-Prix*.

W grupie tkactwa, haftów, koronek, pasmanterji, konfekcji damskiej było, ma się rozumieć, najwięcej wystawczyń, bo 693, z których 307 otrzymało odznaczenia.

W dziale złotnictwa i zegarmistrzostwa kobiety święciły także tryumfy. Było tam 147 wystawczyń, z których 86 zostały odznaczone.

W dziale ekonomji społecznej i higieny z liczby 105 wystawczyń, 31 otrzymało nagrody.

Nie brakło też kobiet w oddziale kolonji i marynarki. Związek Dam francuskich Czerwonego Krzyża okazał swe prace i otrzymał za nie *Grand-Prix*.

Należy dodać, że liczba cudzoziemek wystawczyń była bardzo niewielka, i tak naprzykład nie było ani jednej Szwajcarki; najpiękniejsze hafty szwajcarskie wyszły z pod igły Francuzek.

Widzimy więc, że krzątają się one dzielnie, wkraczając nawet na pola, uprawiane dotychczas przez mężczyzn.

Przedstawiając ich działalność, nie mam na celu zachęcania naszych kobiet do budowy maszyn, yachtów i t. d. Każdy kraj ma swoje warunki społeczne i potrzeby. To, co w jednym jest dobre, byłoby nie na miejscu w drugim. My mamy za wielu inżynierów mężczyzn, więc kobiety, pracujące na polu technicznym, nie łatwo znalazłyby zajęcie, a obniżyłyby tylko ceny zarobkowe. Wyliczając pola pracy kobiecej, chciałam informować moje czytelniczki, nie zaś wskazywać im drogi. Daleko ważniejszą gałęzią od inżynierji jest u nas wychowanie, higiena, gospodarstwo domowe, hodowla drobiu, ogrodnictwo. O popisach na innem polu możemy posłuchać przez ciekawość.

E. Żmijewska.

# Korsarz Triplex.

(Powieść w 2 częściach).

(*Ciąg dalszy*).

Już wziął do ręki ostatni rulonik, lecz nie rozwijał go odrazu.

Na twarzy jego odbiło się znużenie... Nagle zerwał się z fotelu i zaczął czytać głośno:

- Proszę połączyć z № 57022...
- Połączono...
- Kto jest? Goody?
- Ja, Farnose...
- Czy spełnione polecenie kapitana Potrójnego?
- Już. A co się z nim dzieje?
- Wszystko pomyślnie. Teraz wyjechał do kopalni złota w pustyni Sandy...
- Daleko?
- Nie bardzo. Morzem do ujścia rzeki, potem rzeką, i za trzy dni będzie u Trzech Strzał.
- A tam znajdzie świadka...
- Bardzo nieprzyjemnego dla pana. „Wszystko—moje.”
- To dobrze. Nic nowego?
- Nic.
- Do widzenia.

— Do widzenia.

Chwilę jakąś stał Allsmayne nieruchomy, pogrążony w myślach. Nie miał żadnej wątpliwości, że kapitan Potrójny i pan Wszystko-Moje, o których była mowa, to kapitan Triplex i on sam. Pseudonimy były zbyt przezroczyście—było to po prostu tłumaczenie łacińskiego Triplexa i angielskiego All is mine.

— Puff over! — zawołał naczelnik policji! — Teraz już mam ich w ręku.

Włożył kapelusz i poszedł niezwłocznie do Lavarede'a. Zastał go w sali ogólnej, przy gazecie. Podszedł do Armanda i trącił go w ramię. Paryżanin podniósł głowę.

— A, pan Allsmayne?

— Tak.

— Czemu zawdzięczam przyjemną wizytę?

— Mam do pana ważny interes.

— Ważnyż? A śmiejesz się pan?

— To właściwie dowodzi ważności sprawy.

Armand nie odpowiedział, lecz twarz jego wyrażała zdziwienie.

— Wszak jesteś pan podróżnikiem? — pytał Allsmayne.

— Wprawdzie nie z zawodu, lecz z musu — odparł Armand.

— Czy nie uśmiecha się panu projekt przejażdżki do Nowej Zelandji?

Lavarede zerwał się z krzesła.

— Do Nowej Zelandji?!

— Przedewszystkiem daj mi pan słowo, że nikomu nie powiesz nic innego, tylko...

Słowo już daję, ale...

— Czekaj pan. Jesteś pan przekonany, że kuzyn pański znajduje się w Nowej Zelandji. Jedziesz więc tam, a ja panu towarzyszę. Oto wszystko.

— Dobrze. To pretekst, ale prawda?

— Wiem, gdzie znajduje się korsarz Triplex.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Od pana.

— Odemnie?

- Tak, od pana, dzisiaj rano...
- Ach! więc z rozmów telefonicznych?
- Tak jest. Zgadzasz się pan?

— Ależ, z największą chęcią. Zresztą, przykrzy mi się siedzieć w Sidney bez żadnego zajęcia. A chciałbym jednak spotkać się z tym korsarzem. Być otoczonym tajemnicami, i nie mieć możliwości ich odkryć, to rzecz dla dziennikarza nie do zniesienia.

- Więc zgadzasz się pan?
- W zupełności.
- Przyjdę po pana wieczorem.

Mówiąc to, uściśnął rękę Armanda z taką siłą, że ten aż krzyknął.

— Puff over, panie Lavarede! — wołał jeszcze we drzwiach.—Teraz my śmiać się będziemy.

Gdy Lavarede opowiedział towarzyszkom swym projekt Allsmayne'a, obie panie zaprotestowały. Jakto! Jedzie szukać Roberta i chce jechać sam, bez nich? Na to nigdy nie pozwolą. Ciężarem mu nie będą, gdyż do niewygód w podróży są już przyzwyczajone. Niech wybiera: albo pojedą wszyscy razem, albo on nie pojedzie.

Armand musiał ustąpić. Poszedł do Allsmayne'a, aby zakomunikować mu kategoryczne żądanie swych towarzyszek. Sir Tobjasz, nie tylko nie sprzeciwił się, lecz wyraził radość swą z tego, że podróżować będzie w tak miłym towarzystwie i powtórzył, że wieczorem wstąpi po nich. Po wyjściu Francuza, Allsmayne zawołał do siebie Jamesa, opowiedział mu, że na prośbę Armanda, jedzie z nim do Nowej Zelandji, polecił mu pełnić tymczasowo obowiązki naczelnika policji, głównie zaś prosił go o opiekę nad lady Jenny.

— Biedna kobieta! Jestem o nią prawdziwie niespokojny,—mówił obłudnie.—Zdaje się, że te nikczemne figle Triplexa podziały na jej rozum. Pilnuj pan jej, jak dziecka.

James skłonił się, przyrzekł wykonać wszystko dokładnie i wyszedł, zostawiając swego zwierzchnika w przekonaniu, że podczas jego nieobecności wszystko będzie w porządku.

W nocy Allsmayne wyszedł z domu. Lavarede, Oretta

i Lozja, [po załatwieniu rachunków, czekali już na niego w przedsiönku hotelu. Razem pojechali do portu wojennego, wsiedli na pokład „Destroyez“ i około godziny drugiej nad ranem byli już na pełnym morzu. Pancernik minął cypl Jackson i popłynął przez Ocean Spokojny.

### VIII.

#### **Złote pole w górach Breamstone.**

W trzy dni później, w górę rzeki Scham, wpadającej do Oceanu Indyjskiego na zachodnim wybrzeżu Australji, płynęło lekkie czółno.

Wiosłowało ośmiu ludzi. Po opalonych, o energicznym wyrazie twarzach, po silnych, równych ruchach, łatwo można było poznać w nich żeglarzy. Wszyscy ubrani byli jednakowo w szerokie bluzy i spodnie, opuszczone w długie buty. Przy sterze siedział w płóciennym kasku człowiek, wyglądający na dowódcę.

— Zdaje się, że zbliżamy się do celu, kapitanie,—z szacunkiem zapytał jeden z wiosłarzy.

— Niedługo, — odpowiedział człowiek w kasku, podnosząc głowę. — O kilka mil ztąd rzeka skręca na południe, tam właśnie wysiadę.

Słowa te były wymówione czystym językiem angielskim, chociaż wprawne ucho mogło by poznać w nich akcent francuzki.

Łódź mknęła pomiędzy pustemi, porośłemi lasem, brzegami. Przezroczyste fale z łagodnym szmerem uderzały o brzegi łodzi. Dokoła panowała głęboka cisza, od czasu do czasu dawał się słyszeć donośny krzyk ptaka, lub kangur przebiegł po brzegu, dzwoniąc tylnymi nogami o skalisty grunt. I znowu cisza, smutna cisza puszczy australskiej przerywana cichym pluskiem wiosła.

Słońce doszło do zenitu i oblewało wioślarzy palącymi promieniami. Wielkie krople potu płynęły po ich twarzach. Rozpalone powietrze tamowało oddech.

— Do łądu, chłopcy!—wydał rozkaz człowiek, nazwany kapitanem, widząc zmęczenie wioślarzy. — Odpocznijemy trochę w cieniu.

Na ogorziałych twarzach błysnęło zadowolenie. Łódź skręciła do brzegu.

— Kapitanie!—zawołał jeden z wioślarzy.

— Co powiesz, Braddy?

— Patrz tam, kapitanie, tam, za zakrętem rzeki, widzę trzy strzały, o których mówiliśmy.

Wszyscy zwrócili się w tę stronę, którą wskazywał mówiący.

Rzeczywiście, za małym cyplem, rzeka skręcała w stronę południa. Za zakrętem widać było wzgórze o trzech skalistych szczytach, podobnych z kształtu do trójzęba.

— A co, kapitanie?—pytał dalej wioślarz.

— Masz rację, Braddy. Najwyżej dwie mile dziela nas od wzgórza. Do wiosła, chłopcy! Przyjemniej będzie odpoczywać, gdy staniemy już u celu.

Wioślarze wzięli się do roboty i łódź popłynęła, jak strzała, ku wzgórzom o trzech szczytach.

Wkrótce można było dobrze rozpoznać skaliste szczyty, których boki porysowane były w dziwaczne arabeski. Czy ich rąk dziełem były zdobiące szczyty rzeźby, tego powiedzieć nie umieli ani Europejczycy ani krajowcy. Może była to igraszka przyrody, a może ślady starożytnego, dawno zapomnianego kultu religijnego. W każdym razie skała, dzięki charakterystycznym kształtom, stanowiła wyborny drogowskaz, podróżni zatem mogli być pewni, że nie zabłądzili.

Z krzaków, okalających rzekę, wyszedł krajowiec tatuowany w deseń pokojowy. Spostrzegłszy łódź, złożył ręce około ust i wydał głośny okrzyk, chcąc zwrócić na siebie uwagę płynących.

— Jest i przewodnik, — rzekł Braddy.

— Zdaje się, że tak...

— Więc tu, kapitanie, rozstaniemy się. Pan pojedziesz dalej łądem, my zostaniemy i czekać na pana będziemy.

— Tak. Lecz ukryjcie dobrze łódź, i sami nie pokazujcie się, o ile można.

— All right!

Za chwilę łódź wpłynęła do małej zatoki i uderzyła o piaszczysty brzeg.

Krajowiec skłonił się. Był zupełnie nagi, opasany tylko w biodrach krótkim fartuszkciem. Włniste włosy ozdobione były zębami dzikich zwierząt, w rękę trzymał karabin. Pomimo brzydoty, zdawał się silnym i zręcznym.

— Mora-Mora wita kapitana Triplexa, — odezwał się po angielsku, głosem gardłowym.

— Kapitan Triplex wita Mora-Mora, — odpowiedział człowiek w kasku.

Kapitan i wioślarze wyskoczyli na ląd. Marynarze wzięli lekkie czółno na ramiona i zanieśli je w gęstwinę, rozpoczynając się o kilkanaście kroków od rzeki.

— Kapitan chce spocząć? — zapytał krajowiec.

— Tak.

— Nie rozwiniemy wstęgi drogi, dopóki upał nie spadnie. Pójdziemy, gdy słońce zajdzie aż do tego miejsca.

Wskazał palcem punkt, do którego miało zajść słońce.

Kapitan skinął głową na znak zgody.

— Dobrze. Mora-Mora zgasił ognisko życia młodego kangura. Mora-Mora zdjął skórę i oddał zdobywcy pieszczotom płomieni. Czy kapitan chce posilić się przed spoczynkiem?

— I ja, i ludzie moi.

Krajowiec uśmiechnął się, pokazując białe i ostre, jak u wilka, zęby. Zrzucił karabin na ramię i zniknął w gęstwinie leśnej.

Europejczyk pozostał sam i zamyślił się głęboko. Uderzyły go poetyczne zwroty przewodnika, zwykłe mowie ludów australskich. Krajowcy tamtejsi, pod względem fizycznym istne potwory, podobniejsze do małp, aniżeli do ludzi, dziwnym kaprysem natury, odznaczają się oryginalną poe



tecznością. Na ten charakter ich wpływa może smutek lasów, ponura groza pustyni skalistej...

Tymczasem powrócili wioślarze, za nimi wrócił także Mora-Mora. W jednej ręce trzymał zwój liści szerokich,— w drugiej stempel fuzji, na którym, jak na rożnie, tkwił świeżo upieczony kangur. Wioślarze powitali przybycie zapobiegliwego krajowca głośnemi okrzykami.

Po chwili wszyscy zasiedli w cieniu, wydobywali manierki podróżne i z apetytem zajadali smaczne mięso. Zaspokoiwszy głód, wyciągnęli się na trawie i natychmiast zasnęli, pomimo straszego upału.

Obudził ich powiew świeższego powietrza. Oślepiająca białość słońca przeszła w umiarkowany, złocisty odcień.

Mora-Mora trzymał za uzdeczki dwa konie.

— Już czas, kapitanie!—rzekł.

— Jestem gotów,—odparł kapitan, zrywając się na równe nogi.

Szeptem wydał kilka krótkich poleceń Braddy'emu i skoczył na siodło. Krajowiec poszedł za jego przykładem i ruszyli po wązkiej, zaledwie widocznej ścieżce, ginącej w gęstwinie. Za chwilę stracili z oczu rzekę i wioślarzy.

Jechali ciągle lasem; po upływie dwóch godzin wydostali się na obszerną równinę, na której gdzieniegdzie wznosiły się drzewa. Teraz już mogli jechać obok siebie i przyspieszyć kroku.

Z nadejściem nocy podróżni zatrzymali się w hotelu, jeżeli można było nazwać tak szopę z nieciosanych belek. Gospodarz powitał ich dość wyniośle.

— Aha! — zawołał, zakładając ręce na okrągłym brzuszku.—Z pewnością pan jedzie na złote pola. Czy zgadłem?

— Zgadłeś pan, — odparł niedbale kapitan.

— Śliczny zamiar!... Złota jest dużo...

— To mnie mało obchodzi. Chcę zobaczyć się z jedynym poszukiwaczem złota.

— Eh! złote pole niełatwo wypuszcza od siebie, kto tam przechodzi.

— Mnie wypuści. Nie potrzebuję złota.

— Ach, więc pan jesteś bogaty? — zapytał oberżysta, zdejmując czapkę z głowy.

— Myślę, że tu trudno o ludzi bogatych, kiedy pan, panie gospodarzu, tak ich szanujesz.

— A gdzie o bogaczy łatwiej? Powiedz pan, proszę.

— No, przecież tutaj, w krainie złota...

— Pan się myli. W krainach złota łatwiej o zawód, aniżeli o złoto.

— Czy być może?

— Niech pan wierzy staremu poszukiwaczowi. Byłbym dotąd nędzarzem, gdybym nie znalazł swego rodzaju kopalni.

— Cóż to za kopalnia?

— Ten hotel..

— Jakim sposobem?

— Rzecz prosta. Ci co przyjeżdżają, zostawiają u mnie część oszczędności, ci zaś, co wyjeżdżają, część zdobyczy. Oni tracą, ja zarabiam. Bo, prawdę mówiąc, kopalnie złota—to blaga! Korzystać z nich może tylko szynkarz i oberżysta.

— To przesada.

— Bynajmniej. Osądź pan sam. Każdy poszukiwacz wydobywa dziennie złota za sto franków.

— Ładna sumka!

— Tak, w zwyczajnych miastach. Lecz tutaj brak komunikacji, brak konkurencji, i dlatego panuje straszna drożyzna.

— Rozumiem. Więc kupcy wyzyskują sytuację.

— Wcale nie. To zwykły stosunek popytu i podaży. Potrzebujesz pan towaru—cena się podnosi, niepotrzebujesz pan—cena spada.

— Więc co?

— A no, jedno jajko kosztuje pięć franków, butelka wody—cztery, butelka zwykłego wina—dwadzieścia franków, kurczę—dwadzieścia, lub trzydzieści, piwo—dziesięć franków litr. Najzwyczajniejszy zatem obiad wyniesie około trzydziestu franków. A ubranie, a narzędzia? To znaczy, że nawet przy zarobku stu franków dziennie, robotnik narobi długów.

— Prawda.

— To jeszcze nie wszystko. Kupcy złota drą ze skóry poszukiwaczy. Znają dobrze ich położenie. Gdy tylko robotnik znajdzie dobre miejsce, zaraz zjawia się kupiec i proponuje mu ćwierć ceny. Z biedy robotnik przystaje, i wtedy kupiec robi swoje. Mówię panu, że przy kopalniach złota spotkasz się pan z ostatnią nędzą.

— Zgadzam się z panem, gospodarzu. W każdym jednak razie przygotuj nam pan wieczerzę. Tylko nie chciej pan obdrzeć nas ze skóry, jak tutejszych robotników.

Oberżysta roześmiał się głośno. Nakrył prędko stół, zawołał dwóch murzynów i wydał im jakieś polecenia.

— Przepraszam,—zwrócił się do kapitana. — Będzie pan musiał trochę poczekać. Żona poszła do bankiera. Pan rozumie, że nie trzymamy dużo pieniędzy w domu, bo robotnicy w rozpaczcy ceremonji robić nie będą.

— Kupcy ich obdzierają, oni kupców. To prawo równowagi sił.

Oberżysta podrapał się w głowę.

— O takim prawie nie słyszałem. Ale, kiedy pan tak mówi, to pewnie jest.

— A powiedz mi pan, czy zdarzają się poszukiwacze, którymby udało się zrobić majątek?

— Ma się rozumieć, że są. Z tysiąca jeden trafi na żyłkę obfitą. Jeżeli uda mu się ukryć to przed innymi, to ma być zapewniony. Ale, jeżeli towarzysze dowiedzą się, to napewno spróbuje ich noża. Każdy przecie rad skorzystać od drugiego...

Przewodnik dotknął ręką ramienia kapitana.

— Mora-Mora i jego bracia gardzą złotem i kamyczkami,—rzekł. — Kto waleczny, ten z karabinem i bumerangiem potrafi wyżywić siebie i żonę. Biali gardzą niby złotem, jak sami mówią, lecz za złoto gotowi jeden drugiego zarznąć! Dlaczegoż więc nas nazywają dzikimi?

Kapitan nie znalazł na razie odpowiedzi. Po chwili zwrócił się do oberżysty.

— Panie gospodarzu! Czy znasz pan niejakiego Toma Sammy?

— Tom Sammy? Ten olbrzym? Zawsze milczący i ponury? Znam, znam.

— Ten sam. Co to za człowiek?

— To dziwak. Wszyscy go się boją, nikt z nim nie żyje. Zbudował sobie domek zupełnie na osobności, na skałe, między dwoma wąwozami i mieszka tam, jak w fortecy. Pracuje samotnie, a wieczorem wchodzi na swoją skałę, i stoi tam całymi godzinami, patrząc na zachód. Mówią, że czasami stoi tak przez noc całą. Pewnego razu, podczas pełni, jeden z robotników podpatrywał go i opowiadał później, że po północy Tom przez całą godzinę machał rękoma, jakby wzywając kogo. Zresztą nie robi nikomu krzywdy, ale uważają go trochę za warjata.

Podróżny nie zdążył odpowiedzieć, gdyż służący murzyn wniósł właśnie bardzo apetycznie wyglądającą potrawkę z opposuma.

Wziął się natychmiast do jedzenia, zapraszając także przewodnika.

Zaspokoiwszy głód, otulił się kołdrą, wyjętą z juków i położył się na ławce.

Gospodarza ominęła sposobność pogawędzenia. Chciał już zwrócić się do przewodnika, lecz i ten poszedł za przykładem kapitana.

Musiał więc wyrzec się przyjemności rozmowy, wynagradzając to sobie monologiem, prowadzonym głośno podczas zamykania drzwi i okien. Zmęczony wreszcie udał się także na spoczynek.

Nazajutrz podróżni pożegnali opasłego filozofa, wsiedli na konie i tęgim klusem ruszyli dalej na wschód. W południe wypoczęli w małym lasku, nad napół wyschłym strumieniem, nocowali zaś w kamienistej dolinie, gdyż nigdzie nie było domu mieszkalnego.

Noc była tak ciepła, że nocleg pod odkrytem niebem nie sprawił im żadnej przykrości. Nazajutrz jednak było gorzej.

Zielona równina kończyła się, zaczynała się pagórkowata, piaszczysta miejscowość. Był to początek Sandy, wielkiej pustyni australskiej.

Na szczęście instynkt Mora-Mory, prawdziwy instynkt dzikiego, dopomógł im do znalezienia niewielkiej groty, w której mogli ukryć się przed palącym słońcem południowem. Gdy upał spadł, ruszyli dalej.

Całe dwa dni jeszcze jechali przez suchą i spaloną pustynię. Na trzeci dzień rano, na horyzoncie ukazała się jakaś niewyraźna sylwetka.

— Góry Breamstone, — rzekł Mora-Mora.

-- To tam jest Tom Sammy?

— Tak.

Kapitan ruszył koniem, lecz krajowiec wstrzymał konia za uzdeczkę.

— Jeżeli pojedziesz prędzej, sir, dzisiaj nie dojedziemy.

— Dlaczego? Tu niebędzie więcej, jak dziesięć mil.

— Powiedz, sir, drugie tyle i nie omylisz się. Kto przywykł do równin, ten nie potrafi poznać odległości.

Uwaga krajowca była słuszna. Słońce dotykało już horyzontu, gdy podróżni wjeżdżali w wąwóz, przecinający strome góry Breamstone.

Dziki krajobraz wywarł silne wrażenie na europejczyku.

Zwietrzałe skały, szczyty poprzedzielane głębokimi dolinami, piętrzyły się jedne na drugich. Wszystko spowite było mgłą niebieskawą. Dziwny zapach zwrócił uwagę Triplexa.

— Do licha! To siarkowodor! — zawołał.

Dziki nie zrozumiał, rzecz prosta, nazwy naukowej, lecz skrzywienie się kapitana było bardzo wymowne.

— Czuć siarkę, — rzekł krajowiec, — tu właśnie ją wydobywają. Są tu źródła, wyrzucające błoto, zmieszane z siarką. O, tu właśnie zaraz. I złoto tu najłatwiej znaleźć.

Podczas tej rozmowy, wjechali w dolinę szerszą od innych. Wszędzie wznosiły się pagórki, dymiące niebieskawymi płomykami. Pochyłości pagórków były koloru siarki. Były to wulkany siarkowe.

Z początku kapitan nie widział nikogo, gdy jednak wpatrzył się lepiej, dostrzegł postacie ludzkie, nachylone nad żółtymi falami rzeki. Jedni przepłukiwali piasek i błoto, po-

szukując bryłek złota, drudzy kruszyli oskardami skały kwarcowe.

Wszędzie były ślady ognia podziemnego.

Tu i owdzie wznosiły się olbrzymie skały bazaltowe, oddzielone wąwozami od stromych boków gór. Na dnie wąwozów szumiały mętne potoki.

Grunt drżał pod nogami, jak ściany kotła parowego. Ze wszystkich otworów wydobywał się gaz o przenikliwym zapachu, drażniący nos, gardło i oczy.

Mora-Mora zatrzymał się przed jednym z poszukiwaczy.

— Gdzie znajduje się dom Toma Sammy.

Poszukiwacz podniósł głowę i spojrzał podejrziwie na przybyszów.

— Co komu z tego przyjdzie? — odparł gniewnie. On nikogo nie przyjmuje.

— Nie mówię bynajmniej, że pan mój pragnie go odwiedzić. Może chce tylko popatrzeć zblizka na jego dom.

— To może dostać za swoją ciekawość kulą w łeb. Ale to nic nie szkodzi, będziemy mieli zabawę... Idźcie z biegiem strumienia, przejdziecie milę i dojdziecie do miejsca, gdzie schodzą się źródła siarczane, tak, że para zasłania zupełnie grunt. Tam na skale stoi dom, w którym Tom mieszka.

Robotnik wziął się znowu do roboty, nie zwracając uwagi na podróznich.

Otrzymane wskazówki wystarczyły im. Pojechali z brzegiem rzeki, od której załatywał zapach siarkowodoru. Od czasu do czasu spotykali kopaczy, którzy wrogo spoglądali na przybyszów. Patrząc na nich, przypominało się zdanie filozofa indyjskiego: „Kogo opanuje żądza złota, ten staje się złoczyńcą.“

Kapitan zrozumiał teraz, dlaczego tak często w kopalniach zdarzają się zabójstwa. Z twarzy tych ludzi znać było, że są to wyrzutki społeczeństwa; w oczach ich świeciły błyski rozpacz. Gdy otwierali usta, zdawało się, że chcą kąsać.

Podróźni jechali coraz dalej. Dolina rozszerzała się,

wulkany siarki stawały się coraz częstsze, duszące gazy coraz gęściejsze.

Spostrzegli wreszcie to, czego szukali. O sto kroków przed nimi sterczał olbrzymi głaz, do wierzchołka którego tuliła się mała chata. Na skraju skały stał olbrzymiego wzrostu człowiek, zwrócony twarzą na zachód. Wyglądał, jak posąg oczekiwania, wykuty z jednej sztuki wraz ze skałą.

Wyziwy siarczane coraz gęstszą mgłą otaczały podróżnych, drapiąc w gardle i wyciskając łzy z oczu. Konie podnosiły łby do góru, czując instynktownie, że tam w górce powietrze czyściejsze i lepsze.

## IX.

### *Chata Toma Sammy.*

Nareszcie olbrzym poruszył się. Zdaje się, że zauważył jeźdźców.

— Patrzy na nas,—odezwał się cicho Mora-Mora.

Przewodnik nie mylił się. Olbrzym patrzył z podziwem na śmiałków, którzy odważyli się zbliżyć do niego. Oberżysta nie przesadził, opisując Toma Sammy. Wielu już poszukiwaczy nałożyło głowę za swą ciekawość.

— Czyś ty Tom Sammy?—zawołał głośno korsarz.

— A ty kto jesteś? — zagrzmiął z góry w odpowiedzi ochryply głos.

— Jestem ten, na kogo czekasz.

Olbrzym opuścił trzymany w ręku karabin, lecz nie dowierzał jeszcze.

— Potrzebuję na to dowodu.

— Rzeka płynie jeszcze dawnem korytem, lecz złoty arlekin wyszedł z wody, aby osuszyć łzy!

Tom wypuścił z rąk karabin, który z brzękiem upadł

na kamienie. Wyciągnął ręce naprzód, na twarzy jego odbiło się głębokie wzruszenie.

— Idę, idę! — zawołał.

Podbiegł do krawędzi skały i zaczął szybko zsuwać się po wąskiej, spadzistej ścieżce. Widocznie znał dobrze drogę, inaczej łatwo by skrócić mógł kark na śliskiej pochyłości. Za chwilę był już w wąwozie. Kapitan wyciągnął doń rękę, lecz olbrzym cofnął się.

— Jeszcze wcześniej, — odezwał się głucho. — Trzeba najprzód naprawić zło. Ale, proszę bardzo, — dodał głosem błagalnym, — racz pan wstąpić do chaty mojej, która oddawna już czeka na pana.

Bezwątpienia kapitan rozumiał okropne myśli olbrzyma, gdyż słowa jego bynajmniej nie dziwiły go.

— A co zrobimy z końmi? — zapytał zsiadając z konia.

— Przewodnik pański odprowadzi je do Roboama Smitha, tam w tym domu. Powiesz Smithowi, — dodał, zwracając się do Mora-Mory, — że to są konie Toma Sammy. To wystarczy. Potem przyjdź do mnie. Jesteś sługą kapitana, a mój dom cały jest do jego rozporządzenia.

— Mora-Mora przyjmuje twą gościnność, — odparł z dumą krajowiec, — lecz Mora-Mora jest wodzem i przyjacielem nie sługą kapitana.

Bądź-że sobie przyjacielem, — rzekł Tom z cieniem pogardy, zwykłym w obejściu europejczyków z krajowcami, — w każdym razie zaproszenie powtarzam.

Mora-Mora nie zauważył, lub też nie chciał zauważyć szyderstwa. Wziął spokojnie uzdeczki i poprowadził konie w wskazanym kierunku.

Tom został sam na sam z kapitanem.

Na twarzy jego malowała się radość, z pewnem jednak zdziwieniem.

— Dziwna rzecz jednak, nie poznaję go, — wymówił cicho.

Korsarz uśmiechnął się.

— Nie próbuj zrozumieć, z czasem dowiesz się o wszystkim. Jestem ten, na kogo czekasz, lecz nie ten, o kim my-



ślisz. Bądź posłuszny i nie żądaj wyjaśnień. Jestem ten i nie ten, lecz zło będzie naprawione.

Olbrzym skłonił się nisko.

— Czy raczy pan wejść do mojej chaty?—wymówił pokornie.

— Dobrze, Tom.

Poszukiwacz rzucił jeszcze raz spojrzenie za przewodnikiem i skierował się ku skale bazaltowej, na której stała chatka. Kapitan szedł za nim. Gdy zaczęli wdrapywać się na górę po spadzistej ścieżce, olbrzym podtrzymywał troskliwie kapitana, chroniąc go od niebezpieczeństwa upadku.

Nakoniec dostał się na szczyt. Tu wszędzie widoczne były ślady działania wulkanów. Na każdym kroku szczeliny i szpary. Cała powierzchnia skały miała charakterystyczny wygląd lawy, zastygłej na powietrzu.

Tom podszedł do drzwi chaty i szeroko otworzył je, zapraszając kapitana do wejścia.

Korsarz oglądał się z ciekawością. Umeblowanie było bardzo skromne, lecz czysto umyte ściany, ubita gładko podłoga z ziemi, błyszczące naczynia i broń, wszystko to dowodziło, że Tom był zawsze gotów do przyjęcia oczekiwanego gościa.

— Zapewne pan głodny, — mówił olbrzym, podsuwając gościowi ławkę.—Upolowałem wczoraj kazuara i parę królików. Niech pan raczy posiedzieć, ja tymczasem przygotuję obiad. Znajduje się pan właśnie nad skrytką, w której spoczywają dwa worki piasku złotego. Niech je pan weźmie, jeżeli panu zbraknie środków do zwyciężenia tego, który zrobił mnie zabójcą.

Mówiąc to, wyjął z wielkiej skrzyni zabite sztuki, wyniósł je na dwór i zaczął oprawiać. Wkrótce powrócił Mora-Mora. Nie mówiąc ani słowa, wziął się do pomocy. We dwóch skończyli prędko robotę, pozostało tylko upiec dziczynę.

Noc już zapadła. Świeca, osadzona w butelce, słabo oświecała wnętrze chaty. Na dworze pod płonącym ogniem na stemplu od karabinu piekł się kazuar. Kapitan, któremu sprzykrzyło się siedzieć samotnie, wyszedł z chaty i zamy-

ślony spoglądał w ciemną przestrzeń. Nagle uczuł drżenie gruntu pod nogami.

— A to co?—zapytał.

— To wulkany siarkowe,—odparł obojętnie Tom.—Zdarsza się to często, ale to głupstwo. Wtedy na dole zbierają się chmury dymu, lecz tutaj nie dochodzą. — W roku [przeszłym] przyjeżdżali tu jacyś uczeni. Rozprawiali o czymś, ale tak mądrze, że niewiele zrozumiałem. Mówili coś, że cała ta dolina—jest to krater, wypełniony lawą, i skorupa lawy drży ciągle. To niby znaczy, że mieszkam na pokrywie kotła parowego. Aha! Siarka się pali!

Korsarz spojrział i zdumiał. Na dole ze wszystkich szczelin wychylała się czerwono-zielony płomień, oświetlając trupiem światłem skały. Płomień obejmował już szeroką przestrzeń. Głuchy huk odbywał się pod ziemią, bryła bazaltu drżała. Obraz mimowoli przywodził na myśl widok piekła.

Zadumę, kapitana przerwał głos Toma, oznajmiający, że pieczone już gotowe.

— Niech się sobie pali, a my zjemy kolację, — mówił spokojnie.

Kapitan i przewodnik, wygłodzeni przez dzień cały, nie czekali na powtórzenie zaprosin.

Pieczeń smakowała im bardzo, po zjedzeniu uczeni potrzebę spoczynku. Gospodarz rozciągnął rogoże na kółkach, wbitych w ziemię i goście wkrótce zasnęli.

Tom uprzątnął resztki wieczerzy i owinąwszy się w kołdrę, położył się na ziemi.

Spali niespokojnie. Męczyła ich straszna jakaś zmara. Zdawało im się przez sen, że postania ich bujają się, jak hamaki okrętowe, że słyszą gwar bitwy, wystrzały armatnie i huk broni. Z twarzy ich pot spływał strumieniem, w pierśiach brakło powietrza.

Obudzili się wszyscy prawie razem i spojrzeli dokoła z przerażeniem.

Blade światło zaglądało przez okna do wnętrza chaty, przepełnionej mgłą niebieskawą, która drapała w gardle, szczypała w oczy i sprawiała kaszel.

— Co to jest?— wykrztusił kapitan.

— To wulkany, — odpowiedział spokojnie olbrzym, — Ale to pierwszy raz tak się rozkopciły. Zwykle dym z nich nie dochodzi do szczytu...

Zaledwie słowa te wymówił, huk straszny rozległ się po całej okolicy, skała zadrżała, jak drzewo pod uderzeniem wichru, we mgle krzyżowały się blade ognie.

Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi i wybiegli na dwór. Obejrawszy się wokoło, australczyk upadł na ziemię i jęczał, zdjęty strachem niewymownym.

— To duchy ognia wy dostały się na swobodę!

Europejczycy milczeli.

Skałę, na której się znajdowali, oddzielały od sąsiednich szczytów ciasne wąwozy, któremi teraz płynęły potoki lawy.

— To wybuch wulkanu! — wyrzekł korsarz.

Nie mylił się. Więzione przez długi czas siły podziemne rozbiły nareszcie przykrywającą je skorupę i lawa ognistym morzem rozlała się po całej dolinie. Nad morzem temu i owdzie unosiły się chwiejące się języki niebieskawego płomienia siarki.]

— Otoczeni jesteśmy ogniem, — rzekł Tom.

Wszyscy trzej drgnęli i, nie odzywając się, patrzeli na straszny obraz, roztaczający się przed ich oczami. Nie było żadnej wątpliwości. Ogniste języki ze wszystkich stron lizały strome boki skały bazaltowej. Był to sen na jawie.

Znaleźli się na pustej wyspie, wśród morza lawy płynącej. O ileż lepsze położenie rozbitka na wyspie wśród oceanu, gdzie drzewa dają mu owoce, morze—ostrzygi i ślimaki, gdzie ptaki przyjemniają śpiewem samotność.

Tu — goła tylko skała. Dokoła morze ognia. Żadnej iskierki nadziei, jakiegokolwiek pomocy. Robotnicy rozbiegli się, ich ubogie chatki zapłonęły, jak pęczki słomy. Nic— oprócz rozpaczy, ponurej, beznadziejnej rozpaczy! Mogli liczyć tylko na siebie samych. A cóż mogą poradzić trzy istoty ludzkie wobec wściekłego żywiołu?

Każdy z nich inaczej się zachowywał. Mora-Mora, siedząc na ziemi, śpiewał monotonną pieśń pogrzebową plemienia.

Kapitan stał, zwrócony ku wschodowi. Wargi jego poruszały się wolno. Zdawało się, że przesyła komuś daleko ostatnie pożegnanie. Tom z wyrazem głębokiego współczucia patrzył na swego nowego władcę. Z każdą chwilą milczenie stawało się cięższem. Tom przemówił pierwszy.

— Panie,—rzekł do kapitana,—mamy żywność na cztery dni. Zjedzmy najprzód śniadanie, potem pomyślimy, co zrobić.

Brzypomnienie posiłku wyrwało gości Toma z zadumy. Trzeba było pamiętać o jedzeniu, aby nie tracić sił do przyszłej walki. Przytem wybuch ucichł, wiatr rozpędzał dym siarki, otaczający szczyt skały, mogli już oddychać.

Tom przygotował śniadanie, a gdy zaspokoili żołądki, jaśniej patrzyli na położenie.

— Musimy się ztąd wydostać,—rzekł korsarz.

— Tak, trzeba, — odparł Tom, — i, zdaje mi się, znalazłem sposób.

Kapitan i Mora-Mora zerwali się z miejsca.

— Jaki sposób? — zawołali jednocześnie.

— Sposób bardzo ryzykowny, ale udać się może.

— Mów! — wołał korsarz.

— To drzewo tam!

Olbrzym wskazał ręką stuletnie drzewo kauczukowe, rosnące na skale, z drugiej strony rzeki ognistej.

— To drzewo?—ze zdziwieniem pytał korsarz.

— Tak. Trzeba je ściąć w ten sposób, aby wierzchołkiem upadło na naszą skałę. Będziemy mieli wtedy most, po którym przejdziemy na tamtą stronę.

— Ale kto drzewo zetnie?

— Ja. Spróbuję przedostać się na drugą stronę.

— Jakim sposobem?

— Przy pomocy sznura, z hakiem żelaznym na końcu. Jeden koniec przywiążę do ośłamu naszej skały, a drugi przerzucę tak, aby hak zaczepił się o drzewo. Wezmę z sobą siekiere i po sznurze dostanę się na drugą stronę.

— Ależ to szaleństwo!—zawołał korsarz.

— Zrobię to. Najprzód—jestem dość silny, a powtóre—

nie jest to rzecz trudna. Nie raz już w ten sposób dostawałem się na skały. Trzeba tylko być przyzwyczajonym.

Lecz nowy, gwałtowniejszy wybuch przeszkodził śmiałemu poszukiwaczowi w wykonaniu zamiaru. Do samego wieczora wstrząśnienia powtarzały się jedno za drugim bez przerwy, i niejednokrotnie rozbitkom groziło uduszenie dymem siarki, dochodzącym do szczytu skały.

Nadszedł wieczór. Pokładli się spać, odkładając wykonanie planu na następny dzień. Zaczęli już oswajać się z rozpaczliwym położeniem. Wstrząśnienia ziemi nie przeszkadzały im spać, wstali więc nazajutrz zdrowi, ze świeżymi siłami. Nadzieja znów zbudziła się w ich sercach.

Słońce wyjrzało z za chmur, wulkan ucichł.

Nadszedł czas do działania.

Podeszli wszyscy do skraju skały. Tom przywiązał koniec sznura do głazu, sterczącego naprost drzewa, zakręcił nad głową drugi koniec, zaopatrzony w hak żelazny i zarzucił na drzewo.

Sznur rozwinął się, hak z brzękiem uderzył o pień drzewa, lecz nie zaczął się. Nie zraziło to olbrzyma. Trzy razy powtarzał próbę bezskutecznie, za czwartym razem hak zaczął się o dość grubą gałąź.

Wtedy Tom zaczął ciągnąć sznur, naprzód lekko, później coraz mocniej, lecz hak trzymał się. Łatwiejsza część zadania była wykonana, pozostawała daleko trudniejsza.

Kapitan niechciał pozwolić na próbę, gdyż wyciągnięty w przestrzeni sznur zdawał się ciekim, jak pajęczyna. Trudno było przypuszczać, aby mógł utrzymać ciężar olbrzyma. Lecz Tom rozśmiał się tylko na uwagę kapitana. Wiedział, że sznur wytrzyma; nie pierwszy to raz już posługiwał się nim.

Nie mówiąc już słowa, uchwycił się obydwoma rękami za sznur i zawisł nad przepaścią. Przebierając powoli rękami, oddalał się coraz bardziej od skały. Był to straszny widok. Na cienkim sznurze człowiek wisiał nad ognistą przepaścią, która wyciągała już do swej zdobyczy ogniste języki.

Doszedł już do środka. Sznur, wyciągnięty jak struna, kołysał się lekko. Nagle z piersi Toma wyrwał się okrzyk:

— Ciągnijcie prędzej, hak się odpina! — wołał rozpaczliwie.

Zanim kapitan i krajowiec zrozumieli, o co idzie, usłyszeli trzask i zobaczyli, jak gałąź, nie mogąc utrzymać zbyt wielkiego ciężaru, odłamała się od pnia i Sammy leciał już ku prostopadłej ścianie skały.

Nie stracił jednak przytomności. Lecąc, odwrócił się twarzą ku skale, wyciągnął nogi przed siebie i uderzył niemi o ścianę. Uniknął wprawdzie rozbicia, lecz zawisł o kilka metrów nad kipiącą lawą, w której zanurzył się koniec sznura z hakiem.

— Ciągnijcie! Ciągnijcie prędzej! — wołał Tom. — Spieszcicie, bo sznur tli się już.

Rzeczywiście sznur zapalił się od końca i płomień zbliżał się do nóg Toma.

Jednym skokiem Mora-Mora był już przy głazie, do którego przywiązany był sznur. Korsarz poszedł za jego przykładem i wspólnymi siłami zaczęli ciągnąć ku sobie sznur wraz z wiszącym Tomem. Nie była to rzecz łatwa, gdyż olbrzym był bardzo ciężki. Posuwał się jednak ku górze, zachęcając towarzyszy głośnym wołaniem:

— Ciągnijcie, ciągnijcie! Ogień liże mi już stopy. Prędzej, prędzej!

Nareszcie głowa Toma ukazała się po nad brzegiem skały. Uchwycił się rękoma za wystający głaz i, przy pomocy towarzyszy wy dostał się na powierzchnię skały.

— Dziękuję wam — mówił, oddychając ciężko. — Pomoc wasza przyniosła chociaż ten pożytek, że mogę teraz umrzeć razem z wami.

Chcieli zaprzeczyć, lecz on mówił dalej:

— Osądźcie sami. Większa część sznura spalona. Żywności starczy nam zaledwie na dwa dni, jeżeli jej oszczędzać będziemy. Potem...

— Może kto podąży nam z pomocą...

Poszukiwacz złota wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Dopóki wulkan działa, nikt nie ośmieli się zbliżyć tu, a tymczasem przejdzie kilka tygodni, a, być może, nawet parę miesięcy. Przez ten czas zdążymy umrzeć z głó-

du dwadzieścia razy. Chyba,—dodał,—że to przeklęte drzewo samo upadnie wierzchołkiem na naszą skałę.

Tom miał słuszość. Ostatnia nadzieja ocalenia znikła wraz ze stratą spalonego sznura.

Dzień przeszedł w ponurem milczeniu. Tylko zwiększający się lub słabnący wybuch odwracał chwilami umysł nieszczęśliwych od myśli o niechybnej śmierci.

Tak przeszła noc i nadszedł ranek. Położenie stawało się coraz smutniejsze. Zapasy żywności podzielili na drobniutkie porcje, aby starczyły na dłużej.

Przeszło jeszcze dwa dni. Żywności już nie było. Zjedli wszystko do najmniejszej okruszynki, ogryzione kości potłukli, wyssali z nich szpik. Teraz już nic im nie pozostało.

Wąwozem wciąż płynął ognisty potok, z krateru wulkanu wybuchy następowały jeden po drugim, po drugiej stronie wąwozu wciąż uśmiechało się do nich zielone drzewo.

Już po raz trzeci weszło słońce i zaszło, odkąd zjedli ostatnią okruszynkę żywności. Nawet zapas wody, która podtrzymywała ich dotychczas, wyczerpywał się. Nogi odmawiały posłuszeństwa, zdawało się im, że z każdą chwilą stają się ciężsi. Czuli tylko chęć położyć się i leżeć bez ruchu. To początek snu, a sen początek śmierci.

Przeszła jeszcze jedna doba, wypili ostatnią kroplę wody.

Dziewięć dni już znajdowali się w strasznym więzieniu. Stracili już zupełnie świadomość swego położenia. Pozostało im jedno tylko uczucie—uczucie pragnienia.

Najsilniejszy z nich, Tom Sammy, podnosi się jeszcze od czasu do czasu i chwiejnym krokiem obchodzi skałę, badając uważnie horyzont. Nie widać nic, oprócz ognistej pułstyni. Nie widać ani człowieka, ani zwierza, ani ptaka, jakby klątwa Boga spoczęła nad tem miejscem.

Poszukiwacz, opanowany jakimś bolącym, niezrozumiałym dla prostego umysłu, smutkiem, zwraca się do towarzyszków, pochyla się nad nimi, chcąc obudzić w nich choć iskierkę woli.

— Trzeba naradzić się,—powtarza uporczywie. — Musimy znaleźć sposób wydobycia się z tego przekłętego miejsca.

Uciec ztąd, wydobyć się z tego ognistego piekła—była to jedyna myśl w głowie olbrzyma. Nie chce umrzeć. Śmierci się nie boi, lecz musi żyć, aby dopiąć celu, któremu poświęcił życie.

Powtarza to szeptem kapitanowi, nachylając się do ucha jego, lecz korsarz nie porusza się.

Tom nie daje za wygraną, mówi ciągle...

Maddy, Allsmayne, i inne jeszcze imiona powtarza bez przerwy.

Kapitan słabym ruchem odpędza go od siebie.

— Daj mi pokój, pozwól mi zasnąć, zapomnieć o pragnieniu...

Nadeszła noc. Po co iść do chaty? Zostają na dworze, leżą pod gołym niebem.

Gwiazdy już zapłonęły na niebie i niebieskawem światłem oblały twarze trzech męczenników. Śpią, lecz przez sen nawet jęczą boleśnie. Chwilami jeden z nich otwiera oczy, lecz zamyka je natychmiast. Oczy boją, jak i całe ciało. Nawet miękkiego światła gwiazd znieść nie mogą.

Co to? Gwiazdy pomknęły w szalony tan. Czy to gwiazdy? Nie, to dziewice w białych strojach. Trzymają pochodnie w rękach i wirują po ciemnym niebie w szalonym korowodzie.

To halucynacja. Opatrzność zsyła je nieszcześnie, odrywając ich od rzeczywistości, zanim śmierć uwolni ich od cierpień.

Zorza zarumieniła szczyty gór, niebo na wschodzie staje się coraz jaśniejsze — oni leżą bez sił, bez ruchu. Budzą się, otwierają oczy, lecz wzrok pozostaje nieprzytomnym.

Mora-Mora unosi głowę, siada na ziemi i zaczyna cichym głosem nucić śpiew plemienia:

„Wojownicy wychodzą z chat i, jak rzeka, rozlewają się po wsi, dźwiękiem broni budząc leniwych. Dziś wielkie święto. To Wagarong, wódz potężny i silny, wydaje córkę swą, piękną Ru-ha za dzielnego wojownika.

Nad ogniem pieką się kangury. Tłuszcz z nich kapie



i syczy na rozżarzonych węglach. Obok pieką się barany i ptaki. Co tu jedzenia! Na widok przysmaków płoną oczy wojowników...

Idą młode dziewczyny, ściągając na siebie spojrzenia wojowników. Idą, śpiewając pieśń na cześć nowozaślubionych, dzwicząc kościanami we włosach ozdobami. I na widok dziewcząt płoną oczy wojowników.

Oto piękna Ru-ha! Jakaż ona piękna! Ciało jej, ciemno czerwone, lśni od tłuszczu; wargi jej grube na dwa palce, nos spłaszczony uroczo... A chód jej! Żadna kaczką nie stąpa z takim wdziękiem, jak piękna Ru-ha... Na widok narzeczonej—płoną oczy wojownika...

Grzmią bębni, dzwiczą bumerangi... Nadszedł czas uczyć... Zdejmujcie mięso, ustawiajcie naczynia, wojownicy jeść i pić będą na chwałę młodych..."

Kapitan uniósł głowę i słuchał. Oczy jego błyszczały, jak ślepią głodnego wilka. Gdy śpiewak zamilkł, korsarz cichym, lecz rozdzierającym głosem wymówił:

— Jeść... pić... choć kroplę wody!...

Obejrzał się w około i uśmiech zajaśniał na wynędzniałej twarzy.

— Woda, woda!... Cały potok płynie ze skały...

Zaczął połykać powietrze.

— Jaka czysta, jaka świeża!—szeptał.

Złożył znów głowę na ziemi i uciął. Halucynacja jeszcze raz uspokoiła cierpienie.

Spał, czy umarł już?

Tom Sammy mimowolnie zadał sobie takie pytanie. On jeden tylko zachował trochę przytomności.

Zerwał się nagle.

— Więc dziś wieczorem wszystko się skończy, — wołał z rozpaczą, podnosząc ku niebu zaciśnięte pięście.—Czy nikt nie przyjdzie nam z pomocą? Czy mamy zdechnąć tu jak psy?...

Nikt nie odpowiadał. Tom wzruszył ramionami, jakby wyrzucając sobie niepotrzebne uniesienie. Położył się znów na ziemi.

Słońce doszło już do zenitu i paliło trzech rozbitków,

którzy nie czuli już nawet skwaru. Zimno objęło ich wnętrzności. Temperatura ciała zmniejszała się, serca biły coraz słabiej. Wkrótce ucichną zupełnie.

W tem Tom drgnął i uniósł się na łokcia. Jakiś dźwięk niezwykle zwrócił jego uwagę. Słuchał bacznie.

— Konie, — wyszeptał.

Dźwięk nie powtórzył się więcej.

— To z głodu... zdawało mi się.

Upadł bezsilnie na ziemię. Po błysku nadziei—głębsza rozpacz.

— Zwierzę! — mruczał. — Zginiesz tu i tam na wieki. Zginiesz sam, a z tobą zginie ten, kto przeszkodził ci do wykonania zbrodni. Nawet sam zamiar zbrodni prześladowuje człowieka do grobu...

Ciało Toma zaczęło drżeć konwulsyjnie.

— Zimno mi!... A słońce tak piecze!... Czuję w sercu zimno grobowe... Rozłączyłem matkę z dzieckiem!... Chciałem je powrócić... Kto to? To lord Green...

Wyciągnął ręce i z przerażeniem patrzył w pustą przestrzeń.

— Jam winien, mylordzie,—szeptał dalej,—wódka, karty, próżne kieszenie... Prześladowano mnie... A on obiecał mi dużo, dużo gwinei... Poszedłem na fermę i porwałem małą Maddy... Ale nie utopiłem jej, jak kazał... Żyje... Lecz matka nie wie o tem i poślubiła mordercę dziecka i męża... Przebacz mi, milordzie! Jam zbrodniarz! Mieszkałem tu i zbierałem złoto... Ach, to złoto! Nienawidzę je, lecz kapitan kazał... Ach, ten ogień!... Trzymaj mnie, pali... Milordzie, przebacz!

Załamywał ręce i drżał, jak w febrze.

— Co to? Czy znowu złudzenie? Nie, to konie!

Wyprostował się.

— Hura, towarzysze, wstawajcie! Nie omyliłem się! Naprawdę słyhać daleko konie. To ocalenie!

Towarzysze milczeli. Nie mogli nic już zrozumieć.

Chwiejąc się, Tom skierował się ku chacie. Czuł zawrót w głowie, w skroniach bicie, jak uderzenie młotka. Zdawało mu się, że w głowie jego mózg chlebocze się, jak

wyschłe ziarnko w skorupie orzecha. Lecz nadzieja ocale-  
nia dodawała mu sił. Z nadludzkim wysiłkiem dostał się do  
chaty, wziął karabin, wyszukał nabojów i wyszedł na dwór.  
Zaledwie mógł udźwignąć karabin. Podeszedł do samego skra-  
ju skały i usiadł.

Odpocząwszy chwilę, nabił karabin i wystrzelił. W od-  
powiedzi usłyszał daleki strzał. Odległość musiała być wiel-  
ką. Zbawcy mogli zabłądzić wśród skał. Dobywając reszty  
sił, Tom strzelał co kilka minut. Strzały odpowiadających  
stawały się coraz bliższe.

Przeszło już kilka minut, które Tomowi zdawały się  
wiekiem. Ostatnie wysiłki wyczerpały go zupełnie. Naresz-  
cie dały się słyszeć głosy ludzkie i stąpanie koni.

Rozpaczliwym wysiłkiem Tom podniósł się, wyciągnął  
drżące ręce w kierunku drzewa i zawołał głosem nieludzkim:

— Zetnijcie drzewo i zróbcie most...

Upadł na ziemię bez przytomności.

.....

Korsarz, Mora-Mora i Tom ocknęli się pod namiotem.  
Leżąc na rogożach, przez otwór namiotu widzieli brzeg wą-  
wozu, drzewo zrąbane i leżące nakształt mostu, i na skale  
bazaltowej chatę Toma.

— Czyżbyśmy przeszli przez ognistą rzekę?—pytali je-  
den drugiego.

— Tak, — odparł głos nieznajomy.

Drgnęli mimowolnie i spojrzeli w kierunku głosu. W ro-  
gu namiotu siedział człowiek w kasku płóciennym, wyglądają-  
jący na wojskowego.

— Tak, —powtórzył.— Ścięliśmy drzewo i dostaliśmy się  
na waszą skałę. Jeczcie godzina i zginęlibyście z głodu.  
Teraz już macie się lepiej i możecie pomówić z władzą.

Wyszedł z namiotu i po chwili powrócił w towarzystwie  
wysokiego mężczyzny z długą brodą, jasnym zarostem.

— Może się sir przekonać, że ci ludzie odzyskali już  
przytomność.

Nieznajomy popatrzał na wszystkich i podeszedł najprzód  
do Toma.

— Tom Sammy? — zapytał.

— Tak jest,—odparł z ufnością poszukiwacz.

Nieznajomy kiwnął głową i wskazał na australczyka.

— A to przewodnik Mora-Mora?

— Tak, lecz zkąd pan to wiesz?

Okrutny uśmiech przemknął po twarzy nieznajomego.

— Nie mogliście panowie przedstawić się mnie, musiałem sam to zrobić. Teraz już wiem, że trzeci towarzysz wasz, to korsarz Triplex.

Z ust ocalonych wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Więc nie omyliłem się, — rzekł nieznajomy, podnosząc do ust świstawkę. W tej chwili do namiotu weszło kilku ludzi, którzy natychmiast obścapiли kapitana i jego przyjaciół.

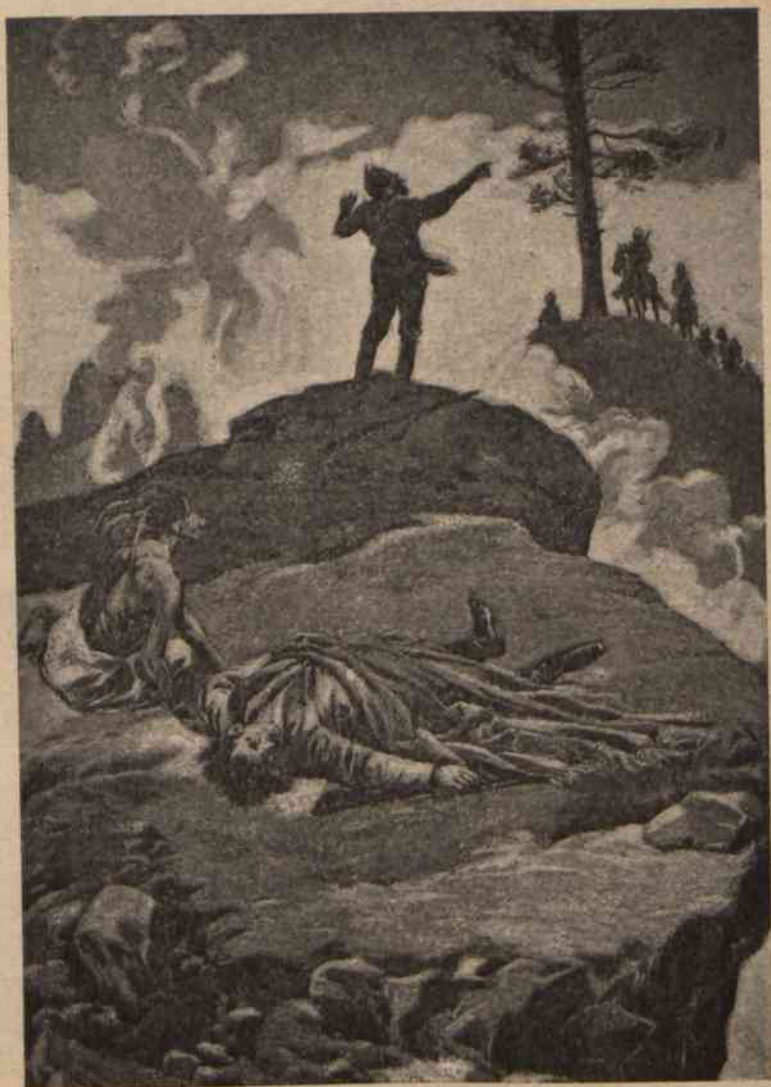
— Słuchajcie zuchy,—mówił nieznajomy. — Spędziliście wiele nocy bezsennie, narażaliście się na śmieszność i na trudy przez człowieka, który z dumą nazwał się korsarzem Triplexem. Ten człowiek jest nareszcie w naszej władzy.

Tu nieznajomy skłonił się kapitanowi i mówił dalej spokojnie:

— Bezwątpienia znasz pan mnie, panie Triplex. Nie mogę przypuścić, abyś pan mnie nie znał, prowadząc wojnę ze mną osobiście. Lecz chcę być do końca dobrze wychowanym. Grzeczność obowiązuje nawet w stosunku do przeciwnika. Dla tego miałem obowiązek przedstawić się panu, abyś mógł lepiej ocenić swe położenie.

I skłoniwszy się powtórnie, wymówił dobitnie:

— Sir Tobjasz Allsmayne, naczelnik policji Oceanu Spokojnego.



— Zetnijcie drzewo i zróbcie most... (S 3).

## X.

***Odnaleziony i zgubiony.***

Był to rzeczywiście Allsmayne. Ratując ofiary wybuchu, nie spodziewał się, że pochwyci nareszcie nieprzyjaciela, którego tak długo napróżno ścigał.

Odplynąwszy z Sidney na pokładzie „Destroyer'a," Allsmayne zostawił okręt u ujścia rzeki. Lavarede, Lozja i Oretta pozostali na pokładzie okrętu, sam zaś Allsmayne z niewielkim oddziałem dobranych ludzi udał się w góry Breamstonu. Po drodze już dowiedział się o wybuchu.

Uciekający przed katastrofą górnicy opowiadali mu, że w przeddzień wybuchu widzieli dwóch ludzi, szukających Toma Sammy.

Był przekonany, że ci, których szukał, nie uniknęli śmierci. Nie wrócił jednak, lecz jechał dalej: chciał mieć niezbite dowody śmierci zakłętego wroga. Przypadek dopomógł mu tak, że rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Korsarz żywcem dostał się w jego ręce. Teraz mógł dokonać zemsty i jednocześnie podtrzymać swą powagę, tak zachwianą w ostatnich czasach przez korsarza.

Na dźwięk imienia Allsmayne'a, Sammy i kapitan zbledli. Jedna myśl przyszła im do głowy. Z żalem spojrzeli na potok lawy.

— Lepiej było zginąć w objęciach płomieni, aniżeli dostać się w ręce naczelnika policji,—mówił ich wzrok ponury.

Tak. Znajdowali się w rękach nieubłaganego wroga. Allsmayne nie pozostawiał im pod tym względem żadnej wątpliwości. Obydwóch europejczyków pilnowało bacznie po dwóch strażników. Mora-Mora, jako niemający bliższej styczności ze sprawą, był puszczony na wolność. Allsmayne polecił zwrócić mu broń, zaopatrzyć go w żywność i kazał mu wynosić się natychmiast z obozu.

Żołnierze policyjni dołożyli wszelkich starań, aby od-

jąc więźniom możliwość ucieczki. Okuci w kajdany na rękach i nogach, więźniowie nie mogli nawet marzyć ucieczce.

Na trzedzi [dzień stan jeńców poprawił się o tyle, że Allsmayne kazał zabierać się do powrotu. Więźniowie siedzieli na koniach, prowadzonych przez żołnierzy.

Ciężką była dla nieszczęśliwych, osłabionych jeszcze jeńców przeprawa przez pustynię, pod palącymi promieniami słońca. Powoli jednak kapitan odzyskiwał dawną sprężystość umysłu. Na trzeci dzień podróży Sammy zauważył, że towarzysz niewoli uporczywie patrzy na niego, jakby chciał coś powiedzieć. Gdy oddział zatrzymał się na nocleg, Tom, udając silne zmęczenie, wyciągnął się na ziemi o trzy kroki od miejsca, gdzie leżał Triplex. Nikt tego nie zauważył. Strażnicy, przekonani, że okuci należycie więźniowie uciec nie mogą, zmniejszyli baczność, i o tem właśnie chciał kapitan wzrokiem powiedzieć Tomowi.

Allsmayne udał się do namiotu, strażnicy zajęci byli przygotowaniem wieczerzy, więźniowie udawali śpiących.

Korsarz otworzył oczy. Widząc, że nikt na nich nie patrzy i nikt ich słyszeć nie może, nie odwracając się, szepnął cicho:

— Tom!

— Słucham pana,—tak samo odpowiedział Sammy.

— Prawdopodobnie jutro przybędziemy do oberży, w której zatrzymywałem się, jadąc do ciebie.

— Myślę, że tak.

— Spróbujesz tam uciec.

— Zrobię to, gdy pan każe. Myślą, że te łańcuszki znaczą co dla mnie. Tyle, co słomki... Ale niechciałbym opuszczać pana.

— Milcz, słuchaj! Cicho, ktoś idzie.

Do więźniów zbliżył się strażnik. Prawdopodobnie usłyszał szmer jakiś, chciał więc spojrzeć na więźniów.

— Nie, zdawało mi się,—mruknął,—śpią, jak zabici.

I odszedł znów do towarzyszy.

Za chwilę kapitan szepnął znów:

— Tom!

— Słucham...

— Musisz uciec. Nie przerywaj mi, niema czasu na gawędy. Razem uciec nie możemy, mnie bardziej pilnują. Uciekniesz więc sam. Dojdiesz do rzeki. Przy „trzech strzałach“ znajdziesz moich przyjaciół. Zostali tam przy czólnie. Powiedz im: „jestem ten, którego szukał kapitan. Kapitan dostał się w ręce naczelnika policji, który wiezie go do Sidney. Wracajcie, ja jadę z wami.“ Miss Maddy postanowi, co czynić trzeba.

— Zrobię wszystko, co pan każe. Ale cicho...

Znów zbliżył się ten sam strażnik.

— Do djabła, znowu mi się zdawało, — mrucał do siebie. — Lepiej jednak rozłączyć tych zuchów. Będzie bezpieczniej!

Trącił Toma nogą.

— Do pioruna! — zawołał Tom, jak przebudzony nagle z głębokiego snu. — Czy ślepy jesteś, że włazisz na człowieka?

Policjant roześmiał się.

— Dobrze, dobrze... Wstawaj! — zawołał.

— Po co?

— Po to, że ja tak chcę. Przepisz się gdzieindziej.

— To łajdactwo obchodzić się w ten sposób z aresztantami.

— Dosyć gawędy! Warto też mówić o kopnięciu, gdy się ma przed sobą szubienicę...

Sammy spojrział ze złością na policjanta, lecz z pokorą wstał i poszedł za nim. Strażnik wskazał mu miejsce o dwadzieścia metrów od kapitana, pod drzewem, na miękkim mechu.

— Tu możesz się położyć. Zamiast się skarżyć, powinieneś podziękować mi za troskliwość.

Nie odpowiadając ani słowa, olbrzym wyciągnął się na wskazanem miejscu. Strażnik przeszedł się do ogniska, przy którym towarzysze jego gotowali wieszczkę.

Kapitan nie poruszył się, jakby nie słyszał nawet tego, co się działo o dwa kroki od niego.

Strażnik zaledwie mógł się go dobudzić, aby wziął swoją porcję. Kapitan zjadł wieszczkę, popił wodą z wisky i za-



snął znowu. Noc przeszła spokojnie. Rano oddział wyruszył w dalszą drogę, wieczorem stanął w obozisku.

Gospodarz, który przywykł już w kopalniach złota niczemu się nie dziwić, udał, że więźniów nigdy w życiu nie widział. Przy całej jednak ostrożności, był bardzo ciekawy, przytem Tom był jednym z najlepszych jego klientów, gdyż nie skąpił złota.

Dla tego, gdy strażnicy zajęci byli obiadem, gospodarz podkraść się do okna izby, w której zamknięty był Tom.

— Hej, Tom!—zawołał,—czy to ty?

— Ja. Cieszę się, że cię widzę.

— Ja również, wolałbym jednak widzieć cię w innym położeniu.

Olbrzym uśmiechnął się.

— Rozumiem. Ale możesz mi dopomódz...

— Jakim sposobem? Wiesz przecie, że dbam o reputację mego zakładu, nie mogę więc pomagać więźniowi do ucieczki.

— Nie chcę, abys mi pomagał. Dość będzie, jeżeli nie przeszkodzisz.

— Nie przeszkodzę?—powtórzył gospodarz, wytrzeszczając oczy.

— Tak. Nie spuszczaaj dzisiaj na noc psów. Tym sposobem nic nie ryzykujesz, a policjanci sami dostatecznie strzedz będą twego domu.

— To być może. Ale czy aby mnie nie posądzą o współudział?

— Bądź spokojny. A za to powiem ci, gdzie mam schowane czterdzieści funtów złota.

Pocziwiec uśmiechnął się serdecznie.

— Mówisz: czterdzieści funtów? Czy nie omyliłeś się?

— Nie, słyszałeś dobrze.

— I oddasz je mnie?

— Wskażę ci miejsce, gdzie się znajdują. Pójdiesz tam i weźmiesz.

— Jeżeli zrobisz to, nie spuszczę psów.

— Dobrze. Pójdiesz do mojej chaty w górach Breamstone. Wejdiesz i staniesz tyłem do komina. Odliczysz

trzy kroki i zaczniesz kopać. W głębokości czterdziestu centymetrów trafisz na deskę, pod nią jest skrytka. Tam leży złoto.

Oberżysta słuchał, przepełniony radością.

— Nie kpisz ze mnie?

— Daję ci słowo honoru.

— Wierzę ci, Tom. Wiem, że nie chciwy jesteś mamonny. Pójdę do twojej chaty, wezmę złoto, boś ty dobry przyjaciel.

— Nie zapomnij aby o psach.

— Bądź spokojny. Jestem jedyny do interesów. Życzę ci powodzenia.

W tej chwili ktoś zawołał gospodarza. Ukrywając zadowolenie, oddalił się czemprowadzej.

Tom został sam. Długo słyszał śmiechy i rozmowy policjantów. Potem wszystko ucichło. Tylko równe kroki szyldwachu przerywały ciszę nocną.

Olbrym wyteżył mięśnie. Lekki trzask dał się słyszeć, kajdany opadły. Był wolny.

— To dobre dla bab!—mruknął z uśmiechem.

Zsunął się z łóżka i na czworakach podpełznął do okna. Żołnierz stał tyłem do niego.

— Ten sam,—pomyślał Tom,—oddam mu teraz kopnięcie z procentem. Dobrze, że to on, innego byłoby mi żal...

Przełożył nogę przez okno. Strażnik odwrócił się, lecz nie zdążył krzyknąć, a już pięść olbrzyma spadła mu na głowę. Zachwiał się i padł na ziemię, jak wół pod uderzeniem obucha.

Olbrym pochylił się i dotknął jego głowy.

— Czy aby nie za mocno trąciłem go...—mruczał przez zęby.—Zdaje się, że ma czaszkę rozbitą. Ha, cóż robić, tem gorzej dla niego. Zresztą wyświadczyłem mu przysługę, życie ludzkie nie wiele warte.

Wziął karabin zabitego, poszedł do stajni, wybrał najlepszego konia, osiodłał i po cichutku odprowadził za oberżę. Potem wsiadł i pomknął na wschód.

## ROZMAITOŚCI.

— **Pożytek kurzu w przyrodzie.** Badając powstawanie mgły, chmur, deszczu i innych opadów atmosferycznych, uczeni doszli do wniosków, jakie z góry wydać się mogą nieprawdopodobne. A jednak jest to jedno z odkryć, któremi się może pysznić duch ludzki; otwiera nam bowiem oczy na nowe zjawiska natury i wświała ich przyczynę.

Chodzi tu o znaczenie *kurzu* w przyrodzie.

Któżby przypuścił, że zwykły kurz, ta przykra w powietrzu domieszka, źródło tylu chorób, niszczyciel płuc, plaga naszego letniego wypoczynku, że kurz—powtarzamy—może być pożyteczny.

A jednak winniśmy mu nietylko możliwość napawania się nie-raz pięknnością natury, naprzykład o wschodzie i zachodzie słońca, albo w krajobrazie słonecznym; samo życie nasze na ziemi bodaj czy byłoby możliwe bez „obrzydłego“ kurzu.

Nieprawdopodobne!?

A wiecie, czytelnicy, czem jest błękit niebios? Sądzono dawniej, że błękitna barwa nieba i wody jest naturalną własnością tych materji, daje się wszakże zauważyć dopiero w grubszych warstwach. Przypuszczenie to jednak nie było w stanie wytłomaczyć całej świetności barw zorzy porannej i wieczornej.

Fizyk angielski Tyndall postanowił się przekonać, czy istotnie powietrze samo ma jakiś kolor, czy też jest bezbarwne i niewidzialne.

Walec szklany oświetlił wewnątrz elektrycznością. Gdy walec napęłnił powietrzem, wedle naszego zdania „czystem,“ wnętrze jego jaśniało moonem światłem. Skoro jednak napęłnił go powietrzem, przepuszczonem przez rozżarzoną siatkę platynową, która spalała wszelki pył (organiczny) zawarty w powietrzu, rura

wydawała się ciemną zupełnie. Zwiększając stopniowo ilość kurzu w walcu przez niezupełne spalanie, otrzymywał najprzód mgłę niebieskawą, potem błękit podobny do niebieskiego, wreszcie barwy coraz bledsze aż do zupełnej jasności.

Oczywiście więc powietrze zwykle staje się widzialne a zarazem i zabarwione jedynie skutkiem kurzu w niem istniejącego. Jeżeli go jest dużo, odbija wszelkie barwy światła, a te ogółem dają, jak wiadomo, światło białe. W razie obecności pyłu tylko najbardziej subtelnego, cząstki jego mogą odbijać tylko promienie właściwe najkrótszym fałom świetlnym, mianowicie niebieskie i fioletowe. W braku pyłu wszelkiego niema wcale odbicia, ztąd niewidzialność powietrza.

Zapatrywanie powyższe tłumaczy, dlaczego niebo wyżej jest błękitne, a niżej po nad ziemią blade, białawe; wszystko to zależy od wielkości i obfitości cząstek kurzu w atmosferze. Łatwo też zrozumiemy, dlaczego słynie piękny szafir włoskiego nieba, zasłoniętego ze wszech stron morzem, bądź górami. Kolor wody zależy też od zawartych w niej pyłków.

Nie na tem jednak kończy się pożytek kurzu w przyrodzie. Ważniejsze znaczenie posiada on jako rozsiewacz wilgoci po całej ziemi. Gdyby nie kurz, nie byłoby chmur, ani mgły, ani deszczu spokojnego i jednostajnego, tak potrzebego roślinności.

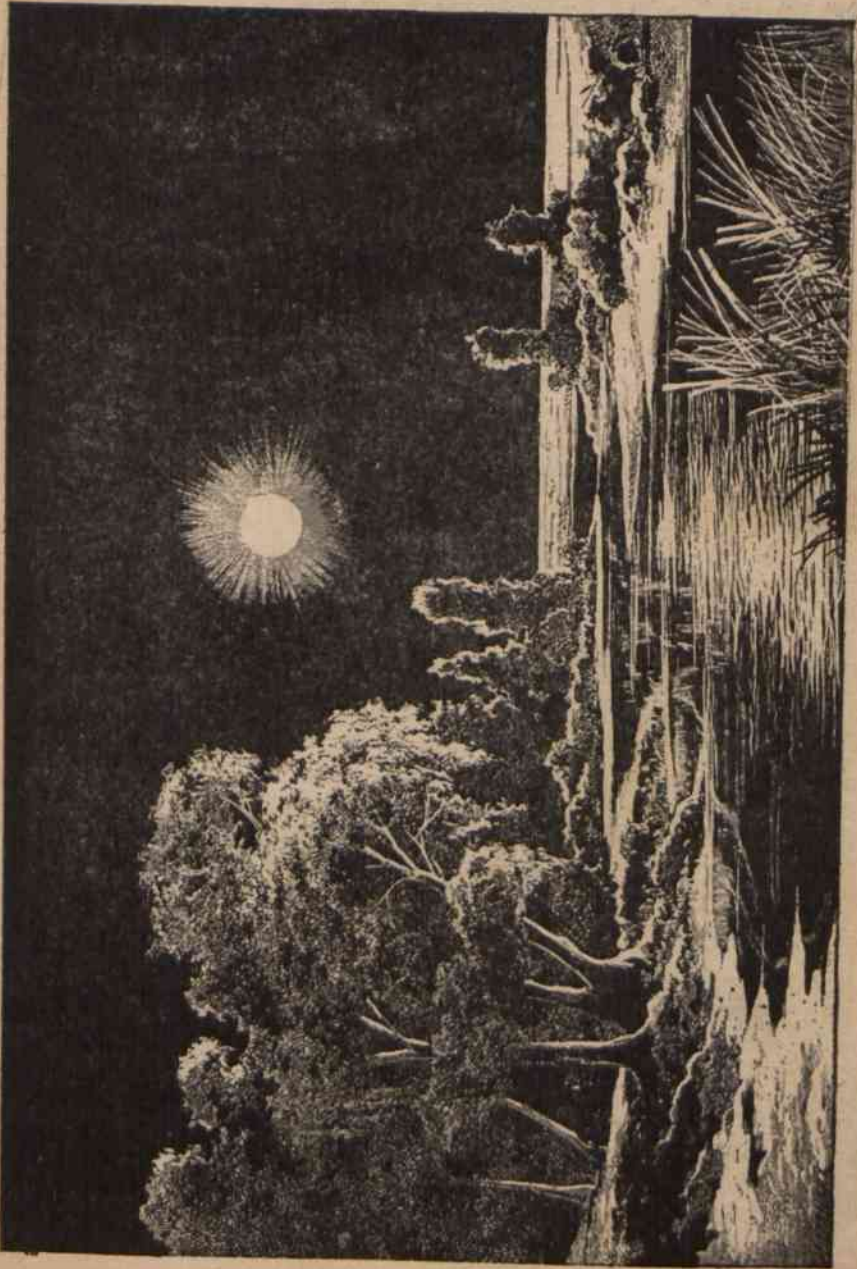
anie stwierdza to w sposób niezbity. Napełnia się dwa naczynia szklane powietrzem, jedno zwykłym, drugie oczyszczonem z kurzu, poczem wpuszcza się do każdego parę wodną. W pierwszym naczyniu powstają odrazu kłęby oparu, drugie jest zupełnie przezroczyste. Można też zamiast wpuszczenia pary nalać do każdego z naczyń nieco wody na spód, i poczekawszy, aż powietrze będzie nawskroś przejęte (nasycone) ulatniająca się z wody parą, oziębić naczynie. Wtedy w naczyniu bez kurzu nie da się nic zauważyć, gdy w drugim utworzą się gęste chmury.

Ztąd wniosek, że i w atmosferze samo oziębienie nie wystarcza do powstawania chmur i deszczu; potrzeba tu jeszcze drobnych cząstek stałych, które stają się jakby ośrodkiem zgęszczenia pary.

Jakież widoki mielibyśmy bez kurzu w powietrzu?

Przed nami ciągnie się równina obszerna. Słońce błyszcząc rażąco na czarnem niebie, gwiazd pełnem. Woda, zamiast modrego błękitu, ma wygląd atramentu. Drzewa i wszelkie przedmioty rzucają cienie ostre, bez żadnych półcieniów. Przy takim oświetleniu należałoby domy oświetlać sztucznie nawet za dnia, lub zaopatrywać je w mnóstwo okien, ściany robić z luster lub blach lśniących.

Oddalamy się od rzeki. Widok będzie jeszcze bardziej uderzający. Woda spływa z drzew strumieniami, sprawia prądy po-



Widok, oświetlony słońcem, w braku kurzu w powietrzu

wietrza, które porywają różne cząstki stałe z ziemi; na tych skrapla się znów para, i ulewa potęgguje się mocno.

Coby było wtedy w górach? Wilgoć atmosferyczna, nie mając na czem stopniowo osiadać, zdolna jedynie skraplać się na gładkich, spływałyby z nich strumieniami, które, łącząc się w rozluki potoki, wszystkoby po drodze porywały i niszczyły. Huk, plusk, trzask okropny towarzyszy tym żywiołom; zamiast spokoju i bujnej roślinności, nękanie są zalewem, zasypaniem ziemią i kamieniami z gór znoszonemi.

Czy można wyobrazić sobie życie w tych warunkach? A zmiana tak olbrzymia nastąpiłaby, tylko z braku w powietrzu kurzu!

Nasuwa się pytanie: czy jest co niepotrzebnego na świecie?...

— **Ożywienie zmarłego.** Dwaj lekarze francuscy Tuffier i Halion, zawiadomili akademję medyczną w Paryżu, że udało im się wskrzesić, na pewien czas człowieka faktycznie zmarłego. I dawniej robiono takie doświadczenia, ale tylko z psami, które zabijano chloroformem, a następnie przywracano je do życia; trwało ono najwyżej 22 godziny. Wspomniani lekarze pierwsi odważyli się na podobną próbę z człowiekiem. Był to 24-letni mężczyzna; zmarł w klinice po operacji, a gdy śmierć jego była stanowczo stwierdzona, uczeni rozpoczęli próby ożywienia. Początkowo zastosowali sztuczne oddychanie, potem regularne wyciągania języka (najskuteczniejszy sposób ratowania pozornie umarłych); próby te trwały godzinę, bez żadnego skutku. Wtedy otworzyli mu klatkę piersiową między trzeciem a czwartem żebram, rozciągli muskuły pomiędzy żebrami i dostali się do serca. Następnie dr. Tuffier wziął w rękę serce, i począł naciskać jego ścianki od 60—80 razy na minutę, starając się naśladować bicie serca. Po dwu minutach krew zaczęła krążyć w ciele zmarłego, ten otworzył oczy, poruszył głowę i zachowywał się, jak gdyby poznawał otaczających. Serce zaczęło już działać samo i biło kilka minut, następnie uderzenia jego stawały się coraz słabsze i rzadsze, wreszcie zupełnie ustały i człowiek umarł poraz drugi. Jeszcze dwa razy lekarze powracali mu życie, za każdym razem był przytomny i mógł nawet odpowiadać na pytania; ale pomimo usiłowań, dłużej nad dwie minuty serce nie działało. Po sekcji okazało się, że utworzył się w lewej arterji płucnej skrzep; ten zapewne przeszkodził dłuższemu trwaniu sztucznego życia. Wkrótce mają nastąpić nowe próby ożywienia ludzi; oczekiwać można jakiegoś skutku oczywiście tylko w razie śmierci nagłej lub szybkiej, gdy ciało nie jest zupełnie wyniszczone długą chorobą.

— **Istota, żyjąca w nafcie.** Kilka miesięcy temu pisma amerykańskie podały wiadomość, że uczoney Gantonom wykrył owad, żyjący i rozmnażający się doskonale w nafcie. Początkowo wiadomość ta wydawała się bajką, gdyż wiadomo, że nafta działa na

wszystkie owady jak trucizna. Ale wkrótce w „Scientific American“ ten sam uczoney wydrukował artykuł, objaśniający, że owad ten żyje w nafcie w stanie niedojrzałym, mianowicie jako gąsienica.

Gąsienice tego oryginalnego owadu pochodzą z Kalifornji, gdzie je znaleziono w kałuży nafty, w pobliżu źródeł naftowych. Uczoney, otrzymawszy te gąsienice, umieścił je w naczyniu z naftą, przykrył szklaną pokrywką i czekał z niecierpliwością ich przemiany. Oczekiwanie jego trwało niedługo; dziewiątego dnia po umieszczeniu ich w naczyniu wypęzły z nafty na ściany naczynia i tu przemieniły się na poczwarki, a po 22 dniach powstały z nich owady, mianowicie muchy, z rodziny Ephydriidae. Wszystkie owady, należące do tej rodziny, wybierają dziwne miejsce dla swych gąsienic; tak, jedne żyją w kopalniach soli, inne w łądych roślin wodnych i t. d. Mucha, którą obserwował powyższy uczoney, otrzymała nazwę *Psylopa petrolei*, gąsienice zaś jej dlatego mogą żyć w nafcie, że dychawki ich są umieszczone w tylnej części ciała, na zewnątrz, tak, jak u chrząszcza wodnego.

Gąsienica, chcąc odetchnąć powietrzem, wysuwa dychawki, wciąga powietrze, następnie zanymka otwory i zanurza się w nafcie; słowem, zachowuje się tak, jak pomieniony chrząszcz, cała różnica polega na tem, że żyje w nafcie, nie w wodzie.

— **Straszny orkan w Ameryce.** Ubiegłego miesiąca jeden ze Stanów Zjednoczonych półn. Ameryki, mianowicie Texas, leżący



Zalew pociągu kolejowego.

nad zatoką Meksykańską, nawiedził orkan, którego straszliwe skutki trudno sobie wyobrazić. Wicher rozszalał się tak, iż doszedł szybkości 135 kilometrów na godzinę; ulewa, trwająca 7 godzin bez

przerwy, przemieniła miasta i wieś w istn<sup>e</sup> jeziora. Najwięcej ucierpiał port Galveston, leżący na wysepce. Morze wezbrało i wdarło się z ogłuszającym hukiem i szumem na ulice i place nieszczęsnego miasta, które zburzyło niemal do fundamentów. Przerazona ludność, zasypywana piaskiem, okruchami, odłamkami walących się domów, ścigana przez fale morskie, szukała ratunku poza miastem; ci, którzy uciekli na łodzi, poginęli wszyscy. Okręty tłukły się o siebie i o brzegi dotąd, aż rozbite w kawały, poszły na dno.

Po katastrofie miał Galveston wygląd trudny do opisania. Śród gruzów, jak na pobojowisku, leżały tysiące trupów, a jęki rannych i przywalonych rozdzierały serce. Dotąd naliczono 6,000 ofiar, których cały pogrzeb poległ na śpiesznem wywiezieniu na pełne morze i wrzuceniu do wody; nie było możności pochowania w ziemi tylu naraz trupów w czasie tak krótkim, aby się nie rozłożyły i powietrza nie zaraziły. Szkody materialne przenoszą 200 milionów franków. Rycina nasza przedstawia pociąg kolejowy, zwalony z szyn i zalany przez rozhukane fale.

— Czy ryby mają głos? Milczy jak ryba—powiada przysłowie, a przysłowia podobno zawierają mądrość narodów. Tym razem jednak przysłowie się myli. Czemu? Bo utworzono je bez udziału .. mikrofonografu.

Oddawna już z opowieści rybaków, marynarzy i wogóle ludzi, mających ciągłą styczność z wodą, wiadomo było, że ryby wydają pewne dźwięki, i nawet rozmaite; lecz trudno było w to uwierzyć bez faktycznych dowodów. Dopiero ów przyrząd, mikrofonograf, notujący samodzielnie dźwięki, wykazał stanowczo, że ryby mają głos. Staranne badania w tym kierunku przeprowadził dyrektor akwarjum w Neapolu Keliker. Zanurzył się on w ubraniu nurka do wody na 10—15 metrów i ukrywszy się za skałą zapisywał, za pomocą mikrofonografu swego wynalazku, dźwięki, które wydawały ryby.

Dotąd uważano, że niektóre tylko ryby zdolne są wydawać dźwięki. Te mianowicie, których pęcherz wyglądał na narząd głosowy. Pęcherz ten zarazem odpowiada przeponicy (przegrodzie między piersiami a brzuchem), posiada w środku otwór, przez który wpada powietrze.

Skunbrja, według badań, wysuwa głowę z wody i wydaje głos podobny do płaczu dziecka, umiera zaś w zupełnem milczeniu.

Ryba „la dorée“ podczas niskiego stanu wód, wydaje głos podobny do gdakania, to też rybacy przezwali ją kurą wodną. Do dziś poznano z pewnością kilka gatunków ryb, wydających przejmujące dźwięki, jak gdyby skrzył koła. Pewien przyrodnik zapewnia, że ryba „pripistome“ do złudzenia naśladuje głos kaczk. — Jeden z podróżników południowo-amerykańskich opowiada co następuje:



było to pod równikiem, o zachodzie słońca płynąłem wzdłuż brzegu morskiego, gdy usłyszałem głos dziwny, dość silny, obejrzałem się, lecz nigdzie nie widać było żadnego stworzenia, zapytałem więc przewoźników, co znaczy ten dźwięk? „To ryba płacze” brzmiała odpowiedź; zwali ją syreną. Odjechawszy dalej usłyszałem wiele harmonijnych głosów, przypominających organy kościelne, słyszane z daleka. Wioślarze objaśnili mi, że koncert ten zaczyna się codziennie o zachodzie słońca i trwa parę godzin, urządzają go ryby, mające około 25 centymetrów długości, koloru białego, z błękitnymi plamami na grzbiecie.

Inny podróżnik opisuje w swojej podróży z nad Kambodży, równie ładny „koncert rybi”. Każdy z tych oryginalnych artystów wydaje jeden tylko dźwięk pełny i silny. Ryby te mają około metra długości, są koloru zielonego ze srebrnym połyskiem, na głowie mają małe wąsiki.

A więc ryby głos mają! Niedosć wszakże na tem. Dyrektor obserwatorjum, o którym już wspominaliśmy, sprawdził wszystkie te obserwacje, nadto postanowił dojść, czy dźwięki, które wydają ryby, mają jakie znaczenie i czy mogą się one przy ich pomocy porozumiewać wzajemnie. Wprawdzie ryby mają do rozporządzenia bardzo małą ilość dźwięków, ale wszakże i między ludźmi, mianowicie mieszkańcami polinezji spotykamy dzikie plemiona, których język składa się nie więcej jak ze stu wyrazów. Niezadługo może usłyszymy coś o „języku” ryb...

— **Zegar mówiący.** Czytelnicy zapewne już niejednokrotnie czytali o nowym wynalazku: telegrafonie, który polega na połączeniu fonografu ze zwyczajnym telefonem. Obecnie walce fonografu zastosowano do mechanizmu zegarów.

Na zwykłym walcu fonografu w pewnych odstępach wryte są zdania, najodpowiedniejsze dla zwrócenia uwagi. Walec taki wkłada się do zwykłego zegara ściennego, na miejsce przyrządu, wydzwaniającego godziny i łączy się go prostym mechanizmem z wskazówkami. Co godzina, lub pół, stosownie jak zegar jest urządzony, walec się kręci i wygłasza zdania n. p. „Słuchajcie! uważajcie! w pół do trzeciej!” Ze zegar taki jest dogodny, nikt chyba nie zaprzeczy; usuwa on żmudne liczenie uderzeń zegara i pochodzące ztąd pomyłki, co szczególnie daje się we znaki w południe i o północy. Mówiący zegar krótko nas objaśni: Uwaga! już północ! Dla amatorów narzędzi grających, można zegar urządzić z melodją, tak, iż ten np. odegra kołysankę, w zwykłych godzinach udawania się na spoczynek.

— **Podróżnik bez nóg.** Wypadek, czy też manja chorobliwa? Takie pytanie rozstrzygnąć usiłują gazety paryzkie, opisując rozmaite, a wielce oryginalne sposoby podróżowania. Niezbyt dawno pewien krawiec odbył podróż z Wiednia do Paryża w beczce.



Beznogi podróznik.

Bieżąca wystawa powszechna powiększyła jeszcze zastęp dziwnych podróżników. Niektórzy na przykład przybyli na wystawę z dużą beczką, którą przez całą drogę, idąc pieszo, toczyli przed sobą.

Najciekawszą jest jednak podróż kaleki, pozbawionego obu nóg, nazwiskiem Jan Haslinger, rodem z Wiednia. Drogę całą odbył na małym dwukołowym wózku, o kołach opatrzonych, podobnie jak welocyped, pneumatycznymi obręczami. Wózek ten posuwał się w sposób bardzo pierwotny, mianowicie własnymi rękoma: dłońmi opierał się o ziemię i odpychając się, toczył się wraz z wózkiem. W ten sposób przebył odległość 1435 kilometrów między Wiedniem a Paryżem. Pierwsze chwile podróży były bardzo ciężkie, gdyż wedle warunków zakładu Haslingera, nie wolno mu było używać rękawiczek, z czasem skóra na dłoniach stwardniała jak podszew. Podróżnik robił przeszło 3 kilometry na godzinę, a dziennie 30 kilometrów. W czasie całej podróży kontrolował Haslingera, jeden z uczestników zakładu, jadący obok na rowerze. Według świadectwa tegoż kontrolera, Haslinger wyjechał z Wiednia bez grosza w kieszeni, na życie w drodze zarabiał, sprzedając karty pocztowe ze swoją fotografią.

— **Huśtawka ze świecy.** Zwykła świeca stearynowa może



się stać motorem, nie posilkującym się parą, ani gazem, ani elektrycznością, i nie mającym ani kotła, ani cylindra. Kto z czytel-

ników zechce się przekonać, niechaj się weźmie do dzieła w sposób następujący: świecę należy przekłuć prostopadle w samym środku długą igłą, lub dwoma szpilkami, które należy przedtem dobrze rozgrzać. Te szpilki stanowią oś naszego motoru, końce ich opiera się na ścianach dwu szklanek. Następnie zapalamy świecę z obu stron, wtedy z którego końca świeca pierwaj zacznie się topić i stearyna z niego kapać, ten stanie się lżejszym i podniesie się, a przeciwny koniec opadnie; potem z tego ostatniego stearyna spłynie, przez co tenże się uniesie i t. d., dopóki świeca się nie wypali, słowem motor będzie działał z przerwami bezustannie. Możemy zużytkować jego siłę; w tym celu do szpilki, stanowiącej oś świecy, przytwierdzamy pasek lekkiej tektury, który będzie wyobrażał deskę, do jej końców przylepiamy dwie figurki. Będą się one huśtały przy poruszeniach świecy.

## Rady i wskazówki praktyczne.

— **Jak poznać, czy ryby są świeże.** Dr. Makiewski w dziele p. t. „Chemja domowa“ podaje następujące oznaki, dowodzące świeżości ryb.

Najpierw należy zwracać uwagę na skrzela, które u ryb świeżych są różowe i nie mają nieprzyjemnego zapachu, oczy są wypukłe, mięso sprężyste i twarde, łuska błyszcząca. Ryby świeże toną w wodzie. Przeciwnie, ryby nieświeże, mają skrzela blade i cuchnące. Handlarze często farbują skrzela, dlatego więc trzeba uważać i na inne oznaki, mianowicie u ryb nieświeżych oczy są wpadnięte, mięso wiotkie, a dołek, tworzący się za dotknięciem palca, nie wyrównywa się; brzuch często bywa wyдутy i okryty plamami zielonkawemi; ryby takie nie toną w wodzie.

— **Okurzanie i mycie roślin pokojowych.** Jak wiadomo, liście roślin pokojowych szybko okrywają się kurzem, który nie dopuszcza światła do nich i zmniejsza transpirację. Jest to bardzo szkodliwe dla kwiatów, to też amatorom kwiatów komunikujemy najlepszy sposób usuwania kurzu.

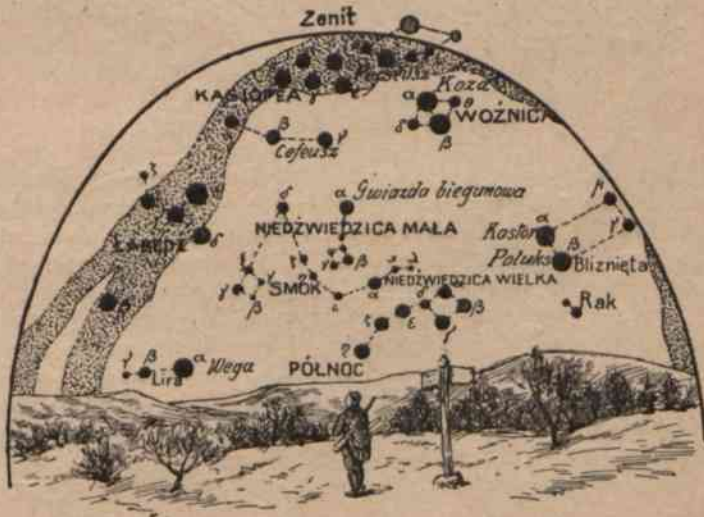
Gdy tylko zauważymy, że rośliny są zapyłone, trzeba je delikatnie okurzyć, używając w tym celu miotełki z piór; tą samą czynność należy spełnić przed myciem kwiatów. Mycia wymagają nietylko liście, ale gałęzie i łodyga. Rośliny drobne, tembardziej zaś iglaste, lub o liściach szorstkich, najlepiej zmywać przy pomocy rozpylacza; duże okazy najlepiej skrapiać przez sito lub całą koronę zanurzyć w obszerne naczynie z wodą. Li-

ście miękkie można zmywać gąbką, zmieniając ciągle wodę. Rośliny, które nie znoszą mycia w zimie, należy tylko wycierać za ledwie wilgotną gąbką.

W każdym jednak razie radzimy przed myciem (mowa o kwiatkach nie bojących się wody), skropić wpięrow liście, gdyż inaczej kurz, nagromadzony na nich, nie da się dobrze zmyć.

— **Pranie flanelowych rzeczy.** Ażeby wyprać dobrze flanelę i nie dać się jej skurczyć, należy przygotować wodę mydlaną i rozpuścić w niej sodę (120 gramów na litr, czyli 10 łutów na kwartę wody). W tym roztworze należy zamoczyć kilka razy flanelę, tak ażeby się dobrze zamoczyła, następnie kładzie się ją na równej desce lub stole i czyści szczotką. Jeżeli flanela bardzo jest brudna, to trzeba powtórzyć moczenie i czyszczenie. Potem płócze się ją w wodzie z farbką zwykłą, używaną do bielizny. Flaneli nie należy zupełnie trzeć rękami. Gdy już zupełnie czysta, suszy się ją (byle nie na wietrze, ani przy piecu). Po takim praniu flanela będzie czysta i nie skurczy się.

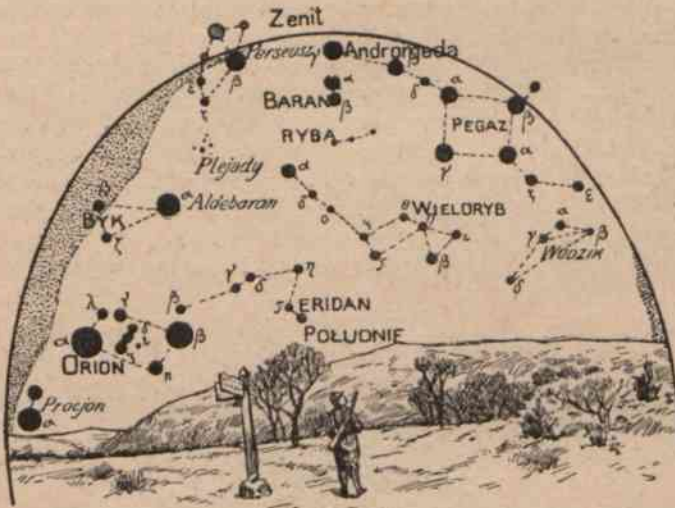
## Karta nieba na miesiąc Grudzień.



Widok nieba od strony północnej.

Patrząc w stronę północy, widzimy w zenicie *Kassjopeę*, *Perseusza*, niżej trochę *Cefeusza*, *Gwiazdę Biegunową*, najpiękniej-

szą z konstelacji *Niedźwiedzicy Małej*. Nad horyzontem spostrzegamy gwiazdozbiór *Niedźwiedzicy Wielkiej*, zwanej także *Wozem Dawidowym*, znany już w głębokiej starożytności. Na prawo widzimy *Wóżnicę z Kozą*, *Bliźnięta z Kastorem i Polluksem* i *Raka*. Na lewo znajdujemy gwiazdozbiór *Łabędzia*, w kształcie krzyża na drodze mlecznej i *Lirę z Węgą*.



Widok nieba od strony południowej.

Zwróciwszy się na południe, widzimy część gwiazdozbioru *Perseusza* niżej *Barana*, *Ryby*, *Wieloryba*. Na prawo spostrzegamy *Andromedę*, czworobok *Pegaza*, i *Wodnika*. Na lewo znajdują się *Plejady*, i *Byk* z *Aldebaranem*, niżej wspaniały gwiazdozbiór *Orjona*, nad samym horyzontem *Procjon* z konstelacji *Psa*.

Z planet do dnia 20 grudnia widzialny jest *Merkury* przed samym wschodem słońca. Świetna *Wenus* błyszczy na wschodzie przed jutrzenką. Czerwony *Mars* świeci w gwiazdozbiórce *Lwa* w drugiej połowie nocy. *Jowisz*, znajdujący się blisko słońca, jest niewidocznym. *Saturn* świeci na zachodzie w pierwszych godzinach nocy, potem nika.

# Zadania.

## Zadanie do nagrody.

Mam 2 razy więcej lat, niż ty miałeś, gdy ja byłem w dziesiętym twoim wieku. Kiedy zaś ty będziesz miał tyle lat, ile ja mam teraz, suma lat naszych stanowić będzie 63.

Ile lat ma każdy?

**Nagroda:** Półroczna prenumerata „Miesięcznika“ za najlepsze, t. j. jasno a możliwie krótko wytłomaczone rozwiązanie *drogą arytmetyczną*. Termin nadsyłania rozwiązań do 25 grudnia.

## Skuteczna obrona.

Każda niemal wojna większa obfituje w przykłady bohaterskiej walki małej garstki ludzi przeciw całym zastępom nieprzyjaciół.

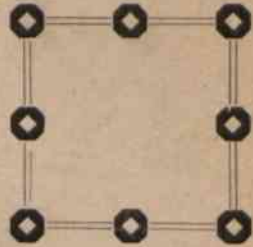
Podobnej wszakże obrony, jaka miała miejsce niedawno w jednym z miast chińskich, obleżonem przez bokserów, nie znają pewnie dzieje.

W mieście znajdowało się kilkadziesiąt rodzin chrześcijańskich. Skoro nadeszły bandy bokserów, mieszkańcy porzucili dobytek i schronili się do obwarowanej części miasta, bronionej przez mały oddział żołnierzy. Twierdza miała postać kwadratową; opasywał ją mur z okrągłymi basztami po rogach i pośrodku każdego boku z baszt łatwo było strzelać na wszystkie strony, to też obrońcy tam się rozstawiali, po 3-oh w każdej baszcie.

Obleżeni trzymali się dzielnie, odpierając wszystkie ataki nieprzyjaciela, bez żadnych dotąd strat własnych. Niestety, sprowadzono działa i rozpoczęło się bombardowanie. Od pocisków padło wkrótce czterech obrońców. Dzika radość zapanowała w tłumie Chińczyków na widok padających.

Tymczasem nadeszła noc i walka ustała. Odbyto naradę, co dalej czynić. Poddad się—śmierć pewna, opierać się też długo w tych warunkach niepodobna. W tem komendantowi przyszła myśl niezwykła.

— Towarzysze, rozstawię was tak po basztach, że choć czterech ludzi ubyło, znów tyluż co dawniej stać będzie po każdej stronie fortecy!



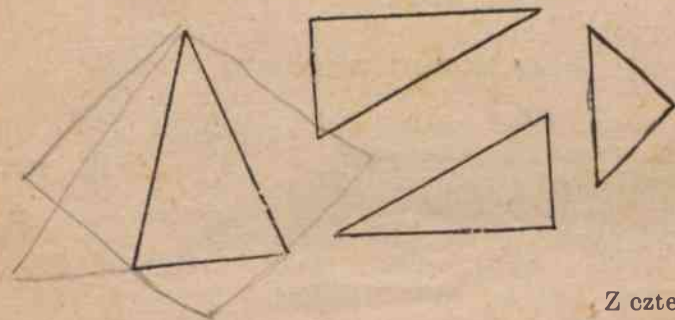
Szmer niedowierzania rozległ się wśród zebranych.

Tymczasem kapitan wydał rozkaz, który wnet spełniono. I zdziwieni obrońcy ujrzeli się istotnie w tej samej liczbie na każdym szeregu baszt.

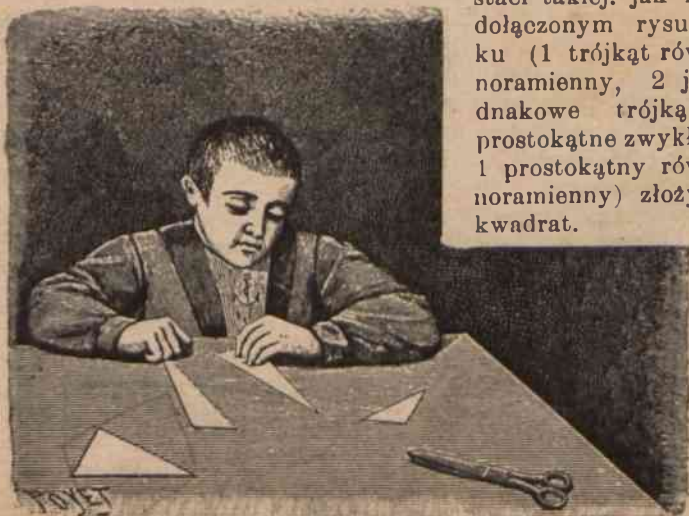
Chińczycy, jak wiadomo, są bardzo zabobonni. Widząc na-  
zajutrz znów po tyłuż żołnierzy na każdym boku twierdzy, ułę-  
kli się i dali pokój oblężeniu tych, co umieją „zmarłych-  
wstawać.“

Jakże rozstawiono żołnierzy?

### UKŁADANKA.



Z czterech ka-  
wałków papieru, po-  
staci takiej, jak na  
dołączonym rysun-  
ku (1 trójkąt rów-  
noramienny, 2 je-  
dnakowe trójkąty  
prostokątne zwykłe,  
1 prostokątny rów-  
noramienny) złożyć  
kwadrat.





## Rozwiązania

### Ani zyskał, ani stracił.

Krowy kosztowały  $11 \times 35 = 385$  rub.

Ponieważ nie zyskał, ani stracił, sprzedał pozostałe za 385 rub. Liczba krów jest całkowita, podobnie jak cena krowy, iloczyn zaś obu tych liczb ma stanowić 385, są więc one mnożnikami 385.

$$\begin{aligned} \text{Liczba } 385 &= 11 \times 35 \text{ albo} \\ &= 7 \times 55 \text{ albo} \\ &= 5 \times 77 \text{ albo} \\ &= 1 \times 385. \end{aligned}$$

Cena sprzedażna krowy, według warunków zadania, ma być 35 rub., 5 pomnożone przez liczbę całkowitą, czyli liczba podzielona przez 5, zatem może być tylko 55; krów więc sprzedał 7, stracił  $11 - 7 = 4$ .

*Rozwiązanie nadesłali:* PP. Marja Łyszkowska z Tontryka, Bohdan Zaleski z Hrehorówki i J. Tykocinerówna z Włocławka.

**Uwaga.** Nadsyłających same tylko *odpowiedzi* na zadanie arytmetyczne upraszam, aby zechcieli podawać ich uzasadnienie i przebieg działań (podobnie jak my to czynimy w „Miesięczniku“), co właściwie dopiero stanowi *rozwiązanie*.

### Rozwiązanie zadania konkursowego, umieszczonego w 7-ym zeszytcie „Miesięcznika“.

W załączonym kwadracie należało rozstawić liczby od 1 do 16, bez powtarzania, tak aby liczby **1** i **16** stały na miejscu oznaczonym i aby sumy we wszystkich szeregach pionowych i poziomych, oraz dwóch przekątnych były różne i stanowiły postępowanie arytmetyczne z kolejnych liczb:

29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37 i 38  
lub 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38 i 39.

Suma liczb pierwszego postępu jest równa 335. Suma liczb drugiego postępu wynosi 345.

Ponieważ suma kolejnych liczb od 1—16 włącznie jest równa 136, więc sumy liczb w szeregach pionowych powinny być równe 136, w szeregach poziomych także sumy 136.

Na przekątnych sumy powinny być w rozwiązaniach 1-iej kategorii;  $335 - 272 = 63$ , w kwadratach drugiej kategorii  $345 - 272 = 73$ .

1			
			16

Tym sposobem w kwadratach pierwszej kategorii sumy liczb na przekątnych mogą być: **a**, 29 i 34; **b**, 30 i 33; **c**, 31 i 32, w kwadratach drugiej kategorii: **a**, 39 i 34, **b**, 38 i 35, **c**, 37 i 37.

Rozwiązania nadesłano tylko kwadratów pierwszej kategorii. Przytaczamy kilka rozwiązań:

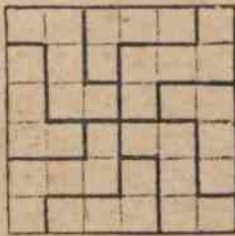
I.					34	II.					30
<b>1</b>	15	13	6	35	<b>1</b>	12	14	8	35		
11	9	10	3	33	15	9	7	3	34		
5	4	7	<b>16</b>	32	5	4	13	<b>16</b>	38		
14	2	8	12	36	11	6	2	10	29		
31	30	38	37	29	32	31	36	37	33		

Jeżeli w kwadracie II przestawimy liczby 8 i 7 jedną na miejsce drugiej, otrzymamy odmienny układ, odpowiadający warunkom zadania.

*Dobre rozwiązania nadesłali pp:* M. Andruszys z Łomży—196 różnych kombinacji i Karol Grabowski z Białkowa, st. Płock—23 rozwiązania.

Pierwszemu przysługuje prawo do bezpłatnego otrzymywania „Kurjera Polskiego“ i „Miesięcznika“ w ciągu 6 miesięcy, drugiemu w ciągu 3 ch miesięcy. P. Stanisław Krygler z Oszkowiec podał 3 rozwiązania; p. A. Moskiewicz z Mścislawia nadesłał 43 rozwiązania, wszakże już po terminie oznaczonym do nagrody.

### U k ł a d a n k a.



*Rozwiązanie nadesłali:* PP. Bohdan Zaleski z Hrehorówki, Janina Ziemska z Rejowca i Marja Łyszkowska z Tontryka (2 rozwiązania).